

BESTSELLER, NEW YORK TIMES SA

Banzaj.pl

CHARLAINE

HARRIS

książka
autorki serii
o Sookie Stackhouse
i fabuły serialu
CZYSTAKREW

Lodowaty
grób

CHARLAINE HARRIS

Lodowaty grob

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wschodnie wybrzeże jest pełne zmarłych. Kiedy praca sprowadza mnie w te rejony kraju, przez cały pobyt mam wrażenie, jakby w mojej głowie fruwało stado niezmordowanych ptaków. Szybko mnie to nuży.

Dostałam jednak zlecenie na wschodzie, tak więc jechałam właśnie przez Południową Karolinę, jak zwykle w towarzystwie mojego niby-brata, Tollivera. Zerknęłam na niego. Spał smacznie na siedzeniu pasażera, dlatego mogłam się do niego bezkarnie uśmiechnąć. Oboje z Tolliverem mamy ciemne włosy, jesteśmy raczej szczupli, a ponieważ nie spędzamy wiele czasu na wolnym powietrzu, jesteśmy tak samo bladzi. Na tym nasze podobieństwa się kończą. Mój brat ma wysokie kości policzkowe i ciemne oczy, dużo ciemniejsze od moich, szarych. Ponieważ nikt nie zadbał, żeby w okresie dojrzewania zaprowadzić Tollivera do dermatologa, jego twarz szpecą blizny po trądziku.

Małżeństwo mojej matki z ojcem Tollivera stało się dla obojga stromą zjeżdżalnią wprost do rynsztoka. Teraz moja matka już nie żyła, zaś o ojcu Tollivera nie mieliśmy żadnych wieści. Rok temu wyszedł z więzienia i wszelki śluch o nim zaginął. Mój nadal odsiadywał wyrok za defraudację oraz kilka innych przestępstw finansowych. Unikaliśmy z Tolliverem rozmów o rodzicach.

Południowa Karolina jest najpiękniejsza na przełomie wiosny i lata – niestety, nasza wizyta wypadła pod koniec wyjątkowo paskudnego stycznia. Było zimno, szaro i mokro po ostatnich roztopach, a w dodatku zapowiadano kolejne opady śniegu.

Prowadziłam bardzo ostrożnie, bo ruch był spory, a widoczność kiepska. Niemiła odmiana po ciepłym, słonecznym Charleston, gdzie wykonywałam zlecenie dla pewnego małżeństwa, które twierdziło, że ich dom nawiedzają duchy. Chcieli, żebym sprawdziła, czy w ścianach lub pod podłogą nie ukryto jakichś zwłok.

W samym budynku nie znalazłam niczego ciekawego, za to w wąskim ogródku leżały zakopane ciała trojga niemowląt. Nie potrafiłam tego wytłumaczyć. Dzieci zmarły niedługo po narodzinach, więc nie posiadały jeszcze na tyle wykształconej świadomości, bym mogła odczytać przyczynę ich śmierci, co zwykle przychodzi mi bez trudu. Jednakże właściciele domu byli pod wrażeniem. Ich zadowolenie spotęgował też fakt, że antropologowie sądowi szybko wydobyli nikłe szczątki, co odsunęło od nich wizję grillowania przez kilka następnych lat na cmentarzu. Wręczyli mi czek bez ociągania. A nie zawsze tak jest.

–Chcesz się zatrzymać i coś zjeść?

Rzuciłam okiem na Tollivera. Nie obudził się jeszcze do

końca.

–Zmęczona? – zapytał, kładąc mi dłoń na ramieniu.

–Nawet nie. Do Spartanburg mamy jakieś trzydzieści mil, może być?

–Jasne. To co, Cracker Barrel?

–Pod warunkiem, że zamówisz jakieś warzywa.

–Uhm. Wiesz, co najbardziej pociąga mnie w tym naszym projekcie kupna domu? Domowa kuchnia.

–Nawet nieźle nam idzie z gotowaniem – przyznałam.

Kupiliśmy parę książek kucharskich z drugiej ręki i gdy tylko

wracaliśmy do St. Louis, wypróbowywaliśmy nieskomplikowane

przepisy. Sprawa z mieszkaniem nie była prosta. Spędzaliśmy tyle czasu w drodze, że utrzymywanie go wydawało się stratą pieniędzy. Jednak potrzebowaliśmy jakiejś stałej bazy, adresu, żeby odbierać pocztę, a przede wszystkim miejsca, które podczas podróży po całych Stanach moglibyśmy nazywać domem. Cały czas oszczędzaliśmy pieniądze na kupno prawdziwego domu, gdzieś w okolicach Dallas. Chcieliśmy zamieszkać w pobliżu ciotki i jej męża, którzy sprawowali opiekę nad naszymi młodszymi siostrzyczkami.

Po przejechaniu dwudziestu mil zauważyliśmy reklamę restauracji, zjechałam więc z międzystanowej.

Mimo że dochodziła dopiero druga, na parkingu pod budynkiem brakowało miejsca. Musiałam popracować nad wyrazem twarzy. Tolliver uwielbiał Cracker Barrel. Nie przeszkadzało mu brodzenie między kiczowatymi upominkami w części sklepowej. Zatrzymaliśmy się prawie pół mili dalej, więc gdy już wyminęliśmy wszystkie ustawione na werandzie fotele bujane, musieliśmy porządnie wytrzeć buty, żeby nie nanieść do środka lepkiego śniegu.

Na sali było ciepło, a w łazienkach czysto. Szybko dostaliśmy stolik, a kelnerka, młoda dziewczyna o prostych jak druty włosach, podchodząc, obdarzyła nas promiennym uśmiechem. W każdym razie na pewno Tollivera. Barmanki, kelnerki, recepcjonistki w hotelach, cała żeńska obsługa adorowała Tollivera na każdym kroku. Złożyliśmy zamówienie i podczas gdy ja rozkoszowałam się bezruchem podłogi pod stopami, Tolliver rozmyślał o czekającym nas zleceniu.

–To zaproszenie od władz – ostrzegł. Oznaczało to mniej pieniędzy, ale za to

większe emocje. Zależało nam na dobrej opinii

stróżów prawa. Połowę naszych klientów stanowili detektywi, szeryfowie, zastępcy, którzy dowiadawali się o mnie policyjną pocztą pantoflową. Choć zwykle nie dawali wiary moim zdolnościom, kiedy wywierano na nich naciski w jakimś trudnym śledztwie, gotowi byli skorzystać z każdej alternatywy. Czasem dopingowała ich do tego chęć pozbycia się jakiejś wpływowej osoby, która siedziała im na karku, innym razem śledztwo stało w miejscu, mimo iż sprawdzili każdy możliwy ślad, albo po prostu nie byli w stanie kogoś sami odnaleźć. Organy ścigania nie płaciły wiele, ale i tak w ogólnym rozrachunku wychodziliśmy na plus.

–Co to będzie, cmentarz czy poszukiwania?

–Poszukiwania. Czyli trzeba znaleźć ciało. Miewałam takie i takie zlecenia,

mniej więcej pół na pół. Od kiedy w wieku piętnastu lat poraził mnie piorun, który wpadł przez okno naszego wynajmowanego mieszkania w Texarkanie, potrafiłam odnajdywać zwłoki. Jeśli ciało leżało w grobie, moje zadanie polegało na ustaleniu przyczyny śmierci. Jeśli zaś nie wiadano, gdzie jest, potrafiłam je zlokalizować, o ile w przybliżeniu określono rejon poszukiwań. Na szczęście brzęczenie, jakie emitowały zwłoki, słabło z upływem czasu od śmierci, inaczej dawno bym już oszalała.

Wyobraźcie sobie szczątki jaskiniowców, rdzennych Amerykanów, pierwszych osadników, nieboszczycy z czasów obecnych – sporo tego, a wszyscy informowali mnie, gdzie spoczywają ich ziemskie powłoki. Rozważałam, czy nie warto wysłać oferty naszych usług do placówek archeologicznych i w jaki sposób Tolliver mógłby ewentualnie znaleźć ich dane kontaktowe. Tolliver lepiej ode mnie radził sobie z obsługą laptopa, pewnie dlatego, że go to interesowało.

Nie chodziło o to, że traktowałam brata jak służącego. Tolliver był pierwszą osobą, której po odzyskaniu sił powiedziałam o moich nowych umiejętnościach. Na początku nie wierzył, ale nie chcąc mnie urazić, asystował mi w poznawaniu granic możliwości tajemniczej mocy. Po pewnym czasie wyzbył się wątpliwości. Zanim skończyłam szkołę, mieliśmy już gotowy plan i natychmiast po egzaminach ruszyliśmy w trasę. Początkowo wyjeżdżaliśmy tylko w weekendy; Tolliver musiał w tygodniu normalnie pracować, a ja odkładałam pieniądze z pracy w barach. Po dwóch latach mógł już rzucić etat i od tamtej pory byliśmy stale w drodze.

W tym momencie Tolliver grał w samotnika – planszówkę, która zawsze leży na stolikach w Cracker Barrel. Na twarzy malował mu się spokój i skupienie. Nie wyglądał, jakby cierpiał -z drugiej strony zawsze potrafił maskować uczucia. Tolliver przechodził ciężki okres, odkąd dowiedział się, że kobieta, która się za nim uganiała, miała ukryte motywy. Choćby ci na takiej osobie nie zależało, czy też nawet budziła w tobie niechęć, to i tak bolesne. Tolliver nie wspominał o wydarzeniach w Memphis, ale odcisnęły one piętno na nas obojgu. Pograżona we własnych smutkach,

śledziłam ruchy jego długich palców. Ostatnio nie układało się między nami najlepiej. To moja wina.

Kelnerka podeszła, żeby zaproponować nam dolewkę napojów. Do Tollivera uśmiechnęła się zdecydowanie bardziej promiennie.

–Gdzie jedziecie?

–W rejonie Asheville – odparł Tolliver, podnosząc wzrok znad planszy.

–To piękna okolica – oświadczyła, odbębniając obowiązek

wobec lokalnej turystyki. Obdarzywszy ją nieobecny uśmiechem, Tolliver wrócił do gry. Wzruszyła ramionami nad jego pochyloną głową i odeszła.

–Wygapisz we mnie dziurę – odezwał się, nie przerywając

układania.

–Siedzisz mi na widoku.

Oparłam się na łokciach. Gdzie to jedzenie, do licha?

Zwinęłam papierową opaskę z opatulonych w serwetkę sztućców.

–Jak noga? – zapytał. Od czasu wypadku miałam kłopoty z prawą nogą.

–Pobolewa.

–Rozmasuję ci ją dzisiaj.

–Nie!

Spojrzał na mnie, unosząc brwi. Oczywiście, że miałam ochotę na masaż w jego wykonaniu.

Nie wiedziałam tylko, czy to dobry pomysł. Bałam się, że mogę coś zepsuć między nami.

–Raczej ją dobrze wygrzeję w nocy – wymówiłam się i

poszłam do łazienki. Pomieszczenie okupowała matka z trzema

córkami albo córką i jej koleżankami. Dziewczyny były

młodziutkie i bardzo głośne. Kiedy dopchałam się do kabiny, z

ulgą zamknęłam za sobą drzwi. Stałam przez chwilę, opierając się czołem o ścianę. Wstyd i strach, które ścisnęły mnie w gardle, na moment odebrały mi oddech. Drżąc, wypuściłam powietrze z płuc.

–Mamo, ta pani chyba płacze – usłyszałam głos dziewczynki.

–Ciii – uciszyła ją matka. – W takim razie lepiej zostawmy ją samą.

Zapadła błoga cisza.

W rzeczywistości naprawdę potrzebowałam skorzystać z

łazienki, a noga faktycznie mnie bolała. Opuściłam spodnie i usiadłam, masując prawą nogę. Różowa pajęczynka blizny zaczynała się powyżej kolana i rozciągała na udo. Gdy piorun wpadł do łazienki, stałam akurat prawym bokiem do okna.

Kiedy wróciłam, posiłek stał już na stole, mogłam więc zająć się jedzeniem. Po powrocie do samochodu Tolliver od razu podszedł do drzwi kierowcy. Prowadziliśmy zawsze na zmianę. zaproponowałam posłuchanie audiobooka, jednego z trzech kupionych przy okazji ostatniej wizyty w antykwariacie. Puściłam Dane Stabenow, oparłam się wygodnie i odizolowałam od brata. Albo raczej od całej rzeczywistości.

Tolliver zarezerwował nam jeden pokój. W recepcji motelu Doraville spojrzął na mnie wyczekująco. Biorąc pod uwagę moje zachowanie, spodziewał się pewnie, że zażądam osobnego.

Zwykle dzieliliśmy jeden pokój. Początkowo nie stać nas było na większe wydatki. Później bywało różnie, czasem potrzebowaliśmy odrobiny prywatności, innym razem nie zależało nam na niej. Nigdy nie robiliśmy z tego sprawy. I teraz też tak nie będzie, postanowiłam, nie bacząc na nic. Nie miałam pojęcia, jak długo jeszcze będziemy w stanie podążać tą wyboistą ścieżką, zanim Tolliver straci cierpliwość i zażąda wyjaśnień, których nie mogłam mu udzielić. Tak więc spędzimy kilka dni w jednym pokoju w kłopotliwym milczeniu. Zaczynałam się do tego przyzwyczajać.

Zabraliśmy bagaże. Zawsze zajmowałam łóżko bliżej łazienki, a Tolliver sypiał na tym koło okna. Pokój był klonem innych, jakie zamieszkiwaliśmy przez te wszystkie lata: poliestrowe narzuty, sztampowe meble, telewizor, beżowa łazienka. Tolliver od razu usiadł z komórką przy uchu, ja zaś

wyciągnęłam się na łóżku, włączając CNN.

–Mamy tam być o ósmej rano – poinformował mnie Tolliver,

wyciągając z torby długopis i gazetę z krzyżówką. Kiedyś w końcu się złamie i przerzuci na sudoku, ale na razie był wierny krzyżówkom.

–W takim razie lepiej pobiegam teraz – oświadczyłam, dostrzegając, że zamarł na kilka sekund z długopisem zawieszonym nad gazetą. Często biegaliśmy razem, choć Tolliver w ostatnim etapie wyprzedzał mnie, kończąc przebieżkę sprintem.

–Nawet jeśli wstanę o piątej, to i tak będzie za zimno.

–Możesz iść sama?

–Jasne, nie ma sprawy. – Wydobyłam z torby dres i zdjęłam sweter oraz spodnie. Odwróciłam się, rozbierając – zawsze tak robiłam. Nie byliśmy przesadnie wstydliwi, ale staraliśmy się zachować pewne granice. W końcu byliśmy rodzeństwem.

Wcale nie, zaprotestowała moja wewnętrzna zła bliźniaczka. Nie jesteście spokrewnieni.

Wetknęłam klucz do kieszeni i wyszłam na zewnątrz w nadziei, że zimne powietrze wymrozi moje przygnębienie.

ROZDZIAŁ DRUGI

–Jestem szeryfem hrabstwa Knott – przedstawiła się szczupła
kobieta.

Kiedy wchodziliśmy, rozmawiała z dyspozytorką, opierając się o kontuar dzielący posterunek na dwie strefy. Nigdy nie mogłam zrozumieć, jak stróże prawa mogą nosić tyle sprzętu przy pasie, a ona poza podstawowym wyposażeniem miała dodatkowo zestaw uzupełniający. Nie udało mi się dotąd przyglądać ryszunkowi na tyle długo, by rozpoznać wszystkie te przedmioty. Miałam przelotny romans z szeryfem, mogłam wtedy wykorzystać okazję. Tyle że w jego wypadku bardziej interesował mnie sprzęt innego rodzaju.

Nie wiedziałam, że szeryf jest kobietą, dopóki nie podniosła głowy. Po pięćdziesiątce, miała brązowe, szpakowate włosy, a jej twarz znaczyły drobne zmarszczki mimiczne. Nie sprawiała wrażenia osoby wierzącej w zjawiska nadprzyrodzone, ale to ona właśnie wysłała do nas mejla.

–Nazywam się Harper Connelly – przedstawiłam się. – A to
mój brat, Tolliver Lang.

Ona też wydawała się nami zaskoczona. Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

–Nie wygląda pani na świruskę.

–A pani na niewolnicę stereotypów – odpaliłam. Dyspozytorką wciągnęła powietrze ze świstem. O-ho! Tolliver stał tuż za mną, nieco po lewej. Czułam emanujący od niego spokój. Zawsze był blisko, gotów zareagować.

–Wejdźmy do biura, tam porozmawiamy – zdecydowała

kobieta. – Nazywam się Sandra Rockwell i od roku pełnię funkcję
szeryfa.

W Północnej Karolinie szeryfa powołuje się w drodze wyborów. Nie wiem, jak długo trwa kadencja, ale skoro Sandra pracowała na stanowisku dopiero rok, to pewnie miała sporo przed sobą. Możliwe, że nie musiała być aż tak poprawna politycznie jak w roku wyborów.

Biuro było niewielkim pomieszczeniem. Na ścianach wisiały: podobizna

gubernatora, flaga narodowa oraz oprawione dyplomy, zaś jedyny osobisty akcent stanowiły stojące na biurku ramki ze zdjęciami najwyraźniej dwóch synów Sandry Rockwell. Obaj mieli ciemne włosy, jak matka. Starszy, już dorosły, pozował z żoną i dzieckiem, drugi – z psem myśliwskim.

–Kawy? – zaproponowała szeryf, siadając za brzydkim metalowym biurkiem.

Zerknęłam na brata i oboje pokręciliśmy głowami.

–W takim razie przejdźmy do rzeczy – rzekła, kładąc dłonie na blacie. – Usłyszałam o was od śledczej Young z Memphis.

Uśmiechnęłam się.

–A więc zna ją pani. I jej partnera, detektywa Lacey, zapewne też?

Skinęłam głową.

–Śledcza Young wydaje się rozsądną osobą. Nie wygląda mi na dziwaczkę. Jej reputacja i osiągnięcia robią wrażenie. I tylko dlatego z panią rozmawiam, zrozumiano?

–Tak jest. Speszyła się nieco.

–Zdaję sobie sprawę, że mogę wydawać się grubiańska, ale

nie chcę pani obrazić. Po prostu nie brałabym pod uwagę tej opcji, gdyby nie miała pani tak wyrobionej opinii. Nie wierzę w ludzi takich jak John Edward, mówię o tym jasnowidzu, nie polityku, nie wierzę w czytanie z ręki, nie chodzę na żadne seanse, nie czytuję nawet horoskopów.

–Rozumiem doskonale.

–Podchodzi pani do tego z dystansem – uśmiechnął się Tolliver.

–Właśnie. – Na jej twarzy odmalowała się ulga. – Z dystansem.

–W takim razie musi pani być zdesperowana – zauważyłam. Spojrzała na mnie z niechęcią.

–Tak, mamy pewne trudności.

–Nie zamierzam się wycofać – rzekłam bez ogródek. – Po prostu muszę dokładnie wiedzieć, z czym mam do czynienia.

Moja szczerłość chyba ją ucieszyła.

–Dobrze więc, zagrajmy w otwarte karty. – Wzięła głęboki oddech. – W okresie ostatnich pięciu lat odnotowaliśmy na terenie hrabstwa sporo zaginięć chłopców. Do tej pory mamy sześć takich przypadków. Mówiąc chłopców, mam na myśli czternaście do osiemnastu lat. To trudny wiek, dzieciaki uciekają z domów, popełniają samobójstwa, mają wypadki samochodowe. Gdybyśmy mieli jakieś informacje o ich aktualnym miejscu pobytu albo znaleźli zwłoki, wszystko byłoby dobrze. O tyle o ile, oczywiście.

Kiwnęliśmy głowami.

–Jednak w wypadku tych konkretnych chłopców trudno podejrzewać ucieczkę. W tym rejonie masa ludzi poluje, obserwuje ptaki, chodzi na wędrówki, na pewno natknęliby się na przynajmniej jedno ciało, jeśli chłopak zginąłby w wypadku czy z własnej ręki.

–A więc uważa pani, że zostali gdzieś pogrzebani?

–Tak podejrzewam. Jestem pewna, że ciała ukryto na tych terenach.

–Pozwoli więc pani, że zadam kilka pytań – powiedziałam, a Tolliver sięgnął po notes i ołówek.

Szeryf robiła wrażenie zaskoczonej, jakby pytania były ostatnią rzeczą, jakiej się po nas spodziewała.

–No to dawajcie – zgodziła się po chwili milczenia.

–Czy w okolicy znajdują się większe zbiorniki wodne i rzeki?

–Tak, jest staw Grunyanów, jezioro Pine Landing oraz kilka strumieni.

–Czy zostały przeszukane?

–Tak. Nurkowaliśmy nawet. Staraliśmy się szukać jak najdokładniej. Żadne zwłoki nie wypłynęły. Ludzie często

korzystają z jednego i drugiego zbiornika, szybko

zauważylibyśmy, gdyby coś tam zatoneło czy wypłynęło. Staw

jest czysty, to pewne. Jezioro jest w niektórych miejscach bardzo

głębokie, więc nie można mieć stuprocentowej pewności.

Najwyraźniej jednak szeryf była przekonana, że nic tam nie ma.

–Czy zaginionych chłopców coś łączyło?

–Oprócz wieku? Poza zniknięciem niewiele.

–Wszyscy byli biali?

–A, to tak.

–Ta sama szkoła?

–Nie. Czwórka chodziła do tutejszego liceum, jeden do gimnazjum, a jeden do szkoły prywatnej.

–Mówiła pani, że zaginęli w ciągu pięciu lat, o tej samej

porze roku?

Otworzyła leżące na biurku akta i kartkowała je przez moment.

–Nie. Dwóch jesienią, trzech wiosną, jeden latem.

Czyli żaden w zimie, kiedy warunki pogodowe są

najtrudniejsze. Prawdopodobnie miała rację – chłopcy zostali pochowani gdzieś w okolicy.

–Pani zdaniem, zrobił to jeden sprawca, tak? – zgadywałam,

ale jak się okazało, trafnie.

–Tak sędzę.

Tym razem ja musiałam wziąć głęboki oddech. Nigdy

wcześniej nie podejmowałam się takiego zadania. Nie szukałam tylu osób jednocześnie.

–Nie wiem zbyt wiele o seryjnych zabójcach – powiedziałam, a dwa ostatnie słowa ciężko zawisły w powietrzu. – Ale z tego, co czytałam czy widziałam w telewizji, ukrywają chyba swoje ofiary w jakimś określonym rejonie, albo nawet w tym samym miejscu. Jak Zabójca znad Green River, który wrzucał ciała do rzeki.

–To prawda – odparła szeryf. – Większość wybiera konkretne miejsce, a potem często tam wraca. Żeby przeżywać wszystko na nowo.

–Jak miałabym pomóc?

–Proszę powiedzieć, na czym polega pani praca. W jaki sposób znajduje pani ciała?

–Moja siostra – przejął pałeczkę Tolliver, recytując starą śpiewkę – potrafi dwie rzeczy. Znajduje ciała oraz określa przyczynę śmierci. Oczywiście poszukiwania zajmują dużo więcej czasu niż wycieczka na cmentarz do konkretnego grobu i podanie nazwiska zabójcy.

–Czyli i więcej kosztuje – kiwnęła głową szeryf.

–Tak – potwierdził Tolliver. Nie dało się tego ująć oględniej, więc powiedział wprost. Szeryf Rockwell nie krzywiła się i nie usiłowała wzbudzić w nas wyrzutów sumienia za sposób, w jaki zarabialiśmy na życie. A wiele osób tak robiło. Zachowywali się, jakbyśmy byli łowcami skór. Nie miałam żadnego konkretnego zawodu, byłam więc zdecydowana zarobić na moim darze, ile się da, przynajmniej dopóki go posiadam. Nie wiedziałam, czy pewnego dnia nie zniknie tak samo nagle, jak się pojawił. Pewnie byłabym zadowolona, ale z drugiej strony i bezrobotna.

–Skąd wiecie, gdzie szukać? – zapytała szeryf.

–Zbieramy możliwie jak najwięcej informacji – wyjaśnił Tolliver. – Czy znalazła pani coś po zniknięciach? Jakies dowody?

Szeryf bez zbędnych słów wyjęła mapę hrabstwa i rozpostarła ją na blacie. Pochyliliśmy się nad płachtą.

–Tu jesteśmy – wskazała. – To Doraville, stolica hrabstwa.

Region jest wiejski, niebogaty. To teren podgórski, stromy,

pagórkowaty, jest też parę dolin, w których znajdują się pola.

Kiwnęliśmy głowami. Samo Doraville też rozciągało się na sporym obszarze i różnych wysokościach.

–Trzech chłopców posiadało własne samochody – ciągnęła szeryf. – Pick-up Chestera Caldwella znaleźliśmy na parkingu, w miejscu gdzie zaczyna się szlak turystyczny.

–Chester zaginął pierwszy, tak? – zapytałam.

–Tak – potwierdziła szeryf ze ściągniętą twarzą. – Byłam wtedy zastępcą. Godzinami przeszukiwaliśmy szlak i okolice. Na trasie jest parę stromizn, więc szukaliśmy czegoś, co wskazywałoby na upadek lub atak dzikiego zwierzęcia. I nic. Zniknął w połowie września, nikt nie widział go od zakończenia

treningu futbolowego. Wtedy stanowisko szeryfa piastował Abe Madden. – Potrząsnęła głowa, jakby chciała odegnać przykre wspomnienia. – Nie znaleźliśmy wtedy żadnego śladu. Chłopak miał i rudne dzieciństwo. Rodzice się rozwiedli, ojciec odszedł i nie dawał znaku życia, a matka pije. – Nabrała powietrza przed kolejną opowieścią. – Drugi był Tyler Webb, szesnastolatek. Zaginął latem, wracając po południu ze spotkania z przyjaciółmi. Pływali wtedy w stawie Grunyanów. Jego samochód stał tu, na postoju przy międzystanowej. – Wskazała miejsce położone nieopodal Doraville, na zachód od miasta. – W samochodzie zostały jego rzeczy: prawo jazdy, ręcznik, koszulka. On sam przepadł jak kamień w wodę. – Jakieś odciski?

–Żadnych obcych. Tylko Tylera i kilku jego kolegów. Ani na kierownicy, ani na klamce. Wszystko czyste.

–Nie skojarzyliście tego z poprzednim przypadkiem? Nie łączyliście tych spraw?

–Przyszło mi to do głowy. – Wzruszyła ramionami. – Ale szeryf miał inną teorię. W przypadku Chestera można było przypuszczać ucieczkę, ale nie pasowało mi, że porzucił samochód. Z drugiej strony, przechodził trudny okres, w domu miał ciężko, zerwał z dziewczyną, nie szła mu nauka. Mógł popełnić samobójstwo, a my po prostu nie znaleźliśmy ciała. Szukaliśmy bardzo długo. W końcu Abe przerwał akcję. Doszedł do wniosku, że ktoś kiedyś natrafi na jego ciało. Ale sprawa Tylera wyglądała inaczej.

Pochodził z dobrego domu, miał kochających rodziców, pobożny, naprawdę dobry dzieciak. Trudno było uwierzyć, że uciekł, a tym bardziej popełnił samobójstwo. Ale w tym czasie Abe miał co innego na głowie i nie chciał o niczym słyszeć.

Okazało się, że ma kłopoty z sercem i nie chciał się denerwować. Szeryf zamilkła.

–A trzeci? – ponagliłam ją.

–Dylan Lassiter. Nie miał samochodu. Powiedział babce, że idzie do kolegi, który mieszka trzy ulice dalej, ale nigdy tam nie dotarł. W okolicy znaleziono czapkę, która mogła należeć do niego. Dokładnie tu. To cmentarz Shady Grove.

–To już coś.

–Niewiele. Mógł ją tam przywiał wiatr. Zresztą nie mieliśmy nawet pewności, czy była jego. Zwykła czapka z logo drużyny uniwersyteckiej Tarheels, jest ich tysiące. Posłaliśmy ją do SBI. Znaleziono na niej DNA Dylana, ale niewiele nam to dało. Dowiedzieliśmy się tylko, że gdziekolwiek się znajduje, nie ma przy sobie swojej czapki.

Coś mi nie grało w jej opowieści, nie zgadzała się chronologia. Nie jestem śledczym i nigdy nie będę, ale odniosłam wrażenie, że Abe Madden spartaczył to dochodzenie.

–Miesiąc później zniknął Hunter Fenwick – podjęła

Rockwell. – Hunter był synem mojej przyjaciółki, dlatego właśnie

stanęłam do wyborów na urząd szeryfa. Darzyłam Maddena

szacunkiem, ale byłam zdania, że w tym wypadku się myli.

Hunter...

Jego samochód znaleziono w tym samym miejscu co pick-up Chestera. Na początku trasy wycieczkowej. W środku było trochę krwi, lecz za mało, żeby stwierdzić z całą pewnością, że chłopak nie żyje. Jego portfel leżał w rowie przy drodze, jakieś pół mili za miastem. – Stuknęła w krętą linię trasy biegnącej na północny zachód. Dwadzieścia mil dalej szosa skręcała na północ, a potem na północny wschód, prowadząc do sąsiedniego miasta, leżącego

już w górach.

–Kto był następny? – zapytał Tolliver, chcąc wyrwać ją z

zamyślenia.

–Najmłodszy, Aaron Robertson. Gimnazjalista.

Czternastolatek. Za młody na samochód. Został po treningu

poćwiczyć rzuty do kosza. Zawsze wracał do domu sam. Tego dnia była zmiana czasu i o godzinie, kiedy skończył, było już ciemno. Nie dotarł do domu. Nie znaleźliśmy nigdzie jego plecaka ani innego śladu. – Z wiszącej przy biurku tablicy korkowej zdjęła plastikową koszulkę i po chwili patrzyliśmy na zdjęcia chłopców. Pod każdym zapisano datę zaginięcia. Słuchanie o nich to jedno. Patrzenie na ich podobizny było dużo trudniejsze.

Milczeliśmy przez chwilę. Ciszę przerwał Tolliver.

–A ostatni?

–Jeff McGraw, zniknął trzy miesiące temu. Wezwaliśmy was na prośbę jego babki. Twyla uważała, że śledztwa prowadzą donikąd, i miała rację.

Wypowiedzenie kolejnych słów musiało być dla szeryf trudne, mimo to przełamała się.

–Twyla Cotton zaoferowała sporo pieniędzy, namówiła też na składkę zamożniejsze rodziny ofiar.

Dołożyli się również inni mieszkańcy, zupełnie niespokrewnieni z zaginionymi. Naszej społeczności zależy na rozwiązaniu tej sprawy. – Sandra Rockwell potrząsnęła głową. – Nie widziałam nigdy, żeby ktokolwiek wkładał w coś tyle czasu i energii. Jeff był najstarszym wnukiem Twyli... – Szeryf zerknęła na zdjęcia w ramkach. Sama też była babką. Przeniosła wzrok na fotografię w koszulce, przedstawiającą piegowatego rudzielca w kurtce szkolnej drużyny. Jeff McGraw trenował koszykówkę i

futbol. Mogłam się założyć, że był lokalną gwiazdą Doraville. Wszystkie miasteczka były do siebie podobne, każde miało swoich bohaterów.

–Więc jest pani w zasadzie przedstawicielem grupy ludzi, którzy ofiarowali fundusze na odnalezienie chłopców. Pewnie hrabstwo nie wyłożyłoby pieniędzy na coś takiego – domyślił się Tolliver.

–Owszem – przyznała. Rockwell. – Nie mogliśmy zapłacić wam z pieniędzy hrabstwa czy stanu. Musieliśmy załatwić to prywatnymi kanałami. Ale nie wezwałabym was tu, gdybym nie miała dostępu do oficjalnych informacji. I nadal nie jestem do tego pomysłu całkiem przekonana.

Ho, ho, zaskakujące słowa w ustach szeryfa. Nie zdarzyło się dotąd, żeby jakiś stróż prawa przyznał się do powątpiewania w możliwość rozwiązania sprawy przy mojej współpracy. Okazywali złość, niechęć, odrazę, ale nigdy powątpiewanie.

–Rozumiem pani położenie – rzekłam ostrożnie. – Wiem, ile pracy włożyła pani w to śledztwo, więc musi panią irytować wzywianie na pomoc kogoś takiego jak ja. Obiecuję jednak, że zrobię, co w mojej mocy, i przysięgam, że nie jestem oszustką.

–Mam nadzieję. To leży w pani interesie – podsumowała Sandra Rockwell. – A teraz chciałabym was poznać z Twylą Cotton. Myślę, że tak należy. W końcu to ona wszystko zorganizowała. Potem zdecydujemy, gdzie rozpocząć poszukiwania.

–Dobrze – zgodziłam się i na tym zakończyliśmy spotkanie.

***** Twyla Cotton była tęgą kobietą. Czasem czyta się o ludziach,**

którzy mimo tuszy chodzą lekko – Twyla do nich nie należała. Kiedy szła, drżała podłoga. Otworzyła tak szybko, że chyba czekała na nas pod drzwiami, odkąd zadzwoniliśmy z biura szeryfa, żeby się zapowiedzieć.

Gospodyni miała na sobie džinsy oraz podkoszulek z napisem „Babcia na medal”. Nie malowała się, a w jej krótkich ciemnych włosach srebrzyły się tylko nieliczne pasma siwizny. Na oko była po pięćdziesiątce.

Po oficjalnych powitaniach zaprowadziła nas w głąb domu. Nie wpisywała się w styl wnętrza. Urządzone najwyraźniej przez profesjonalistę, robiło miłe wrażenie – odcienie beżu, kremu i brzoskwini w salonie gościnnym, niebieski i czekoladowy w pokoju dziennym – ale brakowało mu indywidualizmu. Za to najwyraźniej królestwem Twyli była kuchnia i to ona właśnie stanowiła cel naszej wędrówki. Ściany z surowej cegły, urządzenia w kolorze stali nierdzewnej i masa lśniących powierzchni. W ciepłym, przytulnym wnętrzu odtajaliśmy po wilgotnym chłodzie poranka. Kuchnia była najbardziej swojskim pomieszczeniem w całym domu.

–Pracowałam u Archiego Cottona jako kucharka – wyjaśniła

Twyla, jakby czytając w moich myślach.

Przez pierwsze dziesięć lat życia wychowywałam się w typowym domu klasy wyższej, później nasz status społeczny i finansowy zaczął się szybko obniżać poprzez klasę średnią aż na same niziny, można więc powiedzieć, że byłam mieszkańcem klasowym. Nasza rodzina przeszła drogę od fortuny do zera. Twyli Cotton przypadł w udziale lepszy los – Kopciuszką, który stał się księżniczką.

–A potem się z panią ożenił – powiedziałam.

–Tak, pobraliśmy się. Usiądź, słonko – rzekła do Tollivera,

wskazując także krzesło dla mnie.

Obok znajdowała się oficjalna jadalnia, ale stojący w wykuszu duży okrągły stół kuchenny otaczały szerokie, wygodne krzesła. Na blacie, w jednym miejscu, leżało trochę gazet, kolorowych magazynów i stosik rachunków. Oboje z Tolliverem zostawiliśmy stojące przy nim krzesło dla gospodyni.

–Może kawy? Albo herbatników? – zaproponowała Twyla.

–Kawę, jeśli to nie kłopot – powiedział Tolliver.

–Ja też proszę. – Wślizgnęłam się na krzesło i przysunęłam do stołu. Wkrótce pojawiły się przed nami kubki parującej kawy, łyżeczki, serwetki, śmietanka i cukier. Ranek od razu wydał się nieco pogodniejszy.

–Archie miał swoje dzieci, ale kiedy dorosły, wyprowadziły się, a po śmierci matki nie wpadały tak często. Był samotny, a ja pracowałam dla niego przez długie lata. Sprawa małżeństwa wyszła całkiem naturalnie.

–A co na to dzieci? – zapytał Tolliver.

–Archie zapisał im pieniądze, żeby uniknąć kłopotów. Od razu powiedział, co komu zapisuje, i zrobił to w obecności dwóch prawników. Kazał im też podpisać zobowiązanie, że jeśli ja go przeżyję, nie będą kwestionowały testamentu. Odziedziczyłam więc dom, sporo gotówki i akcje. Archie Junior i Bitsy dostali swoje udziały. Nie kochają mnie, ale i nie nienawidzą.

–Jak się pani o nas dowiedziała?

–Mam znajomą, której kiedyś pomogliście. Nazywa się Linda Bernard, mieszka w Kentucky. Chciała wiedzieć, co stało się jej wnuczce. Znalaziono ją milę od domu, nie było śladów wskazujących na przyczynę śmierci.

–Pamiętam to zlecenie.

–Pomyślałam, żeby do was zadzwonić. Sandra wywiedziała się wszystkiego. Rozmawiała z policjantami z Memphis.

–Jeff, twój wnuk, jest synem twojego syna? Ma szesnaście lat, tak? – Tolliver chciał skierować rozmowę na temat, który stanowił cel naszej wizyty. Choć niemal wszyscy, których szukaliśmy, byli martwi, dawno temu nauczyliśmy się mówić o nich w czasie teraźniejszym. Brzmiało to lepiej, bardziej optymistycznie.

–Miał szesnaście lat – potwierdziła pani Cotton. – Był starszym synem mojego Parkera.

Twyla nie miała oporów przed stosowaniem czasu przeszłego. Kolejne pytanie

wyczytała z naszych twarzy.

–Wiem, że nie żyje – przyznała z grymasem żalu. – W przeciwieństwie do tego, co sugeruje policja, nigdy by nie uciekł. Nie zniknąłby na tak długo, nie dając żadnego znaku życia.

–Zaginął trzy miesiące temu? – Mieliśmy już informacje o Jeffie od szeryf Rockwell, ale uznałam za stosowne zapytać.

–Dwudziestego października.

–I od tamtej pory nikt nic o nim nie wie? – Znałam

odповідź, ale musiałam być całkowicie pewna.

–Tak, i nie miał absolutnie żadnego powodu, żeby uciec. Grał w futbol, dostał się do reprezentacji, miał dziewczynę, dogadywał się z rodzicami. Przed ślubem z Archiem nazywałam się McGraw.

Mój syn, Parker, jest kochającym ojcem. On i jego żona,

Bethalynn, mają jeszcze dwunastoletniego Carsona. Ale żadne

dziecko nie zastąpi innego, szczególnie pierwородnego. Są

zdruzgotani.

–Musi pani zrozumieć – zaczęłam ostrożnie, starając się

znaleźć odpowiednie słowa na wyrażenie tego, co musiałam powiedzieć. –

Potrzebuję jakiegoś punktu zaczepienia, miejsca, w którym mogłabym rozpocząć poszukiwania. Inaczej mogę chodzić po mieście bez końca i bez efektu. Szeryf wspomniała, że ma jakiś pomysł, gdzie zacząć. – Ameryka jest wielka, ludzie zwykle o tym nie myślą, ale uświadomienie sobie jej rozmiarów przychodzi z łatwością, kiedy szuka się czegoś tak niewielkiego jak zwłoki.

–Proszę mi powiedzieć, jak pani pracuje?

Podobało mi się jej konkretne podejście do całej sprawy.

–Jeśli przychodzi pani na myśl jakieś miejsce, pójdę tam i

będę chodziła po okolicy. To może potrwać. Nawet bardzo długo.

Niewykluczone, że mi się nie uda.

Machnęła ręką, odganiając myśl o porażce.

–Skąd będzie pani wiedziała, że to on?

–Będę. Poza tym widziałam zdjęcia. Problem w tym, że

wszędzie leży pełno zmarłych, a ja muszę znaleźć konkretne

osoby.

Wyglądała na zaskoczoną, ale po chwili kiwnęła głową. Znowu reakcja, do jakiej nie przywykłam.

–Jeśli jest w którymś z miejsc wybranych przez panią do przeszukania, odnajdę go. Jeśli nie, nie będę pani okłamywać, możemy nigdy na niego nie trafić. Ma pani coś, co pomogłoby nam określić miejsce rozpoczęcia poszukiwań?

–Jego komórkę znaleziono na Madison Street. Pojedziemy tam.

Pokazała nam zdjęcie Jeffa. Inne niż to, które widziałam na posterunku. Była to pozowana fotografia zrobiona w studio i przedstawiała całą rodzinę, razem z babcią. Kiedyś w takich momentach serce ścisnęło mi się na widok osoby, której ciała

miałam szukać – żywej, w objęciach ukochanych bliskich.

Teraz już tylko starałam się zapamiętać twarze – z nadzieją, że ten obraz właśnie ujrzę, nawet jeśli będą one masą pogruchootanych kości. Musiałam tak do tego podchodzić, w ten sposób zarabiałam na życie.

To zlecenie było inne. Zwykle przy poszukiwaniach zwłok czas nie ma znaczenia. Tylko żywym się spieszy. Ale w tym wypadku należało się spieszyć. Jeśli szeryf się nie myliła, mieliśmy do czynienia z seryjnym zabójcą, który w każdej chwili mógł porwać kolejnego chłopca. Jak dotąd nie robił tego w zimie, ale bezpieczniej nie zakładać, że schemat jego działania się nie zmieni, że nie wykorzysta odwilży pomiędzy okresami opadów śniegu i nie uderzy po raz ostatni przed nadejściem mrozów. Obudziła się we mnie nadzieja, że jeśli znajdę tych chłopców, to jakiś szczegół sposobu ich pochówku, miejsce porzucenia lub przedmiot znaleziony przy ciałach doprowadzi do odkrycia zabójcy. Posiadam większą niż inni świadomość nieuchronności śmierci. Nienawidzę morderców młodych ludzi za to, że ograbiają świat z życia, które ma tak duży potencjał. Wiem, to trochę nielogiczne. Nawet siedemdziesięcioletni alkoholik może odepchnąć kobietę sprzed maski pędzącej ciężarówki i na zawsze zmienić świat. Ale śmierć dzieci zawsze jest szczególnie wstrząsająca.

ROZDZIAŁ TRZECI

Twyla Cotton miała nowego, może dwuletniego cadillaca.

–Lubię obszerne samochody – stwierdziła.

Kiwnęliśmy głowami. Podzielaliśmy jej zdanie.

Tym bardziej że ze względu na pogodę byliśmy grubo ubrani,

a Twyla w swoim futrze przypominała wielką karmelkową kulę.

–Czy pani syn i jego żona wiedzą, że tu jesteśmy i co robimy? – zapytałam ostrożnie.

–Tak, ale nie wierzą, że to coś da. Jednak nie protestują. Wyszli z założenia, że wydaję własne pieniądze, a skoro mam się dzięki temu poczuć lepiej...

Liczyłam, że rzeczywiście mają do tego tak filozoficzne podejście, jak Twyla sugerowała. Rodziny klientów często przysparzały nam sporych kłopotów, co nie jest szczególnie zaskakujące, biorąc pod uwagę, że uważają nas za oszustów wykorzystujących rozpacz bliskiej im osoby. Jednak jako że i tak nie mieliśmy łatwego życia, staraliśmy się unikać problemów, o ile to możliwe. Wymieniliśmy z Tolliverem spojrzenia; myśleliśmy o tym samym.

–Ma pani dzieci? – zwróciła się do mnie Twyla.

–Nie. Ale wiem, jak się pani czuje. Osiem lat temu zaginęła moja siostra.

Zwykle nie opowiadałam o tym nowo poznanym ludziom. Oczywiście niektórzy i tak wiedzieli. Sprawa zostawiła wyraźne ślady w moich papierach. Ale sama byłam wtedy dzieckiem, a nie... tym, kim jestem teraz.

–Masz inną rodzinę?

–Mam Tollivera. – Uśmiechnęłam się promiennie. – A także przyrodniego brata, Marka, oraz dwie przyrodnie siostrzyczki, Mariellę i Gracie. Dziewczynki mieszkają z wujostwem w Teksasie. – Mark nie był dla mnie bardziej przyrodnim bratem niż Tolliver, był po prostu bratem Tollivera. Nie miałam jednak nastroju na zagłębianie się w szczegółowe wyjaśnienia.

–Och, przykro mi. Twój rodzice nie żyją?

–Mama. Ojciec żyje. – Co prawda w więzieniu, ale zawsze. – Matka Tollivera zmarła, zanim nasi rodzice się poznali. – Ojciec Tollivera wyszedł już z więzienia, ale zniknął

nam z oczu. Biorąc pod uwagę, że oboje moi rodzice i ojciec Tollivera byli prawnikami, stoczyli się z wysoka. Albo raczej sami skoczyli.

Twyla zdawała się nieco wstrząśnięta.

–To straszne, bardzo mi przykro.

Wzruszyłam ramionami. Takie jest życie.

–Dzięki. – Nie byłam do końca szczerą. Nie mogłam nic

poradzić, że na wieść o śmierci matki oprócz zaskoczenia i żalu

odczułam też swego rodzaju ulgę.

Po tej wymianie zdań już w milczeniu dojechaliśmy do celu. Twyla zatrzymała się na poboczu i zerknęła na kartkę, na której zapisała coś podczas krótkiej rozmowy telefonicznej z Sandrą Rockwell. Pewnie właśnie to miejsce znajdowało się na szczycie listy wytypowanych lokalizacji.

Staliśmy nieopodal budynku liceum. Wokół rozciągało się płaskie pole boiska. Choć sezon futbolowy już się skończył, nadal stało tam jedno z tych urządzeń, które chłopcy przepychają podczas treningów. Budynek mieszczący przebieralnię i magazyn był zamknięty i tak miało pozostać aż do wiosny. W zimie grywało się w koszykówkę pod dachem.

–Tu znaleziono samochód Jeffa – powiedziała Twyla. – Dopiero co go dostał. Kupiliśmy mu używanego dodge'a.

Szeryf Rockwell powiedziała nam mniej o Jeffie niż o innych chłopcach. Pewnie dlatego, że mieliśmy rozmawiać z jego babką. Rozejrzałam się wokół. Ani żywej duszy. A więc tu mogło dojść do porwania, choć byłoby to ryzykowne. W każdej chwili ktoś mógł wyjść ze szkoły. Zabudowania szkolne stały nieco na uboczu, nie zauważyłam w sąsiedztwie żadnych domów. Droga za boiskiem była wąską, ubitą gruntówką. Powyżej wznosiło się strome zbocze, które częściowo zniwelowano, aby uzyskać plac pod budowę szkoły. Niewykluczone, że właśnie stąd porwano chłopca, choć wątpiłam, by tu został pochowany. Chcąc wykazać się dobrymi chęciami, wysiadłam z samochodu. Skoncentrowałam się, wsłuchując moim szóstym zmysłem w okolicę. Żadnej odpowiedzi. Odbierałam cichutki szmer od zwłok leżących w tym rejonie od bardzo dawna. Nauczyłam się ignorować takie szумы podczas poszukiwań niedawno zmarłych osób. Mimo że nie robiło to różnicy, jeśli chodzi o zasięg, przeszłam wzdłuż boiska. Nie wyczułam niczego nowego. Pokręciłam głową i wróciłam do samochodu.

Podczas jazdy Twyla opowiadała nam o miasteczku, pokazując różne

charakterystyczne miejsca. Nie słuchałam jej, skupiając się na własnych odczuciach. Cmentarz miejski był jednym wielkim gniazdem zakłóceń, ale musieliśmy się zatrzymać, gdyż właśnie tu znaleziono czapkę Dylana.

Leżały tu setki ciał, niektóre bardzo świeże. Było za zimno na ściąganie butów, ale zdałam się na instynkt i podeszłam do najnowszych grobów. Zawał i śmierć z przyczyn naturalnych. Czasem człowiek jest już stary, słaby, po prostu się poddaje. Te

dwa zgony były niedawne, więc zwłoki nie mogły należeć do Dylana, który zaginął około dwóch lat wcześniej. Miałam przed sobą długi spacer. Nie trafiłam na nic niespodziewanego. Wszystkie ciała odpowiadały napisom na nagrobkach. Na szczęście Doraville nie było duże, a większość pogrzebów odbywała się teraz na nowym cmentarzu, w południowej części miasta.

Po wizycie na cmentarzu skierowaliśmy się w stronę zachodnich osiedli. Po jakimś czasie Twyla po raz kolejny zjechała na pobocze.

–Mężczyzna, który tu mieszka, był skazany za napaść na chłopca – wyjaśniła, wskazując na zaniedbany biały dom, ledwie widoczny zza drzew i kurtyny dzikiego wina. – Był wielokrotnie przesłuchiwany w tej sprawie.

Nic nie wyczuwałam z samochodu, wysiadłam więc i odeszłam kilka kroków. Przymknęłam oczy. Z lewej strony, jakby z głębi lasu, dobiegło mnie niewyraźne brzęczenie, podobne jak w przypadku starych cmentarzy. Z tyłu usłyszałam szum opuszczanej szyby.

–Zapytaj, czy jest tu gdzieś w pobliżu jakiś stary kościół z cmentarzem – poprosiłam Tollivera.

–Tak! – odkrzyknęła Twyla. – Tam dalej jest Mount Ararat. Wróciłam do samochodu.

–Nic. Twyla odetchnęła głęboko, jakby zamierzała rzucić na stół

ostatni atut. Przekręciła kluczyk i ruszyliśmy, oddalając się od miasteczka. Na ekraniku nawigacji w wozie Twyli widziałam, że jedziemy na północny zachód. Po chwili droga zaczęła się pięć pod górę. Potoczyłam spojrzeniem po okolicznych wzgórzach.

Jeśli ciało Jeffa leży właśnie tam, to nigdy go nie odnajdziemy. Nie miałam ochoty

włóczyć się po górach, szczególnie przy takiej pogodzie. Przez głowę przemknęła mi samolubna myśl: dlaczego Twyla nie wezwała mnie dwa miesiące wcześniej?

Albo choćby miesiąc? Zadrżałam na wspomnienie szczypiącego mrozu, lodowatych płacht zalegającego gdzieś śniegu i prognoz pogorszenia pogody. Jechaliśmy znów pod górę, choć nie bardzo stromą. Naraz Twyla zatrzymała się znowu. Dostrzegłam, że siedzi sztywno i bardzo pobladła.

–Tu leżał telefon – rzekła, wskazując w bok. – Sprawdziłam u

szeryfa i zaznaczyłam dokładne miejsce kamieniem.

Na poboczu leżał częściowo wkopany głaz z wymalowanym na wierzchu niebieskim krzyżem.

–Głęboko go zakotwiczyłaś – zauważył Tolliver.

–Turyści muszą przechodzić ponad nim. Nie chciałam, żeby go przestawili – odparła. – Zrobiłam to trzy miesiące temu.

Wysiadłam z samochodu i rozejrzałam się, jednocześnie naciągając rękawiczki. Tu na górze było jeszcze zimniej. Madison Street pięła się stromo, wcięta w zbocze góry wyrastającej po lewej stronie. Z boku, na wąskim, płaskim kawałku gruntu, przytulone do nieregularnego stoku, stało stare domostwo. Zrujnowane, zapewne opuszczone od wielu lat. Obrys budynku był niekształtny, wymuszony nierównościami skarpy, długi, miejscami bardzo wąski.

Zaparkowaliśmy na skraju głębokiego wąwozu; wystarczył jeden nieostrożny krok, żeby stoczyć się w dół. Pod podjazdem biegł rów pozwalający spływać deszczówce. Resztki podjazdu przecinało zdewastowane ogrodzenie. Spośród pożółkłych, poszarzałych kęp traw i brązowych chaszczki sterczały

kontrastowo zielone sosny. Pozostałości ogrodzenia zdawały się trzymać tylko dzięki zarastającym je krzewom i niewielkim drzewkom.

Zabudowania były skromne. Dach domu nie zapadł się, ale ziały w nim dziury, z ganku zostały resztki, w oknach brakowało szyb. Obok znajdował się przekrzywiony garaż na dwa samochody. Rozwarte wrota wisiały smętnie na zawiasach. Garaż, podobnie jak dom, był niegdyś zapewne biały. Nieco z tyłu stała niewielka szopa. Całość stanowiła esencję gotycko malowniczej ruiny w stylu południowym.

Połyskliwa, ciemna woda w rowie drenażowym musiała być piekielnie zimna. Przez kilka ostatnich tygodni dużo padało, teraz też wyczuwało się w powietrzu nadchodzący deszcz.

Tolliver skinął lekko głową. Zapewne oczekiwał, że zejść ścieżką w dół, gdzie stok przechodził w dno doliny. Prawdopodobnie sądził, że sprawca ukrył ciało na bardziej dostępnym terenie, a przedmioty wyrzucił z samochodu, jadąc pod górę. W innych okolicznościach zapewne podążyłabym za jego wskazówkami.

Jednak nie było takiej potrzeby.

W chwili gdy moja stopa dotknęła ziemi, wiedziałam, że będę miała coś dla Twyli. Brzęczenie było silne i wzmagало się wraz ze zbliżaniem do wyboistego podjazdu. Nie mogło pochodzić od jednego ciała. Opadły mnie złe przecucia, bardzo złe; aż bałam się spojrzeć na Tollivera. Wziął moją dłoń i położył sobie w zagięciu łokcia. Wiedział już, że zmierzam ku zaroślom na podwórku starego domu.

–Nierówno tu. Szkoda, że nie założyliśmy odpowiednich butów – powiedział. Słyszałam, że mówi, ale jego słowa

dochodziły jak zza ściany. Obserwowałam niebieski pick-up, zwalniający przed zakrętem i znikający za nim. To był pierwszy samochód, jaki widziałam na tej drodze.

Kiedy warkot silnika ucichł, słyszałam już tylko nieistotne sygnatury dwójki żywych i coraz silniejsze sygnały zmarłych. Ruszyłam naprzód, ciągnąc za sobą Tollivera. Możliwe, że chciał mnie nieco przyhamować, ale nie zwalniałam. To była moja chwila – moment połączenia z mocą, darami czy impulsem, który czynił mnie wyjątkową.

–Lepiej przynieś oznaczenia – poradziłam Tolliverowi, który

bez słowa poszedł po sznurek z czerwonymi plastikowymi

proporczykami.

Stałam na lodowatym, wilgotnym powietrzu, pośrodku tego, co niegdyś było podwórkiem. Okręciłam się, czując, jak buczenie intensywnieje, jakby zmarli coraz głośniejsze domagali się odnalezienia. Bo tego właśnie pragną – aby poznano miejsce ich spoczynku.

Próbowałam coś powiedzieć, zakrztusiłam się, rozkaszałam.

–Harper? – zawołał Tolliver. – wszystko w porządku? Zrobiłam kilka chwiejnych kroków.

–Tu – wykrztusiłam.

–Mój wnuk? Jeff tu jest? – Twyla szła pospiesznie w moją

stronę, ciężko dysząc.

Przeszłam kawałeczek dalej.

–I tu – wskazałam.

–Jego ciało jest w częściach?

–Nie, tu jest więcej ciał – wyjaśnił Tolliver. Wyciągnęłam przed siebie ręce, żeby wzmocnić odczyt.

Obróciłam się ponownie, wolniej, zamknęłam oczy i zaczęłam

liczyć.

–Osiem – powiedziałam.

–O mój Boże! – jęknęła Twyla, siadając ciężko na pieńku. – Dzwonię po policję.

Musiały ogarnąć ją nagle wątpliwości, bo rzuciła Tolliverowi pytające spojrzenie.

–Harper nigdy się nie myli – zapewnił ją.

Usłyszałam piski wybieranego numeru.

–Co im się stało? – zapytał Tolliver cicho. Wiedział, że

właśnie słucham.

Nie odpowiedziałam. Nadeszła chwila, żeby się dowiedzieć. Nie chciałam, żeby ktoś obcy mnie przy tym obserwował.

–W porządku – powiedziałam, otrząsając się. – Tolliver? – chciałam go uprzedzić, żeby w razie czego był gotów.

–Jestem przy tobie – powiedział i poczułam jego dłoń na ramieniu. Stanęłam dokładnie nad jednym z ciał i sięgnęłam w dół. Ujrzałam ziemię, kamienie, przebłysk piekła. To była ostatnia rzecz, jaką zapamiętałam.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Ocknęła się? – głos należał do Sandry Rockwell, ale brzmiał dziwnie obco.

–Harper? – tym razem mówił mój brat. – Harper?

Bardzo nie chciałam tego robić, ale musiałam. – Już –

powiedziałam tak słabo, jak się czułam. – Znaleźliście ich?

–Powiedz, co mam robić – zażądała szeryf Rockwell. Sądząc

z tonu, nie chciała tu teraz być.

Otworzyłam powieki i napotkałam zaniepokojone spojrzenie ocienionych kapeluszem oczu. Szeryf Rockwell miała na sobie puchową kurtkę, w której wydawała się dwa razy większa.

–Są tam – zapewniłam ją. – Niech pani da mi chwilkę, a

pokażę, gdzie kto leży. I jest ich ośmiu, nie sześciu.

–Skąd pani może to wiedzieć?

Siedziałam na tylnej kanapie wozu Twyli z głową podpartą

poduszką.

–Masz, zjedz coś słodkiego – nalegał Tolliver, wyciągając z kieszeni cukierka. Rozwinął go i włożył mi do ust. Z doświadczenia wiedziałam, że zaraz poczuję się lepiej. Trwałoby to krócej, gdybym miała colę.

–Chciała mi pani uwierzyć, zanim cokolwiek zrobiłam -przypomniałam Sandrze Rockwell. – Niech mi pani zaufa i zacznie kopać.

–Jeśli to oszustwo, skończy pani w pace – zagroziła.

–Nie ma sprawy, sama sobie nawet założę kajdanki.

Zebrałam siły, żeby odwrócić głowę i popatrzeć przez okno.

Na posesji stało kilku zastępców, a wraz z nimi Twyla. Jej mina

poruszyłaby serce najbardziej zatwardziałego oszusta. Choć może i nie.

Natknęliśmy się na kilku podczas naszych podróży -współczucie było im obce. Nie

posiadali go w swoim emocjonalnym repertuarze.

–Proszę mi pokazać to miejsce – zażądała szeryf.

Tolliver pomógł mi wsiąść i powoli ruszyliśmy na miejsce,

gdzie zemdlałam. Drżąc na myśl o ponownym doświadczeniu emocji towarzyszących śmierci, podeszłam tam, gdzie wyczułam najświeższe zwłoki.

–Tutaj. – Wskazałam palcem ziemię pod stopami.

Wiedziałam też dobrze, czyje to ciało. Jeff, wnuk Twyli. Tolliver

wyłowił z kieszeni kołonotatnik i nakreślił na szybko szkic terenu.

–To Jeff, Jeff McGraw – zwróciłam się do niego. – Został

uduszony.

Tolliver oznaczył wskazane miejsce taśmą. Chorągiewka falowała nieznacznie na lekkim wietrze. Później objął mnie i wziął za rękę. Powiodłam go kawałek pod górkę, zatrzymując się w miejscu kolejnej mogiły. Z oczu popłynęły mi łzy. Nigdy nie odczuwałam takiego ogromu cierpienia.

–Tu – wykrztusiłam. – Chester. – Kilka metrów dalej leżało

ciało chłopca, o którym szeryf Rockwell nie wspomniała. – Ma na

imię Chad, Chad... Coś na T.

Szeryf robiła własne notatki. Zastępcy słuchali i obserwowali scenę, ale ich miny wyrażały sceptycyzm, a nawet rozdrażnienie. Nic nie mogłam na to poradzić, niebawem sami się przekonają.

Ruszyłam, kierując się sygnałem dochodzącym z miejsca pod stromym zboczem. Aby tam dotrzeć, musiałam pokonać kępę krzewów. Otarłam twarz chusteczką.

–Dylan – rzuciłam i skręciłam za dom. Szeryf i jej zastępcy

deptali mi po piętach. – Aaron. Wspominała pani o Aaronie, tak? – Parę kroków na południe. Tym razem było trudniej. W chwili śmierci chłopcem całkowicie zavlądęła groza i panika. – To chyba Tyler – powiedziałam i skierowałam się do ciała leżącego najbardziej na południu. Wiedziałam, że to najstarsza mogiła, gdyż wibracje były nieco słabsze niż w przypadku pozostałych. – To pierwsza ofiara – zwróciłam się do szeryf, która szła obok, nieprzerwanie robiąc zapiski. Nie miała problemów z nadążaniem za mną, bo ledwie trzymałam się na nogach. – Nazywał się... -

Potrząsnęłam głową, próbując się bardziej skoncentrować. – James. James cos tam. Ray... Roy... James Roberts? Nie mogę... Nic wiem dokładnie, jak miał na nazwisko. Chodźmy stąd, Tolliver – jęknęłam wyczerpana. Nieopodal znajdowało się jeszcze jedno ciało, chłopca imieniem Hunter. Słaniałam się już, kiedy tam doszłam. Zmarł w wyniku hipotermii. Był jednym z tych uprowadzonych jesienią.

–Mogę już zawieźć siostrę do miasta? – zapytał Tolliver. – Musi się położyć.

–Nie – odparła szeryf przez zęby. – Najpierw musimy to sprawdzić. – Chciała mieć mnie pod ręką, w razie gdyby okazało się, że kłamię. – W którym miejscu mamy zacząć kopanie?

Potrząsnęłam głową.

–Obojętne. Wszystkie są oznaczone chorągiewkami.

Twyla powoli wróciła do samochodu. W tym momencie

byłam szczęśliwa, że nie czytam w myślach żywych. Samo wyobrażanie sobie, przez co teraz przechodziła, bolało, a przecież było to nic w porównaniu do ogromu jej prawdziwego cierpienia. Mimo to kiedy wsiedliśmy do cadillaca, włączyła silnik i podkręciła ogrzewanie. Całe wieki siedzieliśmy skuleni na

fotelach, bez słowa. W głowie mi szumiało, nie mogłam zebrać myśli. Mój umysł opanowały przerażające obrazy, jakie odebrałam od zmarłych chłopców. Nie patrzyłam, co dzieje się w obejściu starego domu, ale Twyla obserwowała poczynania stróżów prawa.

–Wykopali już pół metra – odezwała się wreszcie. – Fatalna

pogoda na pracę pod gołym niebem. Mam nadzieję, że Dave i

Hairy nie złapią kataru. A tym bardziej Sandra.

Pomyślałam, że sama chętnie poczekałabym na lepszą pogodę, ale zmilczałam.

To było moje pierwsze masowe morderstwo.

Tuż przed jedenastą Dave i Harry, zastępcy szeryfa, odkryli pierwsze kości. Prace wykopaliskowe ustały nagle i był to bardzo wymowny przestój. Szeryfowie tkwili bez ruchu, zapatrzeni w wykopaną dziurę. Nie zauważyłam nawet, kiedy wykręciłam głowę. Teraz wyprostowałam się, przyjmując wygodniejszą pozycję. Tolliver i Twyla spojrzeli na mnie.

–Mój wnuk?

Spodziewałam się tego pytania.

–Nie. Zaczęli od tego, który leży w północnej części działki. Przykro mi, Twyla. Mogiła twojego wnuka to ta, którą oznaczyliśmy jako pierwszą. Przykro mi, że w ogóle jest pośród innych – nie miałam pojęcia, jak inaczej to ująć.

–Nie może pani być całkiem pewna – w jej głosie słyszałam wahanie. Znałam Twylę Cotton dopiero od kilku godzin, ale już wiedziałam, że niepewność nie leży w jej charakterze.

–Nie, oczywiście – skłamałam. Moja dziwna umiejętność jest wszystkim, co mam. Oprócz Tollivera i młodszych sióstr przyrodnich. Jestem bardzo ostrożna, jeśli chodzi o mój dar, nie wydaję opinii, dopóki mam choć cień wątpliwości. Chłopiec,

którego widziałam w jednej z mogił, był z pewnością tym samym, którego przedstawiały zdjęcia w domu Twyli Cotton.

–Jak... W jaki sposób oni zginęli? Tego pytania obawiałam się najbardziej.

–Nie mogę... – nie byłam w stanie dokończyć zdania. – Naprawdę nie mogę – stwierdziłam stanowczo.

Tolliver skrzywił się i odwrócił wzrok ku drodze, która wiała się pod górę i znikwała za zakrętem. Nie trzeba jasnowidza, żeby się domyślić, że wolałby teraz jechać szosą, zostawiając to miejsce daleko za sobą. Ja zresztą marzyłam o tym samym. Było mi słabo od koszmaru, który stał się moim udziałem. Widziałam wiele śmierci i myślałam, że uodporniłam się już na straszne uczucia, które czasem jej towarzyszyły, jednakże nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z czymś tak potwornym.

–Możecie jechać.

Wzdrygnęłam się zaskoczona pojawieniem Sandry Rockwell.

Podeszła do samochodu i otworzyła drzwi.

–Wracajcie do Twyli i poczekajcie tam na mnie.

Muszę natychmiast zadzwonić do SBI.

Stanowe Biuro Śledcze będzie nieocenioną pomocą dla tak

niewielkich sił, choć niezbyt mile widzianą. Sandra była blada, zła i przestraszona.

Twyla podjechała kawałek pod górę do miejsca, gdzie droga pozwalała na zawrócenie. Ostrożnie wykonała manewr i po chwili samochód, mijając ruinę i

upiorne podwórko, toczył się w dół, z powrotem do Doraville. W garażu wysiadła bardzo powoli, jakby podczas nieobecności w domu przybyło jej lat. Otworzyła drzwi i ciężkim krokiem skierowała się prosto do kuchni, gdzie przez chwilę staliśmy wszyscy w kłopotliwym milczeniu.

–Kazała nam zostać tutaj, z panią – przypomniałam. – Bardzo mi przykro. Też wolelibyśmy wrócić do motelu i zostawić panią samą. Potrzebuje pani teraz chwili dla siebie.

–Pójdę na górę i położę się na moment – powiedziała Twyla. – Rozgośćcie się. Napoje są w lodówce. Zawołajcie mnie w razie potrzeby. Jeśli jesteście głodni, szynka leży na drugiej półce, a chleb w chlebaku, tam – wskazała.

Kiwnęliśmy głowami, patrząc, jak powoli wspina się po schodach, ze spuszczonego wzrokiem i skurczoną z bólu twarzą. Po chwili usłyszeliśmy, jak rozmawia przez telefon.

Usiedliśmy przy stole, nie bardzo wiedząc, co ze sobą począć. Nawet gdybyśmy byli w nastroju, nie włączylibyśmy telewizora czy radia. Wreszcie Tolliver wyciągnął z lodówki colę i zajął się rozwiązywaniem krzyżówki, ja zaś zagłębiłam się w lekturze Reader's Digest, który znalazłam na blacie.

Nie wiem, ile czasu spędziliśmy w ciszy, kiedy drzwi otworzyły się nagle i do kuchni wpadła poruszona para. Zatrzymali się na nasz widok, ale raczej żeby nam się przyjrzeć, niż w wyniku zaskoczenia obecnością obcych ludzi w domu. Mężczyzna był bardzo wysokim szatynem, kobieta krągłą, farbowaną blondynką.

–Gdzie moja matka? – rzucił mężczyzna.

–Na piętrze – odparłam. Nie tracąc czasu, para ruszyła na górę. Oboje mieli na

tutejszy „mundurek” zimowy – koszule flanelowe, dżinsy, grube kurtki i ciepłe buty.

–Syn i jego żona – strzelił Tolliver. Miał spore szansę na

trafienie. – Parker i Bethalynn. – Zawsze miał lepszą pamięć do imion.

Zabrzęczał dzwonek telefonu, ktoś na górze odebrał. Cała sytuacja była, delikatnie mówiąc, co najmniej niezręczna.

–Wynośmy się stąd – zaproponował Tolliver. – Mam gdzieś, co powiedziała ta glina. Nie musimy tu sterczeć.

–Moglibyśmy przynajmniej czekać w naszym samochodzie. Lepiej bym się czuła.

–Dobry pomysł.

Umyliśmy kubeczki po porannej kawie, ułożyliśmy je na

suszarce. Zebraliśmy okrycia, ruszając do wyjścia. Wyszliśmy cichcem z kuchni na podjazd i wsiedliśmy do samochodu. Wielki pick-up stał na szczęście za cadillakiem Twyli. Ulżyło mi, że nie jesteśmy przyblokowani. Tolliver przekręcił kluczyk w stacyjce i już po chwili zrobiło się ciepłej. Poranny chłód nie zelżał wcale, wprost przeciwnie, niebo jeszcze bardziej poszarzało. Po dziesięciu minutach, które spędziliśmy w milczeniu, Tolliver wycofał i skierował się do motelu.

W pokoju przywitało nas rozkoszne ciepło. Zrobiłam szybko dwie porcje czekolady i już po chwili siedzieliśmy, grzejąc dłonie o gorące kubki, sącząc wodnisty płyn. Kiedy odtajałam, wyjęłam z torby książkę i wyciągnęłam się na łóżku. Bardzo starałam się skupić na lekturze, ale moje myśli uparcie krążyły wokół zabitych chłopców.

–Ośmiu – powiedział Tolliver. Siedział na jednym z krzeseł, opierając nogi o kant łóżka.

–Tak. To straszne, naprawdę straszne.

–Powiesz mi coś więcej?

–Zimno mi się robi na samą myśl o tym, co przeszli.

Torturowano ich, cięto nożami, bito. Zostali zgwałceni. Umierali

powoli, w męczarniach. Odniosłam wrażenie, że sprawców było więcej.

Tolliver wyglądał na wstrząśniętego.

–Współczuję Twyli. To dużo gorsze niż znalezienie szczątków wnuka pod urwiskiem, ze złamaną nogą czy innymi obrażeniami od upadku.

–A będzie musiała jeszcze wiele przejść, zanim to się skończy.

Odnależliśmy wiele ciał ludzi, którzy ulegli wypadkom, szczególnie w górach. Większość amatorów górskich wędrówek nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństw albo ignoruje je, chodząc po znanym terenie. Stają się zbyt pewni siebie. Myśliwi na przykład, tak często biorą na polowanie broń, że zapominają o podstawowych zasadach bezpieczeństwa. Obchodzą się nieostrożnie ze strzelbą, nie pamiętają o naładowaniu baterii w komórkach, nie zawiadamiają nikogo, gdzie się udają, nie biorą

ze sobą apteczki czy podstawowego sprzętu ratunkowego, idą do lasu sami, nie zakładają odblaskowych kamizelek...

Jednakże ci chłopcy nie zginęli w wyniku wypadków.

–Zobaczysz, będzie jeszcze gorzej – powiedziałam. – I

znajdzie się ktoś odpowiedzialny za to wszystko. Zrobił to ktoś z okolicznych mieszkańców.

Tolliver przyglądał mi się w zamyśleniu.

–Fakt – odezwał się wreszcie. – Tylko ktoś z tutejszych mógł zakopać tam ciała, i to wszystkie w jednym miejscu.

–Jasne. Nikt nie przyjeżdżałby tu aż osiem razy, żeby ukryć zwłoki na tym konkretnym terenie. – Według mnie było to sensowne założenie.

–Wiesz, czy zostali zabici w miejscu pochówku?

–Nie odczytałam wszystkich – przyznałam. – Pierwszy, to

znaczy ten, którego znaleźliśmy jako pierwszego, owszem. Zginął

w domu albo w garażu. Dopóki nie wejdę do środka, nie będę wiedziała, gdzie dokładnie.

–Ten, który ich tam zabrał, to on to wszystko zrobił?

Milczałam przez chwilę, próbując wyłuskać konkrety z natłoku wrażeń.

–Tak sędzę – zawahałam się. Coś w tych morderstwach zastanawiało, coś nieuchwytnego.

–W takim razie to na pewno ktoś tutejszy – orzekł Tolliver.

–Ale jak to możliwe w tak małej społeczności?

–Znaczy, jak to możliwe, że był w stanie ukryć przed innymi swoje popędy? Pragnienie torturowania i zabijania chłopców?

–Właśnie. I jak to możliwe, że ludzi nie zaalarmowało tyle zniknięć?

–Myślę, że nie podejmowali stanowczych działań, bo nie znaleziono żadnych ciał.

Do zmroku siedzieliśmy pogrążeni we własnych ponurych myślach, od czasu do czasu udając, że czytamy. Wreszcie rozległo się pukanie. Tolliver wstał i otworzył drzwi, wpuszczając do pokoju Sandrę Rockwell. Ciemnozielone spodnie munduru szeryf były poplamione, kurtka też nosiła ślady zabrudzeń.

–Kopaliśmy razem z ludźmi z SBI – powiedziała bez wstępów.

–Miała pani rację. Znaleźliśmy wszystkich naszych chłopców plus dwóch nadprogramowych.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Usiedliśmy z Tolliverem na jego łóżku, zostawiając krzesło do dyspozycji Sandrze. Szeryf przyniosła ze sobą kawę z McDonald's, nie kłopotąłem się więc proponowaniem jej czekolady. Pominęła milczeniem naszą ucieczkę z domu Twyli. Sprawiała wrażenie zmęczonej, ale jednocześnie pobudzonej.

–W najbliższych dniach spodziewamy się sporego zamieszania. Już teraz do biura wydzwaniają stacje telewizyjne.

Wysyłają tu swoje ekipy. Śledztwo przejęło SM, ale będę z nimi współpracowała. Będę łącznikiem pomiędzy wami i SBI, w końcu przyjechaliście tu na moją prośbę. Pell Klavin, agent kierujący dochodzeniem, oraz agent specjalny Max Stuart chcą z wami porozmawiać.

–Marzę teraz – podjęła, kiedy się nie odzywaliśmy – żeby wręczyć wam czek i patrzeć, jak wyjeżdżacie. Doraville znajdzie się teraz w centrum uwagi. Hm, pewnie wiecie, jak to jest. Nie dość, że oskarżą nas o przeoczenie powiązań w tych sprawach i dopuszczenie do śmierci ośmiu osób, to jeszcze wyjdziemy na zabobonnych naiwniaków.

Liczy się efekt, pomyślałam.

–My też wolelibyśmy wyjechać – powiedział Tolliver, a ja kiwnęłam głową. – Nie chcemy brać udziału w tym cyrku. – Rozgłos w niektórych mediach służył naszym interesom, ale, niestety, w większości nie.

Szeryf Rockwell poruszyła się nerwowo na krześle. Oboje podnieśliśmy na nią wzrok. Patrzyła na nas dziwnie.

–O co chodzi? – zapytał Tolliver.

–Nie sądziłam, że tak lekko zrezygnujecie z szansy darmowej reklamy – wyjaśniła. – Zaczynam mieć o was lepsze zdanie. Naprawdę jesteście gotowi wyjechać? Jeśli możecie się przenieść do motelu w sąsiedniej miejscowości, postaram się przekonać agentów z SBI, żeby pojechali porozmawiać z wami tam.

–Wyjedziemy z Doraville dziś wieczorem – oświadczyłam. Poczułam, jakby wielki ciężar spadł mi z piersi. Byłam pewna, że szeryf każe nam zostać. Nie znosiłam zleceń związanych z oficjalnymi śledztwami. Zdecydowanie wolałam te „cmentarne”. Dojechać do miasta, iść na cmentarz, spotkać się ze zleceniodawcą, postać na grobie, opowiedzieć, co widziałam. Potem tylko odbiór czeku i wyjazd. Sandra Rockwell przynajmniej pozwoliła nam oddalić się od samego oka cyklonu.

–Może lepiej zaczekajmy do rana – zaproponował Tolliver -Jesteś trochę słaba.

–Odpocznę w samochodzie – odparłam. Czułam się jak królik, który wskoczył na tor dla chartów.

–Dobrze. – Tolliver co prawda zaprzestał sprzeciwów, ale spoglądał na mnie powątpiewająco. Rozumiał jednak moje gorączkowe pragnienie jak najszybszego opuszczenia Doraville.

–Świetnie – ucieszyła się szeryf, choć w jej głosie nadal pobrzmiwało lekkie zdumienie naszą postawą. – Twyla na pewno będzie chciała jeszcze z wami porozmawiać i oczywiście wręczyć czek.

–Spotkamy się z nią, zanim wyjedziemy stąd na dobre. A jak postępy na miejscu zbrodni? – zapytał Tolliver, kiedy szeryf podniosła się z zamiarem wyjścia.

Najwyraźniej zaliczyła już sprawę z nami do przeszłości, dlatego odwróciła się bardzo niechętnie.

–Rozkopaliśmy wszystkie zaznaczone miejsca na tyle, by przekonać się, że w każdym leży ciało – powiedziała. – Jutro, już przy dziennym świetle, ekipa techników kryminalnych będzie kontynuowała wykopaliska. Pewnie najcięższe, wstępne prace dostaną się moim zastępcom. Klavin i Stuart będą mnie o wszystkim informować na bieżąco. – Najwyraźniej żywiła wątpliwości co do tego ostatniego.

–To chyba dobrze, prawda? – uczucie ulgi sprawiło, że zaczęłam nerwowo paplać. – Że będą to robili technicy. Wiedzą, jak wyciągnąć szczątki, żeby nie zniszczyć żadnego dowodu.

–Owszem. Nie lubimy przyznawać, że potrzebujemy pomocy z zewnątrz, ale tak właśnie jest. – Sandra przez chwilę patrzyła na ręce, jakby chciała się upewnić, że

należą do niej. – Dostałam telefony od CNN i dwóch innych krajowych stacji, więc najlepiej, gdybyście wyjechali dziś wieczorem lub jutro wczesnym rankiem. I dajcie znać, jak się zameldujecie w nowym motelu. Nie opuszczajcie stanu. Pamiętajcie o rozmowie z SBI.

–Będziemy się trzymać okolicy – zapewnił ją Tolliver.

Szeryf wyszła już bez dalszych napomnień, a ja natychmiast

dopałam swojej torby i zaczęłam wrzucać do niej rzeczy. Potrzebowałam tylko kilku minut, żeby się przygotować do wyjazdu.

–Co ci się tak spieszy? – zagadnął Tolliver, zbierając swoje

przybory do golenia. – Moim zdaniem, powinnaś się przespać.

–To, co zobaczyłam, było przerażające. – Przerwałam

pakowanie, odwracając się do niego ze złożonym swetrem w

rękach. – Nie chcę dać się wplątać w to śledztwo. Przejrzę mapę i

zdecydujemy, w którą stronę jechać.

Nadal byłam słaba, ale chwyciłam leżące na telewizorze

kluczyki i pognałam na parking, zostawiając Tolliverowi pakowanie wspólnych rzeczy. Na zewnątrz ogarnęła mnie ciemność i przejmujący chłód. Doraville było dobrze oświetlone, nawet obok mnie stała latarnia, jednak nie dawała ostrego światła. Narzuciłam kurtkę i zadarłam głowę. Mimo zachmurzenia na nocnym niebie migotały gdzieś gwiazdy. Lubię patrzeć w gwiazdy, szczególnie w momentach, kiedy czuję się przytłoczona pracą. Są takie zimne, dalekie i niedosiężne. W ich blasku moje problemy wydają się mało znaczące. Zbliżały się opady, niemal czułam w powietrzu śnieg. Uwolniłam się spod czaru nocnego nieba, wracając myślami na ziemię i do moich aktualnych zmartwień. Nacisnęłam guzik zamka centralnego i ruszyłam chodniczkiem biegnącym od naszych drzwi. Kątem oka dostrzegłam jakiś ruch i zaczęłam obracać głowę, żeby spojrzeć w tę stronę.

Potężny cios trafił mnie w przedramię, tuż poniżej łokcia. Niespodziewany silny ból wyrwał mi z gardła krzyk, ale nie straciłam głowy i wdusiłam znajdujący się na breloku przycisk alarmu osobistego. Rozległ się głośny dźwięk, ale w następnej chwili kluczyki wypadły mi ze sparaliżowanej dłoni. Usiłowałam odwrócić się do napastnika, jednocześnie osłaniając głowę rękoma, ale nie zdołałam unieść lewego ramienia. Zdażyłam dostrzec odzianego na czarno mężczyznę w kominiarce i błysk przedmiotu zmierzającego dokładnie w moją skroń. Staralam się uchylić, ale cios

mnie dosięgnął. Choć miał mniejszy od zamierzonego impet i tak zdawało mi się, że łopata strąci mi głowę z karku. Rzuciłam się pędem ku drzwiom. Potem pamiętam tylko, że próbowałam wyciągnąć ręce, żeby zamortyzować upadek, ale udało mi się podnieść tylko jedną.

–Na pewno nic jej nie będzie? – usłyszałam głos Tollivera, głośniejszy i ostrzejszy niż zazwyczaj. – Harper? Harper! Odezwij się!

–Za chwilę dojdzie do siebie – uspokajał go ktoś, chyba jakiś starszy mężczyzna.

–Strasznie tu zimno – denerwował się Tolliver. – Wnieście ją do karetki.

Do licha, nie stać nas na to. Albo raczej szkoda pieniędzy, mamy inne wydatki.

–Nie – wychrypiałam niewyraźnie.

–Tak – upierał się Tolliver. Bogu dzięki, zrozumiał mnie. A co, gdybym była tu sama? Co, gdyby on postanowił... Rany, ale mnie boli głowa. Czy to lepkie na mojej dłoni to krew?

–Kto mnie uderzył? – zapytałam.

–Ktoś cię uderzył? – zdumiał się Tolliver. – Myślałem, że zemdlałaś! To był napad! Wezwijcie policję!

–W porządku, przyjadą do szpitala – odezwał się ten sam starszy mężczyzna o spokojnym głosie.

Nigdy w życiu nic nie bolało mnie tak jak teraz ręka. Z drugiej strony, cała byłam obolała. Marzyłam o ponownej utracie przytomności. Czułam się potwornie.

–Gotowi? – zapytał jakiś człowiek.

–Raz, dwa, trzy – odliczył Spokojny i nagle, krztusząc się z bólu, wylądowałam na noszach.

–Nie powinno boleć aż tak bardzo – usłyszałam kolejny głos, tym razem należący do kobiety. – Ma jakieś inne obrażenia? Oprócz tych na głowie?

–Ramię – próbowałam powiedzieć.

–Może nie powinniście jej ruszać – zdenerwował się Tolliver.

–Już ją ruszyliśmy – przypomniał Spokojny.

–Nic jej nie jest? – dopytywał się ktoś inny. Głupie pytanie. Podnieśli nosze do poziomemu podłogi karetki. Rozchyliłam

powieki, tylko odrobinę, i oślepiło mnie mocne światło lamp. Znów poczułam ukłucie żalu na myśl o kosztach całej imprezy, ale zaraz wepchnęli mnie do samochodu i znów przestałam cokolwiek czuć.

Odzyskałam przytomność dopiero w szpitalu. Pochylał się nade mną jakiś mężczyzna – siwy, krótko ostrzyżony, na nosie miał okulary w drucianych oprawkach. Na jego dobrotliwej twarzy rysowała się powaga. Wyglądał dokładnie tak, jak lekarz wyglądać powinien. W każdym razie miałam nadzieję, że to lekarz.

–Słyszysz mnie pani? Rozumie? – zapytał. – Ile palców pani

widzi?

Trzy pytania. Spróbowałam skinąć potakująco w odpowiedzi na dwa pierwsze i to był błąd. Jakie palce?

Kolejną rzeczą, jaką zarejestrowałam, był ciepły, zaciemniony pokój i wrażenie, że jestem opatulona w powijaki. Nie było wolnego pokoju w zajeździe? Otworzyłam szerzej oczy. Leżałam na łóżku zawinięta w białą bawełnianą pościel. Na ścianie nade mną jarzyła się lekko nocna lampka, a po słabym natężeniu dochodzących z otoczenia odgłosów oceniłam, że musi być środek nocy... Prawdopodobnie około trzeciej. Obok stał pomarańczowy rozkładany fotel, na którym niedbale przykryty szpitalnymi kocami spał Tolliver. Na jego koszulce ciemniały plamy krwi. Czyżby mojej?

Strasznie chciało mi się pić.

Do pomieszczenia wślizgnęła się rudowłosa pielęgniarka. Sprawdziła mój puls, temperaturę i uśmiechnęła się, widząc, że na nią patrzę, jednak nie odezwała się, póki nie skończyła pracy.

–Coś pani podać? – wyszeptała.

–Wody – wychrypiałam. Podniosła z szafki kubek i przytknęła mi słomkę do warg. Nie

zdawałam sobie sprawy, jak bardzo mam wyschnięte usta, dopóki nie wypełnił ich błogi chłód wody. Podawano mi kroplówkę. Musiałam się wysikać.

–Chcę do toalety – wyszemrałam.

–Dobrze, pomogę pani wstać. Ale bardzo wolno i ostrożnie. Zsunęła ramę łóżka, a ja

opuściłam nogi. To nie był najlepszy

pomysł. Staralam się trzymać prosto mimo koszmarnych zawrotów głowy. Objęła mnie, podtrzymując, i wreszcie udało mi się usiąść prosto. Sięgnęła po przycisk obniżający poziom materaca i w końcu przy jej pomocy stanęłam na zimnym linoleum. Powlokłyśmy się do łazienki, ciągnąc za sobą stojak z kroplówką. Siadanie na muszli kosztowało mnie wiele wysiłku, ale ulga, jaką poczułam, zrekompensowała trudy całej wyprawy.

Pielęgniarka stała za uchylonymi drzwiami, rozmawiając z Tolliverem. Wolałabym, żeby sobie trochę pospał, ale z drugiej strony byłam zadowolona, że się obudził. Poczułam się znacznie lepiej.

Podziękowałam pielęgniarce.

–Proszę zadzwonić w razie potrzeby – przykazała mi i wyszła.

Tolliver zaraz podszedł do łóżka i objął mnie bardzo delikatnie, zupełnie jakbym miała na czole nalepkę „Ostrożnie. Kruche”. Pocałował mnie w policzek.

–Byłem przekonany, że zemdłałaś i upadłaś – powiedział. –

Nie przyszło mi do głowy, że ktoś cię napadł. Nic nie słyszałem.

Pomyślałem, że może miałaś jakiś przebłysk z miejsca zbrodni

albo że zawiodła cię noga, albo dopadło coś innego z dolegliwości po porażeniu.

Porażenie piorunem pozostawia wiele różnych śladów. Rok wcześniej dręczył mnie szum w uszach, który po pewnym czasie sam przeszedł. Nie byłam w stanie znaleźć innej jego przyczyny niż wypadek, któremu uległam w wieku lat piętnastu. Nic więc dziwnego, że Tolliver pomyślał o tamtej katastrofie, kiedy znalazł mnie leżącą na ziemi.

–Widziałaś go? – zapytał. Wyłowiłam w jego tonie nutę absurdalnego poczucia winy.

–Tak – mojemu głosowi daleko było do normalności. – Ale niewyraźnie. Był ubrany na ciemno i miał wełnianą kominiarkę. Wyskoczył z ciemności. Najpierw uderzył mnie w ramię, a potem, zanim zdążyłam uciec, w głowę. – Zdawałam sobie sprawę, jakie miałam szczęście, że zdołałam się choć trochę uchylić. Dzięki temu nie trafił w skroń.

–Masz szczelinowe pęknięcie kości łokciowej –

poinformował mnie Tolliver. – Czyli tej długiej kości

przedramienia. I wstrząśnienie mózgu. Niezbyt poważne. Musieli

ci założyć kilka szwów, więc wygolili troszkę to miejsce. Ale nic

nie widać, naprawdę – zapewnił szybko, widząc moją minę.

Postanowiłam nie przejmować się utratą paru włosów, które przecież i tak odrosną.

–Ostatnio złamałam sobie coś dziesięć lat temu –

powiedziałam. – I był to tylko paluch.

Usiłowałam przygotować kolację dla młodszego rodzeństwa i

kiedy wyjmowałam z piekarnika naczynie żaroodporne z pieczonym kurczakiem, wpadła na mnie mama. Palec u stopy miałam nie tylko złamany, ale też oparzony. Byłam na tyle przytomna, by zdawać sobie sprawę, że tamten ból był niczym w porównaniu z tym, który czułabym teraz, gdyby nie naszpikowano mnie środkami przeciwbólowymi. Nie chciałam myśleć o tym, co będzie, kiedy przestaną działać.

Tolliver trzymał mnie za rękę; na szczęście prawą, zdrową. Zapatrzył się w przestrzeń. Rozmyślał. Czyli robił coś, na co ja byłam zbyt otępiała.

–To musiał być zabójca – stwierdził.

Wzdrygnęłam się. Mimo że mój mózg pracował teraz na

zwolnionych obrotach, myśl, że ten człowiek, ten sam, który wyrządził te wszystkie potworności pogrzebanym chłopcom, znajdował się tak blisko, dotykał mnie, patrzył oczami, które lubowały się w oglądaniu cierpienia – była straszna.

–Możemy jutro wyjechać? – nie udało mi się nabrać wystarczająco powietrza, żeby wypowiedzieć te słowa mocnym głosem.

–Nie ma mowy. Nie będziesz mogła podróżować jeszcze przez kilka dni. Musisz dojść do siebie.

–Ale ja nie chcę tu zostać – buntowałam się. – Cieszyłam się na wyjazd.

–Wiem, ale utknęliśmy tu na trochę – Tolliver starał się osłodzić stanowczą odpowiedź łagodnym tonem. – Morderca o to zadbał. Według lekarza masz szczęście, że to tylko wstrząśnienie mózgu. Spodziewał się, że jest dużo gorzej.

–Ciekawe, czemu nie został i mnie nie zabił.

–Zdążyłaś nacisnąć alarm i szybko wybiegłem. – Tolliver

wstał i zaczął krążyć nerwowo po pokoju. Głowa rozbolała mnie jeszcze bardziej. Był wściekły i bardzo zmartwiony. – Parking był pusty, nie widziałem nikogo. Ale nie rozglądałem się przecież. Myślałem, że po prostu upadłaś. Nie mógł odbiec dalej jak metr, kiedy wypadłem z pokoju, spieszyłem się. Gdyby nie ból, uśmiechnęłabym się.

–Wierzę – szepnęłam.

–Powinnaś się teraz przespać – zawyrokował, a mnie ten pomysł wydał się niezwykle kuszący.

Kiedy otworzyłam oczy, przez zasłony wpadało słońce, a za drzwiami panował rozgardiasz – szpital też się już obudził. Z korytarza dobiegały rozmowy, odgłosy kroków i turkotanie wózków. Pielęgniarki przyszły zmierzyć mi temperaturę, a potem dostałam tacę ze śniadaniem, czyli kawą i zieloną galaretką. Ku własnemu zdumieniu włożyłam do ust łyżeczkę z galaretką i poczułam, jaka jestem głodna. Przełykając z niekłamaną przyjemnością śliską porcję, zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam. Cóż, zielona galaretka była lepsza niż nic.

–Ty też powinieneś coś zjeść. Idź do motelu, weź prysznic -powiedziałam do Tollivera, który obserwował moje poczynania z przestraczem i fascynacją.

–Najpierw porozmawiam z lekarzem. Pielęgniarka mówiła, że zaraz przyjdzie.

Wkrótce do sali wszedł siwowłosy mężczyzna, który zajmował się mną w nocy – doktor Thomason. Nadal miał dyżur.

–Mieliśmy wczoraj w Doraville pracowitą noc. Mam dyżur

na pogotowiu trzy razy w tygodniu i dotąd nie zdarzyło mi się coś takiego.

–Dziękuję za wszystko, doktorze – powiedziałam uprzejmie,

choć oczywiście wykonywał tylko swoją pracę.

–Proszę bardzo. Jak już mówiłem wczoraj pani bratu,

stwierdziłszy szczelinowe złamanie kości łokciowej. To nie jest

całkowite złamanie, tylko pęknięcie. Wystarczy półsztywna

opaska ortopedyczna. Proszę ją nosić całą dobę przez kilka

tygodni. Przy wypisie dostanie pani skierowanie na kontrolę. Ból będzie się utrzymywał jeszcze przez kilka dni. Do tego dochodzą obrażenia głowy. Będzie pani potrzebowała leków uśmierzających. Później wystarczy paracetamol.

–Mogę zacząć wstawać?

–Jeśli poczuje się pani na siłach i ktoś będzie panią asekurował, może pani pospacerować po korytarzu. W razie mdłości czy zawrotów głowy należy natychmiast się położyć.

–Ona już chce się wypisać ze szpitala – poskarżył Tolliver. Starał się mówić lekkim tonem, ale nie za bardzo mu wyszło.

–To nie najlepszy pomysł. – Lekarz popatrzył na niego i znów na mnie. Przyznaję, mogłam mieć nieco ponurą minę. – Powinna pani skłonić brata do odpoczynku. Będzie się panią opiekował przez następnych kilka dni. Przyda mu się porządna drzemka. A pani powinna zostać jeszcze trochę na obserwacji. Na pewno macie przynajmniej podstawowe ubezpieczenie, prawda?

W tej sytuacji nie mogłam nalegać na wypis, nie po tym, jak zalecił Tolliverowi odpoczynek. Tylko zły człowiek odmówiłby bratu chwili wytchnienia. A ja uważałam się za dobrą osobę. Na to też liczył doktor Thomason. Podobnie jak Tolliver.

Zastanawiam się, czy nie grymasić tak, żeby szpital sam

chciał się mnie jak najprędzej pozbyć, ale dołożyłabym tym tylko zmartwień Tolliverowi. Przyjrzałam mu się, tak uważnie. Był przygarbiony i miał podkrążone oczy. Wyglądał na więcej niż swoje dwadzieścia osiem lat.

–Tolliver – powiedziałam przepaszająco, pełna poczucia winy. Podeszedł, wziął mnie za rękę i przyłożył mi do policzka wierzch swojej. Zza chmur wyszło słońce, pieszcząc moją twarz ciepłem. Kochałam go ponad życie, ale nigdy nie powinien się o tym dowiedzieć.

–W takim razie do zobaczenia jutro rano – rzekł doktor Thomason z nagłym ożywieniem. – Dzisiaj może już pani normalnie jeść. Proszę się nie przeforsować i jak najwięcej wypoczywać.

Wyszedł, zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć. Puściłam dłoń Tollivera, robiąc sobie wyrzuty, że ta chwila bliskości trwała zdecydowanie za długo. I nie miałam na

myśli tulenia twarzy do jego dłoni, bo to nam obojgu było potrzebne.

Pochylił się, żeby ucałować mnie w czoło.

–Wezmę prysznic, zjem coś i trochę się zdrzemnę -powiedział. – Bardzo cię proszę, wstrzymaj się z samodzielnym wstawaniem, dopóki nie wrócę. Obiecuj mi, że w razie czego wezwiesz pielęgniarkę.

–Obiecuję. – Zastanawiające, dlaczego wszyscy uważają, że za ich plecami natychmiast zrobię coś niewłaściwego. Jedyne, co różniło mnie od innych, to wypadek z piorunem. Nie byłem przecież żadną buntowniczką, piekielnicą, prowokatorką ani nikim podobnie łatwo ulegającym emocjom czy irytującym.

Po wyjściu Tollivera poczułam się zagubiona. Nie miałam nawet książki, dopiero obiecał mi ją przynieść. Zresztą i tak

wątpiłam, czy ból głowy pozwoli mi czytać. Mogłam poprosić, żeby wziął raczej odtwarzacz ze słuchawkami i audiobooki.

Ponudziłam się grzecznie z dziesięć minut, po czym uważnie przestudiowałam szereg guzików na panelu łóżka. Po chwili udało mi się włączyć telewizor. Na ekranie pojawił się obraz z kanału wewnątrzszpitalnego i jakiś czas oglądałam hol oraz wchodzących i wychodzących ludzi. Choć mój próg nudy był całkiem wysoki, szybko miałam dość. Przerzuciłam na wiadomości. I natychmiast tego pożałowałam.

Spokojne zrujnowane domostwo i malownicze otoczenie przeobraziły się w ciągu jednego dnia nie do poznania. Pamiętałam, jakie to było opuszczone, odizolowane miejsce. Wystarczająco odludne, żeby bez świadków pogrzebać w nim ośmiu młodych ludzi. Teraz wystarczyło kichnąć, żeby natychmiast podlatywała chmara dziennikarzy z mikrofonami. Reportaż wydawał się świeży, może nawet była to relacja na żywo, bo słońce znajdowało się w tej samej pozycji co u mnie za oknem. Swoją drogą, miło było patrzeć na słońce po tej szarzyźnie, miałam nadzieję sama się nim nacieszyć, choć po reakcjach osób na ekranie widziałam, że jest okropnie zimno.

Nie słuchałam komentatora, wpatrywałam się za to w ludzi w tle. Jedni mieli na sobie mundury, ale inni kombinezony – pewnie technicy z SBI. Dwaj mężczyźni w garniturach to prawdopodobnie Klavin i Stuart. Byłam dumna z siebie, że zapamiętałam ich nazwiska. Zastanawiałam się, kiedy ktoś mnie zacznie nachodzić. Miałam nadzieję, że nikt z mediów nie spróbuje zadzwonić do szpitala, a tym bardziej tu wpaść. Może uda mi się jutro wypisać i wyjedziemy jak najdalej, o ile to możliwe, od tego miasta i zbrodni. Obracałam tę myśl w głowie przez kilka minut, aż z

zadumy wyrwało mnie natarczywe pukanie do drzwi.

Dwaj mężczyźni w garniturach i pod krawatami – ostatnia rzecz, jaką chciałam teraz

ujrzeć.

–Nazywam się Pell Klavin, a to Max Stuart – zaczął ten

niższy, pod pięćdziesiątkę. Schludny, starannie ubrany, jego włosy

zaczynały siwieć, a buty lśniły jak lustro. Nosił okulary w

cieniutkich oprawkach. – Jesteśmy ze Stanowego Biura Śledczego.

Drugi agent był nieco młodszy od kolegi i nawet jeśli miał jakieś siwe włosy, nie było ich widać w blond czuprynie. Ubierał się tak samo starannie jak Klavin.

Skinęłam i natychmiast skrzywiłam się z bólu. Machinalnie dotknęłam bandaży, przy okazji przekonując się, że głowa wcale mi nie odpadła. Z drugiej strony, może przyniosłoby mi to ulgę. W każdym razie opatrunek był suchy i trzymał się na miejscu. Za to ręka dawała mi się we znaki.

–Słyszeliśmy o wczorajszym napadzie, pani Connelly -przeszedł do rzeczy agent Stuart.

–Tak? – Byłam wściekła na siebie, że kazałam Tolliverowi iść, i jednocześnie irracjonalnie zła na niego za posłuchanie mnie.

–Bardzo współczujemy, naprawdę nam przykro. – Klavin roztoczył wokół tak skoncentrowaną aurę południowego czaru, że zrobiło mi się niedobrze. – Wie pani, jaki mógł być powód ataku?

–Nie. Nie wiem. Podejrzewam jednak, że mógł mieć coś wspólnego z odnalezieniem ciała.

–Dobrze, że pani o tym wspomniała – przejął pałeczkę Stuart. – Może pani wyjaśnić, w jaki sposób odkryła miejsce pochówku? Co pani wiedziała na ten temat?

–Nic nie wiedziałam – odparłam. Najwyraźniej przestali się interesować napadem na mnie i szczerze mówiąc, trudno się było

dziwić. W przeciwieństwie do tych ośmiu chłopców – ja żyłam.

–To skąd pani wiedziała, gdzie leżą? – Brwi Klavina

wystrzeliły w górę. – Znała pani którąś z ofiar?

–Nie, nigdy przedtem tu nie byłam.

Oparłam się ostrożnie o poduszki, przygotowując na

rozmowę o tak znajomym przebiegu. Bez sensu. I tak mi nie uwierzą, zaczną wyszukiwać powody, dla których mogłabym kłamać w kwestii odnalezienia zwłok, zmarnują całą masę czasu i pieniędzy podatników na próbę ustalenia związków pomiędzy mną a ofiarami lub mną a mordercą. Powiązania takie nie istniały, więc bez względu na to, ile włożyliby w poszukiwania wysiłku, nic nie znajdą.

Zacisnęłam dłonie na pościeli, zbrojąc się w cierpliwość.

–Nie znam żadnego z chłopców pogrzebanych w tamtym miejscu – oświadczyłam. – Nie wiem także, kto ich zabił. W waszej centrali na pewno mają akta, w których jest o mnie sporo, proszę je przeczytać. Czy możemy uznać tę rozmowę za skończoną?

–Ależ skąd, dopiero zaczynamy – stwierdził Klavin.

–Proszę, panowie, dajcie mi spokój – jęknęłam. – Czuję się paskudnie, muszę się przespać i nie mam nic wspólnego z waszym śledztwem. Ja tylko odnajduję ciała, reszta należy do was.

–Twierdzi pani, że znajduje zwłoki zupełnie przypadkiem? – W głos nie dało się włożyć więcej sceptycyzmu, niż zrobił to Stuart.

–Oczywiście, że nie przypadkiem. To byłoby idiotyczne. – Natychmiast złąkałam się w duchu za odpowiedź. Próbowali przeciągać rozmowę w nadziei, że przypadkiem zdradzę, jak naprawdę znajduję martwych. Jednocześnie prawdy nie zaakceptowałyby nigdy.

–Idiotyczne? – kontynuował Stuart. – Uważa pani, że to brzmi idiotycznie?

–A panowie to kto? – zapytał stojący w drzwiach młody człowiek.

Nie wierzyłam własnym oczom.

–Manfred? – wydukałam oszołomiona. Blask bijący z przekłutej brwi (prawej), nozdrza (lewego) oraz uszu (obu) otaczał Manfreda Bernardo srebrzystą poświatą. Manfred zgolił kozią bródkę, jednak nie zrezygnował z krótkiej, kolczastej platynowej fryzury.

–Tak, kochanie, przybyłem najszybciej jak mogłem -powiedział. Gdybym nie leżała, pewnie padłabym z wrażenia.

Z gracją akrobaty podszedł i wziął mnie za rękę, tę, w której nie miałam wenflonu. Uniósł ją do ust i nagle poczułam, jak kolczyk w jego języku muska moje palce. Potem zamknął moją dłoń w obydwu swoich.

–Jak się czujesz? – zapytał, zupełnie ignorując agentów. Patrzył mi przy tym

głęboko w oczy. Pojęłam.

–Nie za dobrze – odparłam słabo. Niestety, czułam się dokładnie tak samo. – Tolliver powiedział ci pewnie o wstrząsie mózgu? I złamanej ręce?

–A ci dżentelmeni? Dlaczego nachodzą cię w tym stanie?

–Nie wierzą mi – poskarżyłam się jękliwie. Manfred spojrział na nich, unosząc kolczykowaną brew. Agenci przyglądali się memu gościowi z odrobiną

zaskoczenia i potężną dozą niesmaku. Klavin poprawił okulary, jakby miał nadzieję, że dzięki temu Manfred będzie wyglądał lepiej, zaś Stuart skrzywił się, jakby przełknął cytrynę.

–A pan to...? – zawiesił głos Stuart.

–Ja to Manfred Bernardo, przyjaciel Harper – oświadczył chłopak pompatycznie, a ja ledwie zdołałam utrzymać powagę. Zwalczając pokusę wyszarpnięcia się z jego uścisku, wbiłam mu paznokcie w skórę.

–A skąd pan jest, panie Bernardo? – drażył Klavin.

–A z Tennessee. Przyjechałem, gdy tylko dowiedziałem się o wypadku. – Manfred pochylił się, całując mnie w policzek. – Widzę, że Harper jest za słaba na przesłuchania. – Wyprostował się z bardzo poważną miną, spoglądając to na jednego, to na drugiego agenta.

–Nie wygląda aż tak źle – zaprotestował Stuart, ale wymienił spojrzenia z kolegą.

–Jest bardzo osłabiona – upierał się Manfred. Był ze

dwadzieścia lat młodszy od Klavina i niższy od Stuarda – miał

może nieco ponad metr siedemdziesiąt – ale ta wytatuowana,

poprzekłuwana skóra oblekała twardego, autorytatywnego

młodego mężczyznę.

Przymknęłam powieki. Naprawdę byłam wykończona, a na dodatek ledwie powstrzymywałam się od wybuchnięcia śmiechem.

–Zostawimy was teraz samych – rzekł Klavin wyraźnie niezadowolony. – Ale wrócimy jeszcze porozmawiać z panną Connelly.

–W takim razie do zobaczenia – pożegnał ich grzecznie Manfred.

Szuranie nogami, trzask otwieranych drzwi, fala dźwięków szpitalnych i nagle ich ucichnięcie, kiedy agenci zamknęli delikatnie drzwi z drugiej strony.

Otworzyłam oczy. Twarz Manfreda przybliżała się do mojej. Jego niebieskie oczy zdradzały wyraźnie, że zamierza mnie

pocałować.

–Nie, nie, kolego, nie tak prędko – zaprotestowałam. Odsunął

się niechętnie. – Jakim cudem się tu znalazłeś? Co u babci?

Xylida Bernardo była jasnowidzką naciągaczką, która, swoją drogą, posiadała prawdziwy dar. Ostatnim razem, kiedy widzieliśmy ją w Memphis, była na tyle słaba, że Manfred musiał ją do nas przywieźć i cały czas miał na nią oko.

–Została w motelu. Uparła się, żeby ze mną jechać. Dostaliśmy chyba ostatni pokój w całym Doraville, a może i w promieniu piętnastu mil stąd. Jeden z reporterów zwolnił pokój, bo dostał lepszy w zajeździe. Babcia kazała mi jechać szybko, a potem pędem lecieć do recepcji. Bywa bardzo pomocna w zwykłych sprawach. – Zasepił się nagle. – Nie zostało jej wiele czasu.

–Bardzo mi przykro. – Chciałam zapytać, co jej jest, ale zrezygnowałam. Czy to robiło jakąś różnicę? Aż za dobrze znałam śmierć i widziałam jej piętno na twarzy Xylidy.

–Odmawia pójścia do szpitala – ciągnął Manfred. – Nie chce wydawać pieniędzy i nie znosi szpitalnej atmosfery.

Skinęłam ze zrozumieniem. Sama czułam się tu fatalnie, a przecież lada dzień miałam wyjść o własnych siłach.

–Zasnęła po podróży, więc pomyślałem, że wpadnę

sprawdzić, jak się masz, i natknąłem się na ten duecik Jasiów

Pytalskich w akcji. Pomyślałem, że jak udam twojego chłopaka, to

prędzej mnie usłuchają. Taka rola podnosi rangę.

Postanowiłam przemilczeć tę kwestię.

–Ale co wy tu w ogóle robicie?

–Babcia twierdziła, że nas potrzebujesz. – Manfred wzruszył ramionami. Wierzył jej bez zastrzeżeń.

–Może w tym stanie raczej nie powinna podróżować? – wyraziłam wątpliwość, pełna poczucia winy, że stara, chora Xylida przywlokła się do tego miasteczka, w dodatku ciągnąc ze sobą wnuka, bo uważała, że potrzebna mi jej pomoc.

–Tak, ale w domu myślałaby o zbliżającej się śmierci, więc jak powiedziała, że jedziemy, to przyjechaliśmy.

–A skąd wiedzieliście, gdzie jesteście?

–Mógłbym skłamać, że dzięki wizji babci, ale nie. W Sieci jest wasz lokalizator.

–Co?! – Moja konsternacja musiała być bardzo wyraźna.

–Masz swoją stronę, poświęconą tobie i twoim dokonaniom. Ludzie wysyłają e-maile z informacjami, gdzie cię widzieli.

Nie czułam się ani odrobinę mądrzejsza.

–Po co?

–Jesteś osobą, która przyciąga uwagę – wyjaśnił Manfred. – Ludzie chcą wiedzieć, gdzie aktualnie jesteś i kogo odnalazłaś.

–To niesamowite – zupełnie nie mogłam tego pojąć.

–Tak jak to, co robimy – wzruszył ramionami Manfred.

–Więc mówisz, że w Internecie jest informacja, że

przebywamy w Doraville, w Północnej Karolinie? – Ciekawa

byłam, czy Tolliver wie coś o tej stronie i szpiegujących mnie

fanach. A jeśli tak, to dlaczego mi nie powiedział.

–Są nawet twoje zdjęcia stąd, pewnie robione komórką -rzekł Manfred, po raz kolejny wprawiając mnie w osłupienie.

–To niewiarygodne – wykrztusiłam. No ładnie.

–Chcesz o tym pogadać? O tym, co się tutaj wydarzyło?

–Tylko jeśli będę opowiadała tobie, a nie jakiejś stronie. Spojrzał na mnie z wyrzutem.

–Przepraszam – powiedziałam skruszona. – Nie mieści mi się

to w głowie i przeraża mnie myśl, że obcy ludzie wiedzą, gdzie jestem, obserwują mnie, a ja nawet o tym nie wiem.

–Mów, jak to się stało, że zostałam ranna. – Manfred nie
boczył się dłużej. Usadowił się wygodnie w fotelu, na którym
wcześniej drzemał Tolliver.

Opowiedziałam mu o Twyli Cotton, szeryfie i martwych chłopcach zakopanych w zamarzniętej ziemi.

–Tyle dzieci uprowadzono i nikt tego nie zauważył? Nie powiązał? – zdumiał się
Manfred. – Toż to normalnie appalaski Gacy*.

–Wiem, że trudno w to uwierzyć. Jednak szeryf wyjaśniła mi, dlaczego nie
zaalarmowano mieszkańców, a jej argumenty wydają się rozsądne. Chłopcy w wieku
ofiar często uciekają z domów.

Zapadło milczenie. Zastanawiałam się, ile lat ma Manfred.

–Dwadzieścia jeden.

Wzdrygnęłam się zaskoczona.

–Odziedziczyłem trochę talentu po babce – wyjaśnił
skromnie.

–Xylda robi wrażenie rasowej oszustki – zauważyłam, zbyt zmęczona, by dbać o
subtelności. – A naprawdę ma dar.

–Potrafi być niezłą naciągaczką – roześmiał się Manfred. – Ale jak przyjdzie co do
czego, jest naprawdę niesamowita.

–Nie mogę cię rozgryźć – przyznałam.

–Ładnie mówię, jak na wytatuowanego dziwaka, co?

–Tak, masz gadane – zaśmiałam się. – A ja jestem od ciebie trzy lata starsza.

* John Wayne Gacy, amerykański seryjny morderca i gwałciciel (przyp. tłum.).

–Może żyjesz trzy lata dłużej ode mnie, ale gwarantuję, że
moja dusza jest starsza niż twoja.

Byłam zbyt zmęczona na roztrząsanie takich niuansów.

–Muszę się zdrzemnąć – oświadczyłam i przymknęłam

powieki.

Nie przypuszczałam, że sen zmorzy mnie, zanim zdążę podziękować Manfredowi za odwiedzin.

Organizm potrzebuje snu do samoleczenia, a moje ciało potrzebowało go więcej niż w przypadku przeciętnych ludzi. Nie wiem, czy to wina porażenia, czy cecha osobnicza. Wiele osób po porażeniu piorunem ma kłopoty ze snem, jednak mnie ta bolączka ominęła. Cierpię też na inne dolegliwości – drgawki, utratę słuchu, problemy z mówieniem, nieostre widzenie, napady szału, niedowład kończyn, obniżoną zdolność koncentracji i nadaktywność. Dodatkowo wypadki te często mają ogromny negatywny wpływ na życie. Wiążą się z utratą pracy, rozpadem małżeństwa czy trwonieniem majątku na leki czy choćby półśrodki chwilowo łagodzące objawy. Może w innej sytuacji też siedziałabym teraz w jakiejś spółdzielni inwalidów, ale mimo wszystko miałam szczęście w nieszczęściu. Po pierwsze, piorun nie tylko zabrał mi część zdrowia, ale też coś po sobie zostawił -niecodzienną umiejętność odszukiwania zwłok. Po drugie, był przy mnie Tolliver, który natychmiast podjął reanimację, zmuszając serce do bicia; Tolliver, który wierzył we mnie i nauczył wykorzystywać nowo nabytą i niezbyt przyjemną zdolność do zarabiania na życie.

Nie mogłam spać więcej niż pół godziny, ale kiedy się przebudziłam, Manfreda nie było, Tolliver wrócił, a słońce zniknęło za chmurami. Według wielkiego ściennego zegara

dobiegało wpół do jedenastej, a na korytarzu rozlegało się turkotanie wózków z lunchem.

–Tolliver? Pamiętasz, jak poszliśmy zdobyć choinkę na Boże Narodzenie?

–Tak, to było w tym roku, kiedy zamieszkaliśmy razem. Twoja mama była w ciąży.

Przyczepa ledwo nas mieściła – ja ze swoją starszą siostrą Cameron spałyśmy w jednej klitce, Tolliver z Markiem w drugiej, a ich ojciec i moja matka w trzeciej. Dodatkowo kłębiący się wiecznie tłumek wykołojonych przyjaciół naszych rodziców. Mimo wszystko my, dzieci, chcieliśmy mieć choinkę, a że nikt nie zamierzał nam jej sprawić, postanowiliśmy wziąć sprawę w swoje ręce. Na obrzeżach lasu otaczającego plac z przyczepami znaleźliśmy małą sosenkę. Ścieliśmy ją, a z pobliskiego wysypiska przynieśliśmy stary stojak, który Mark zdołał naprawić.

–Fajnie było. – Pograżyłam się we wspomnieniach. Podczas

tej świątecznej wyprawy z Markiem, Tolliverem i Cameron

zbliżyliśmy się do siebie i z dzieciaków mieszkających

przypadkiem pod jednym dachem staliśmy się wspólnotą

rozwiązującą problemy związane z rodzicami. Pomagaliśmy sobie,

wspieraliśmy się i dbaliśmy, aby rodzina się nie rozpadła.

Szczególnie po narodzinach Marielli i Gracie. – Bez nas by nie

przeżyły – podsumowałam.

Tolliver potrzebował kilku sekund, żeby nadążyć za moim tokiem myślenia.

–To prawda, rodzice nie byli w stanie się nimi zajmować. Ale

to były moje najlepsze święta, wiesz? Pamiętali nawet, żeby kupić

nam różne drobiazgi pod choinkę. Prędzej byśmy z Markiem

połknęli własne języki, niż to przyznali, ale obaj cieszyliśmy się,

że wy dwie i wasza mama jesteście z nami. Na początku nie było z nią tak źle.

Starła się dbać o zdrowie ze względu na dziecko, w każdym razie kiedy sobie o tym przypomniwała. A ci ludzie z kościoła przynieśli indyka.

–Trzymałyśmy się przepisu i wyszedł całkiem nieźle.

Mieliśmy w domu książkę kucharską i kiedyś doszłyśmy z

Cameron do wniosku, że potrafimy odczytywać przepisy równie dobrze jak każdy.

W końcu nasi rodzice byli prawnikami, zanim zauroczył ich styl życia i towarzystwo

własnych klientów. Odziedziczyłyśmy po nich inteligencję. Na szczęście była to jedna

z tych książek kucharskich, które zakładają, że czytelnicy będą kompletnymi

ignorantami w sprawach kuchennych. Dzięki temu indyk naprawdę się udał.

–Nieźle? Był rewelacyjny – poprawił mnie Tolliver.

Miał rację. To były rzeczywiście wspaniałe święta.

Cameron bardzo się starała, cały dzień wszystkiego

pilnowała. Moja siostra była śliczna i mądra. Byłyśmy do siebie zupełnie niepodobne. Biorąc pod uwagę słaby charakter matki, zastanawiałam się czasami, czy na pewno jesteśmy prawdziwymi siostrami. Przecież nie traci się zasad z dnia na dzień, prawda? To dzieje się stopniowo. Złapałam się na rozważaniach, czy proces zepsucia matki nie rozpoczął się na długo przed rozwodem. Ale może się myliłam. W każdym razie miałam taką nadzieję. Kiedy Cameron zniknęła, czułam, jakby ktoś zabrał połowę mnie samej. Przed tą tragedią było źle, ale jakoś sobie radziliśmy, potem wszystko runęło. Ja poszłam do rodziny zastępczej, matka i ojczym do więzienia, Tolliver zamieszkał z bratem, a Gracie i

Mariellę zabrała ciotka Iona.

Plecak Cameron, znaleziony przy drodze w dniu jej zniknięcia, leżał teraz w bagażniku. Policja zwróciła go nam po kilku latach. Zawsze braliśmy go ze sobą. Napiłam się trochę wody z zielonego szpitalnego kubka. Rozpamiętywanie tamtego wydarzenia nie miało sensu. Już dawno pogodziłam się z myślą, że Cameron nie żyje. Kiedyś ją odnajdę.

Od czasu do czasu, kiedy dostrzegam dziewczynę o długich jasnych włosach, małym prostym nosku i wdzięcznym kroku, łapię się na chęci zawołania jej po imieniu. Oczywiście Cameron nie byłaby już teraz dziewczyną. Miałaby – niech policzę, zniknęła wiosną, chodziła wtedy do klasy maturalnej, czyli miała osiemnaście lat – dobry Boże, miałaby teraz dwadzieścia sześć lat! To już osiem lat. Niewiarygodne.

–Dzwoniłem do Marka – powiedział Tolliver.

–Świetnie. I co u niego? – Tolliver dzwonił do brata zdecydowanie za rzadko. Nie wiedziałam, o co chodzi, czy to normalne u facetów, czy może o coś się posprzecjali.

–Życzył ci szybkiego powrotu do zdrowia – odpowiedział Tolliver wymijająco.

–Jak praca? – drążyłam dalej.

Mark już kilkakrotnie awansował. Na początku był

pomocnikiem kelnera, potem kelnerem, kucharzem, a w końcu został kierownikiem sieciowej restauracji w Dallas. Pracował tam już od pięciu lat. Nieźle jak na kogoś, kto skończył trzy klasy liceum. Przychodził do pracy wcześniej, wychodził ostatni.

–Ma prawie trzydziestkę na karku. Powinien się ustatkować.

Zacisnęłam usta, żeby mi się coś nie wysnęło. Tolliver był

młodszy od brata tylko parę lat. I kilka miesięcy.

–Spotyka się z kimś na stałe? – zapytałam, przewidując odpowiedź.

–Jeśli tak, to nic nie mówił – skwitował Tolliver i dodał po chwili: – A propos randek, wpadłem dzisiaj w motelu na Manfreda.

Ugryzłam się w język, żeby nie spytać, dlaczego randki kojarzą mu się z Manfredem.

–A, tak, odwiedził mnie. Podobno Xylida miała wizję czy przeczucie, które kazało jej tu przyjechać. Mówił też, że babcia umiera. Pewnie stara się zaspokoić jej zachcianki, jest dobrym wnukiem.

Tolliver spojrzał na mnie sceptycznie. Jego brwi podskoczyły nieomal do linii włosów.

–Jasne. A Xylida zupełnie przypadkiem miała wizję, że kobieta, na którą ma oko jej wnuk – nie udawaj, wiesz, że na ciebie leci – potrzebuje jej pomocy. I on nie miał z tym nic a nic wspólnego?

Przyznam, że mnie zaskoczył.

–Nie. Sądzę, że przyjechał, bo tak powiedziała babcia.

Tolliver prychnął. Przez mgnienie oka poczułam silną niechęć do niego. Zerwał się na nogi i zaczął krążyć po salce.

–Pewnie nie może się doczekać śmierci babki. Nie musiałby jej wszędzie wozić i mógłby się zająć tobą.

–Tolliver!

Zamilkł. W końcu.

–Mówisz obrzydliwe rzeczy – zbeształam go. To fakt, ciągle widywaliśmy tę gorszą stronę ludzi, ale nie chciałam myśleć, że

wszyscy są cyniczni i wyrachowani.

–Przyznaj, ty też to widzisz – upierał się Tolliver już spokojnie.

–To ty widzisz coś, czego nie ma. Nie jestem idiotką, wiem, że mnie lubi. Ale wiem też, że kocha swoją babkę i nigdy w życiu nie naraziłby jej na trudy podróży i tę paskudną pogodę, szczególnie w jej stanie, gdyby na to nie należała.

Tolliver spuścił głowę, wbijając wzrok w podłogę. Ja czułam, że jestem bliska powiedzenia czegoś, co przeważałoby tę wiszącą nad wodospadem beczkę, czegoś, czego nie mogłabym już cofnąć. Tolliver też wydawał się być na granicy. Potrafiłam odkrywać sekrety zmarłych, ale nie wiedziałam, o czym teraz myśli mój brat. Nie byłam nawet pewna, czy chcę wiedzieć.

–Ostatnie święta, te, które spędzaliśmy razem, też były całkiem, całkiem – oświadczył.

Weszła pielęgniarka, żeby zmierzyć mi temperaturę oraz ciśnienie, i moment przeminął. Tolliver poprawił mi pościel, a ja oparłam się wygodniej.

–Znowu pada – zauważyła pielęgniarka, zerkając w pochmurne niebo za oknem. – Chyba nigdy nie przestanie.

Nie mieliśmy nic do powiedzenia na ten temat.

Po południu przyszła szeryf. Ubrana była bardzo grubo i miała ubłocone buty. Nie po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że są jednak gorsze rzeczy niż pobyt w szpitalu. Do nich zaliczało się wykopywanie dowodów ze zmarłej ziemi, wdychanie zapachu ciał w różnym stanie rozkładu, przekazywanie złych nowin rodzinom, które tygodniami, miesiącami, a nawet latami czekały na jakiegokolwiek wieści o zaginionych bliskich. Tak, wolałam złamaną rękę i wstrząs mózgu niż to.

Szeryf była chyba podobnego zdania. Zaczęła ze złością.

–Byłabym wdzięczna, gdyby trzymała pani z dala ode mnie swoich przyjaciół szukających medialnego rozgłosu – powiedziała,

cedząc słowa, jakby każde było plasterkiem cytryny.

–Słucham?

–Pani przyjaciółka, jasnowidzka, jak jej tam...

–Xylda Bernardo – podpowiedział Tolliver.

–Tak, zrobiła scenę na moim posterunku.

–Jaką scenę? – zapytałam.

–Wszystkim, którzy chcieli słuchać, opowiadała, jak to

przewidziała, że pani znajdzie te ciała, że to ona panią tu przysłała

i że miała wizję o pani wypadku.

–Bzdura – stwierdził Tolliver. – Ani jedna z tych rzeczy nie jest prawdą.

–Tak sądziłam. Ale ona przeszkadza w śledztwie. Sama pani wie, że na początku byliśmy sceptycznie nastawieni do tego wszystkiego. Potem jednak pani nas przekonała. Znalazła chłopców, a wiemy, że nie mogła pani wcześniej wiedzieć, gdzie zostali pochowani. A jeśli, to na pani szczęście nie znaleźliśmy jak do tej pory żadnych informacji na ten temat.

Westchnęłam dyskretnie.

–A potem pojawia się ta kobieta i ten jej dziwny wnuk. Ona

robi widowisko, on się tylko uśmiecha.

A co innego miałby robić?

–Na dodatek wygląda, jakby lada moment miała paść trupem.

Przynajmniej nasz szpital na was zarobi – dodała weselej.

Rozległo się zdawkowe pukanie i skrzydło drzwi uchyliło się. W progu stał potężny mężczyzna z wciąż uniesioną pięścią, którą stukał w drzwi.

–Witam, szeryfie – rzekł najwyraźniej zaskoczony.

–Cześć, Barney – powitała gościa Sandra.

–Nie przeszkadzam?

–Nie, nie, właśnie wychodziłam. Znów na to zimno – mówiła szeryf, naciągając rękawice. Zastanawiałam się, po co w ogóle tu przyszła. Potrzeba ponarzekania na Xyldę nie wydawała się najsensowniejszym powodem. Bo co właściwie mielibyśmy zrobić w tej sprawie? – Przyszedłeś wyrzucić pannę Connelly?

–Ha, ha, ależ skąd. To kurtuazyjna wizyta. Odwiedzam wszystkich pacjentów, którzy zostają tu dłużej niż dzień.

Sprawdzam, czy wszystko jest w porządku, wysłuchuję narzekań, a od czasu do czasu nawet pochwał. – Uśmiechnął się do nas szeroko. – Nazywam się Barney Simpson i jestem dyrektorem administracyjnym, do usług. Pani Connelly, jak mniemam? –

Podszedł i ostrożnie uścisnął mi dłoń. – A pan...? – Wyciągnął rękę do Tollivera.

–Tolliver Lang, jej manager.

Staralam się ukryć zdziwienie. Nigdy nie słyszałam, żeby brat przedstawiał się w ten sposób.

–Cóż, pytanie o miłe wrażenia z pobytu w naszej miejscinie nie wydaje się na miejscu – rzekł Simpson z tak smutną miną, na jaką pozwalała jego fizjonomia. Był wysokim, potężnym mężczyzną z szopą czarnych włosów i twarzą stworzoną do nieustannego promiennego uśmiechu. – Nasza mała społeczność pograżyła się w żałobie, to zrozumiale. Jednak odnalezienie chłopców to prawdziwe błogosławieństwo. Rodziny poczują swego rodzaju ulgę po tylu miesiącach życia w ciągłej

niepewności.

Znowu ktoś zapukał i nie czekając na odpowiedź, do sali wszedł kolejny mężczyzna.

–Och, przepraszam – stropił się nieznajomy. – Przyjdę innym razem.

–Ależ nie, pastorze, wejdź. Wpadłem tylko sprawdzić, czy nasi goście nie mają jakichś pytań o szpital, opiekę, jak zawsze – zapewnił go Barney wesoło.

Nie miałam jak dotąd okazji zadać jakiegokolwiek pytania.

–No dobrze, to ja wracam w takim razie do pracy -oświadczyła szeryf Rockwell. Nikt nie zapytał, do jakiej. W Doraville wszyscy byli zajęci teraz tylko jednym.

–W takim razie... – Nowo przybyły był przeciwieństwem pewnego siebie Simpsona. Niewysoki, szczupły mężczyzna o gładkiej bladej cerze i uśmiechu cherubinka emanował nieśmiałością. Pożegnał się z wychodzącymi, po czym podszedł do nas z wyciągniętą ręką.

–Pastor Doak Garland – przedstawił się, potrząsając naszymi dłońmi. Zaczynałam być zmęczona tymi powitaniem. – Z parafii baptystów Mount Ida. Nasz kościół znajduje się przy drodze 114. W tym tygodniu pełnię w szpitalu obowiązki kapelana. Tutejsi duszpasterze pełnią tu posługę na zmianę, a wy mieliście pecha trafić akurat na mnie. – Uśmiechnął się anielsko.

–Nazywam się Tolliver Lang i towarzyszę tej oto damie, Harper Connelly, która zajmuje się znajdowaniem ciał.

Doak Garland spuścił na moment wzrok, jakby chciał ukryć swoją reakcję na tak niecodzienną prezentację. Co, u licha, ugryzło Tollivera?

–Tak, tak, słyszałem o pani – przyznał pastor. – Twyla Cotton

jest moją parafianką, prosiła, żebym was odwiedził. Jutro

wieczorem odbędzie się specjalna msza w intencji ofiar. Mam

nadzieję, że pani przyjdzie, jeśli oczywiście do tego czasu poczuje

się pani lepiej. To szczerze zaproszenie, naprawdę jesteśmy

wdzięczni za informacje o Jeffie. Po pewnym czasie nadchodzi ten

moment, kiedy bez względu na to, czy nowiny są dobre czy złe, lepiej znać prawdę, niż nie wiedzieć nic.

Zgadzałam się z nim w całej rozciągłości. Kiwnęłam głową.

–Skoro to za pani sprawą odnaleziono Jeffa, mamy nadzieję

gościć panią na nabożeństwie. Nie będę kłamał, wszyscy

zastanawiamy się nad naturą pani talentu, lecz przekracza on nasze

pojmowanie. Jednakże użyła go pani na chwałę Pana i aby

przynieść pocieszenie naszej siostrze Twyli, a także Parkerowi,

Bethalynn i małemu Carsonowi, dlatego z głębi serca chcieliśmy

za to podziękować.

Na chwałę Pana? Staralam się ukryć uśmiech, bo pastor, choć wydawał się zagubiony, mówił chyba szczerze.

–Bardzo doceniam, że pastor poświęcił tyle czasu i osobiście przyszedł mnie zaprosić – powiedziałam, żeby zyskać czas na wymyślenie odpowiedniej wymówki.

–Na pewno przyjdziemy – zapewnił go Tolliver. – O ile tylko lekarz uzna, że to możliwe.

W Tollivera wstąpił Obcy – to jedyne wyjaśnienie, jakie zdołałam znaleźć.

Doak Garland sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale brnął dzielnie dalej.

–Tak, właśnie to chciałem usłyszeć. W takim razie do zobaczenia jutro o siódmej wieczorem. Jeśli się zgubicie, proszę zadzwonić – zakończył, wręczając Tolliverowi wizytówkę nadspodziewanie profesjonalnym gestem.

–Dziękuję – powiedział Tolliver, a ja nieco oszołomiona wydukałam swoje „dzięki”.

Kiedy sala opustoszała, poczułam się znów bardzo zmęczona. Jednak musiałam trochę pochodzić, więc przy pomocy Tollivera

zwlokłam się z łóżka. Podtrzymywana przez brata, ciągnąc za sobą stojak na kroplówkę, wyszłam na korytarz. Na szczęście nikt nie zwracał na nas szczególnej uwagi. Odwiedzający oraz pacjenci pochłonięci byli własnymi problemami i

przeciętna młoda kobieta w koszmarnej szpitalnej koszuli nie przyciągała ich spojrzeń.

–Nie wiem, co powiedzieć – zaczęłam, kiedy przystanęliśmy

dla odpoczynku na końcu korytarza. – Coś się stało? Bo dziwnie

się zachowujesz.

Zerknęłam na niego spod oka, tak żeby nie zauważył, i doszłam do wniosku, że Tolliver najwyraźniej też nie wie, co powiedzieć.

–Wiem, że powinniśmy wyjechać – rzekł w końcu.

–To dlaczego przyjąłeś zaproszenie pastora?

–Bo nie sądzę, żeby policja pozwoliła nam w tej sytuacji odjechać, a wolę, żebyśmy nie zostawali sami. Już raz ktoś próbował cię zabić, a wszyscy są bardzo zajęci dochodzeniem i raczej nie poświęcą środków na poszukiwanie twojego napastnika. Podejrzewam, że zaatakował cię morderca chłopców. Bo kto inny by podjął podobne ryzyko? I kto inny żywiłby do ciebie taką niechęć, żeby uderzyć z taką furją? Zakończyłaś jego zabawę, więc wściekł się i chciał ci odpłacić. Począł na stosowny moment, wykorzystał szansę i prawie mu się udało. Wiesz, ile miałaś szczęścia, że wyszłaś z tego tylko ze wstrząsem mózgu i złamaną ręką?

To była niezwykle długa wypowiedź, jak na Tollivera. Wygłosił ją niemal szeptem, z przerwami, żeby nie ściągać na nas uwagi. Kiedy dotarliśmy do drzwi mojej sali, machnęłam ręką na znak, że chcę kontynuować przechadzkę. Nie odezwałam się. Byłam zła, ale nie wiedziałam za bardzo, przeciw komu skierować

to uczucie. Przypuszczałam, że Tolliver ma rację. Zatrzymaliśmy się przy oknie na końcu korytarza. Deszcz przerodził się w paskudną mokrą śnieżycę. Zimne zlepki płatków pacały o szybę. Okropność. Biedni kopacze. Może zrobią sobie przerwę i przeczekają w samochodach?

Wracaliśmy bardzo powoli. Przy sąsiadującej z moją salą dyżurce pielęgniarek ledwie trzymałam się na nogach.

–Masz rację, ale... – zaczęłam. Chciałam powiedzieć: „Jest jeszcze kwestia twojej niechęci do Manfreda i jego babki. Dlaczego jego zainteresowanie mną tak ci przeszkadza? Dlaczego właśnie Manfred spośród innych, którym się podobałam, tak cię złości?”. Zmilczałam jednak. On zaś nie prosił mnie o dokończenie zdania.

Z radością spojrzałam na łóżko. Wsparłam się mocno na Tolliverze, czekając, aż ustawi stojak z kroplówką. Pomógł mi usiąść na materacu, zdjął pantofle i ułożył na

poduszkach. Potem przykrył mnie i wygładził koc.

Wraz z moją przyniósł książkę i dla siebie, więc jakiś czas czytaliśmy w ciszy, przerywanej jedynie cichym stukaniem grudek śniegu o szyby. Cały szpital drzemał. Zerknęłam na zegar. Wkrótce ludzie zaczną wychodzić z pracy i korytarze napelnią się gwarem rodzin i przyjaciół pacjentów. Później zaturkotają wózki z kolacją, następnie przyjdzie pielęgniarka z lekami, aż wreszcie hałas zacznie cichnąć wraz z ostatnimi odwiedzającymi wychodzącymi ze szpitala. Niedługo potem zrobi się jeszcze spokojniej, kiedy personel dziennej zmiany pójdzie do domów, a w budynku zostaną tylko dyżurujący lekarze i pielęgniarki, pacjenci oraz kilkoro pełnych poświęcenia dusz czuwających przy łóżkach swoich bliskich. Tolliver zapytał, czy ma zostać na noc.

Czułam się co prawda lepiej i byłam wzruszona, że jest gotów spędzić kolejną noc na niewygodnym fotelu, jednak choć kusila mnie perspektywa jego towarzystwa i dręczył dziwny lęk przed pozostaniem samej, odmówiłam. Nie mogłam pozbawić go wygodnego odpoczynku tylko dlatego, że się bałam.

–Wracaj do motelu – powiedziałam. – Nie ma sensu, żebyś się męczył w tym fotelu. Musisz się wyspać, a ja w razie czego mogę przecież wezwać pielęgniarkę. – Która może pojawi się pół godziny później. Ten mały szpitalik, tak jak inne mu podobne zresztą, wyraźnie cierpiał na brak personelu. Nawet sprzątacze uwijali się jak w ukropie przy takim nawale obowiązków.

–Na pewno? – zapytał. – W motelu roi się od reporterów, tu jest spokojniej.

O tym wcześniej nie wspomniał.

–Dam sobie radę. Pewnie i tak będzie mi tu lepiej niż tobie tam.

–Nie wątpię. Muszę udawać, że nie ma mnie w pokoju. Rano jedna kobieta pukała ze dwadzieścia minut, zanim zrezygnowała.

Nie było mu tam łatwo, a ja nawet o nic nie zapytałam.

–Przepraszam – powiedziałam. – Nie pomyślałam o

reporterach.

–Nie twoja wina. Zrobiło się z tego dużo szumu. To kolejny powód, że... – urwał, nie kończąc zdania. Jego myśli znów zaczęły krążyć wokół Manfreda i jego babci. Był przekonany, że to właśnie szum medialny, jaki wywołała seria zabójstw, zwabił tu żądną sławy Xyldę. Nie, nie jestem jasnowidzem, po prostu znam swojego brata.

–Nie jestem naiwna, wiem, że Xylda chce na tym zarobić -staralam się być rzeczowa

i szczerą. – Ale to nie wszystko. Sam

wiesz, w jakim ona jest stanie, a Manfred wcale nie chciał jej tu przywozić.

–To on tak twierdzi.

–Owszem, ale ty uważasz, że Manfred jest zdolny zmusić chorą babkę do dalekiej podróży tylko po to, by zaspokoić swoje widzimisię; że ciągnąłby ją tu niepotrzebnie, żeby pofolgować swoim żądom. To niesprawiedliwe.

Tolliver zmieszał się nieco pod moim spojrzeniem.

–No dobra, przyznaję, kocha staruszkę. I wiem, że zabiera ją

tam, gdzie ona chce.

Nie było to wielkie ustępstwo, ale musiało wystarczyć. Miałam nadzieję, że przy następnym spotkaniu Tolliver i Manfred nie będą sobie skakać do oczu.

–I zatrzymali się w naszym motelu?

–Uhm. Nigdzie indziej nie ma miejsca. Droga pod górę, gdzie znalazłaś ciała, jest prawie nieprzejezdna, tyle tam stoi wozów policyjnych i reporterskich. Zostawili wąskie gardło, z obu stron obstawione ludźmi z krótkofalówkami.

Poczułam wyrzuty sumienia, jakbym to ja była odpowiedzialna za wywrócenie do góry nogami życia tylu osób. Oczywiście winę za to ponosił morderca, ale nie sądzę, żeby on się tym przejmował. Zastanawiałam się, co on sobie teraz myśli. Dał upust swojej wściekłości, napadając na mnie.

–Przyczai się na razie – zawyrokowałam. Tolliver nie musiał pytać, o kogo mi chodzi.

–Będzie ostrożniejszy – zgodził się. – Ten atak wynikał ze złości, że mu przeszkodziłaś w dalszych zabawach. Pewnie już ochłonął. Teraz będzie się bardziej martwił glinami.

–Nie będzie marnował na mnie czasu.

–Tak sądzę. Ale ten facet to psychopata, a nigdy nie wiesz, co

wpadnie wariatowi do głowy. Mam nadzieję, że jutro cię

wypuszczą. Może gliny pospieszą się z tym wypytywaniem i

będziemy mogli wyjechać. O ile oczywiście będziesz się czuła na

siłach.

–Mam nadzieję. – Czułam się już trochę lepiej, ale

stwierdzenie, że byłam gotowa na podróż, byłoby naciąganiem
prawdy.

Tolliver objął mnie na pożegnanie, mówiąc, że kupi coś do jedzenia po drodze do
motelu, a potem skupi się na unikaniu reporterów.

–Nie, żebym miał tu gdzie poszaleć – stwierdził. – Czemu nie mamy więcej zleceń w
miastach?

–Sama sobie zadaję to pytanie. Pracowaliśmy raz w Memphis i raz w Nashville. – Nie
chciałam wywlekać znów na światło dzienne sprawy Tabity Morgenstern. – A
wcześniej byliśmy w St. Paul. No i jeszcze cmentarz w Miami.

–No tak, ale większość zleceń jest z prowincji.

–Fakt. Mieliśmy coś kiedyś w Nowym Jorku?

–Tak, nie pamiętasz? Bardzo, bardzo trudna sprawa dla ciebie, to było zaraz po
jedenastym września.

–Uhm, faktycznie, staram się o tym zapomnieć. – Przeżyłam wtedy chyba najgorsze
chwile w karierze... mojej profesji. – Nigdy więcej.

–Tak, Nowy Jork odpada. – Spojrzeliśmy na siebie przeciągle.

–No dobra – rzekł Tolliver, wstając. – To ja zmykam. Zjedz kolację, wyśpij się. Może
nie będą się tu kręcili, skoro czujesz się lepiej.

Zabawił jeszcze chwilę, sprawdzając, czy stolik na kółkach

stoi w zasięgu mojej ręki, robiąc na blacie miejsce na tacę, objaśniając działanie
pilota i przysuwając bliżej telefon. Moją komórkę włożył do szuflady szafki nocnej.

–W razie czego dzwoń – powiedział na odchodnym.

Zapadłam w krótką drzemkę, z której obudził mnie dźwięk

toczącego się wózka z kolacją. Tym razem dostałam coś konkretniejszego. Wstyd
przyznać, ale wymiotłam talerz prawie do czysta. Jedzenie było nie najgorsze, a ja
strasznie głodna. Nie jadłam nic porządnego od dwóch dni.

Potem wpadł do mnie nowy doktor, przynosząc radosną nowinę. Szybko wracałam do siebie, więc zapowiedział wypis na rano. Lekarz nie rozgadywał się, nie pytał, kim ani skąd jestem. Był zabiegany jak wszyscy w tym szpitalu. Sam także nie pochodził z tych stron, sądząc po akcencie. Ciekawe, co sprowadziło go do Doraville. Dowiedziałam się, że pracuje na tym samym oddziale ratunkowym co doktor Thomason.

Potem odwiedziła mnie Heather Sutcliff, młodziutka asystentka Barneya Simpsona.

–Pan Simpson prosił, żebym do pani zajrzała. Reporterzy się

o panią dopytują, ale odmawiamy im wstępu ze względu na spokój

i prywatność innych pacjentów. Monitorujemy też rozmowy

przychodzące na pani wewnętrzny numer, to pomysł pani brata.

To dlatego miałam tu taki spokój.

–Dziękuję – powiedziałam. – Nie chciałabym tu żadnych tłumów.

–Dobrze. Takie zamieszanie przeszkadzałoby pacjentom w tym skrzydle. –

Popatrzyła poważnie, dając mi do zrozumienia, że problem z reporterami jest kłopotliwy dla wszystkich. Potem wymknęła się z sali, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Po jej wyjściu najbardziej ekscytującym wydarzeniem wieczoru była wizyta salowego zbierającego naczynia. Wyczerpana wrażeniami, włączyłam telewizor, ale salwy śmiechu przyprawiły mnie o ból głowy, więc sięgnęłam po książkę. Czytałam może z godzinę. Wreszcie zrobiłam się tak śpiąca, że zostawiając otwarty tom na brzuchu, zgasiłam tylko światło.

Obudził mnie błysk jasnego światła i poruszenie na sali. Krzyknęłam, zdrową ręką odpychając napastnika. Półprzytomna zdołałam włączyć światło i wcisnąć guzik wzywający pielęgniarkę. Zaskoczona ujrzałam w sali dwóch mężczyzn. Zakutani w płaszcze, krzyczeli coś do mnie. Nie mogłam ich zrozumieć. Naciskałam guzik raz po raz, krzyżąc. Bardzo szybko w pokoju zaroilo się od ludzi.

Pielęgniarka, kobieta słusznego wzrostu i obfitych kształtów, która zupełnie niedawno miała bliskie spotkanie z butelką rudej farby do włosów, z miejsca wystartowała do reporterów. Mój podziw dla niej rósł z każdą chwilą. Gdyby miała broń, mężczyźni zapewne natychmiast padliby trupem. Był też ochroniarz (starszy od mojego doktora i na pewno mniej wysportowany), sanitariusz (na szczęście wysoki i muskularny) oraz druga pielęgniarka, która energią i stanowczością nie ustępowała koleżance.

Oczywiście nie było to nic wielkiego i patrząc obiektywnie, nikt by się tym szczególnie nie przejął, ja także. W tym jednak momencie daleko mi było do obiektywizmu. Trzęsłam się z przerażenia, serce trzepotało mi jak królikowi, głowa rozboleła, jakbym znów mocno oberwała, a ręka dokuczała strasznie po serii uderzeń, jakie zafundowałam jej, miotając się w panice. Po chwili wszystko się uspokoiło – pielęgniarki skończyły głośne łajania, a ochrona wyprowadziła uśmiechających się pod nosem intruzów.

Ja natomiast byłam w rozsypce – przestraszona, obolała i samotna.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tolliver był siny z wściekłości. Podekscytowane nocnymi wydarzeniami pielęgniarki wyłaziły ze skóry, żeby opowiedzieć mu wszystko ze szczegółami. Opadły go jak harpie. W efekcie Tolliver wpadł rankiem do sali, ziejąc gniewem.

–To skandal! – grzmiał. – Sukinsyny! Jak śmieli wkraść się do szpitala i wejść w nocy do twojego pokoju?! Jezu, musiałaś być...

Spałaś? Przestraszyli cię? – W jednej chwili jego gniew przerodził się w troskę.

Byłam zbyt znużona, by robić dziarską minę. W nocy zrywałam się kilkakrotnie, przekonana, że ktoś nade mną stoi.

–Swoją drogą, jakim cudem się tu dostali? Wejście zamykają o dziewiątej. Potem trzeba dzwonić, żeby wejść do szpitala. A przynajmniej tak jest napisane na tabliczkach.

–W takim razie albo nie dopilnowali zamknięcia bramy, albo ktoś ich wpuścił. Mógł nawet nie wiedzieć, kim są. – Staralam się myśleć trzeźwo. Naprawdę miałam tu dobrą opiekę i nie chciałam zakładać, że ktoś z personelu dał się przekupić lub był na tyle wredny, żeby ot tak wpuścić tu tych przeklętych reporterów.

Tolliver zagadnął nawet o to lekarza.

Dyżur miał znowu doktor Thomason. Wydawał się jednocześnie zły i zakłopotany, ale najwyraźniej słyszał już o nocnym epizodzie. Zbeształam Tollivera spojrzeniem.

–Ale pozwoli mi pan już wyjść? – uśmiechnęłam się do lekarza.

–Tak, chyba się już pani pozbędziemy. Szybko dochodzi pani

do siebie. Teoretycznie nie powinna pani jeszcze podróżować, ale

chyba bardzo pani na tym zależy. Proszę na siebie tylko uważać. I absolutnie nie prowadzić, dopóki ręka się nie wygoi. – Zawahał się. – Żałuję, że wywiezie pani stąd złe wspomnienia.

Seryjny zabójca, napad, koszmarne przebudzenie... Jakie złe wspomnienia? Jednak byłam na tyle dobrze wychowana, żeby zaprzeczyć.

–Wszyscy tu byli dla mnie mili, a opieka w szpitalu jest naprawdę wspaniała.

Na obliczu doktora odmalował się wyraz ulgi. Może myślał, że jestem z tych, co pozywają każdego, kto krzywo na nich spojrzy?

Pomyślałam o sympatycznych ludziach, których tu spotkałam, oraz o Manfredzie i Xyldzie, którzy przyjechali do mnie w takim pośpiechu. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinniśmy zostać tu do wieczora, żeby zakończyć pewne sprawy. Jednak po tej okropnej nocy nie mogłam się doczekać wyjazdu.

Wypis, jak to zwykle w szpitalach, trwał całe wieki, ale w końcu około jedenastej w drzwiach pojawiła się pielęgniarka z wózkiem. Tolliver pozbiierał moje rzeczy i zszedł na dół, żeby podjechać samochodem pod wyjście. Pod salą stał inny fotel na kółkach, na którym siedziała dwudziestokilkuletnia dziewczyna z zawiniątkiem na ręku. Jakaś kobieta, prawdopodobnie jej matka, taszczyła ze sobą torbę wypełnioną różowymi pakunkami i różowymi kartkami oraz naręcze różowych bukietów. Spomiędzy pudełek wystawał plik broszurek. Na jednej z nich widniał tytuł „Ty i niemowlę w domu”.

Świeżo upieczona babcia uśmiechnęła się promiennie i zaczęła rozmawiać z pielęgniarką. Dziewczyna popatrzyła na mnie

uszcześliwiona.

–Patrz, ostatnim razem zostawiłam w szpitalu wyrostek, a teraz wychodzę z tym.

–Gratulacje – powiedziałam. – Jest śliczna. Wybrałaś już dla niej imię?

–Sparkle*, słodko, prawda? – szczebiotała młoda mama. – Jest wyjątkowa i należy jej się wyjątkowe imię. Nikt jej nigdy nie zapomni.

To fakt.

–Rzeczywiście – przyznałam.

–O, jest Josh! – ucieszyła się babcia i popchnęła fotel z córką oraz wnuczką ku automatycznym drzwiom.

–Szczęśliwa młoda babcia – podsumowała pielęgniarka. – To jej pierwsze wnuczę.

Patrzyłam za opuszczającą szpital rodziną. Rzeczywiście, „babcia” nie mogła mieć jeszcze czterdziestu lat.

Ciekawe, czy po porażeniu piorunem będę mogła mieć dzieci.

Teraz ja wyjechałam na podjazd dla wózków i Tolliver podbiegł, żeby mi pomóc. Umieścił mnie delikatnie w samochodzie, zapiął pas i wszedł z drugiej strony.

Pielęgniarka pochyliła się, sprawdzając, czy wygodnie siedzę i może bezpiecznie zamknąć drzwiczki.

–Powodzenia – uśmiechnęła się. – Mam nadzieję, że szybko

pani tu nie zobaczymy.

Podziękowałam jej i pożegnałam się. Młoda mama na pewno mi współczuła, ale we własnym samochodzie, z Tolliverem u boku od razu zrobiło mi się lepiej. Doktor dał mi plik recept oraz kilka

Iskierka (przyp. tłum.).

wskazówek i wreszcie mogłam wyjechać. Naprawdę czułam się fantastycznie.

Po wyjeździe ze szpitalnego parkingu nie dostrzegłam żadnego większego ruchu. Ani samochodów, ani reporterów.

–Wracamy jeszcze do motelu czy jedziemy od razu? – zapytałam.

–Wykupimy tylko leki i ruszamy w drogę. Chyba nikt nie będzie nas zatrzymywał.

Przystanęliśmy pod pierwszą napotkaną apteką, kilka przecznic od szpitala. Wnętrze niewielkiego sklepu pachniało przyjemnie mieszaniną leków, słodczy, aromatyzowanych świec, potpourri i niklowanych automatów z gumami do żucia. Na półkach tłoczyły się artykuły biurowe, ramki do zdjęć, gazety, pudełka pralinek, termofory, plastikowe naczynia i budziki. Z tyłu przy wysokim kontuarze można było zrealizować recepty. Obok stały dwa plastikowe foteliki, a urzędujący za ladą mężczyzna poruszał się tak ospale, że zapewne czekało nas sprawdzenie wygody siedzisk.

Wysiadłam tylko z samochodu i przeszłam kilka kroków, więc nieprzyjemnie zaskoczyła mnie własna radość na widok fotelików. Usiadłam, a tymczasem Tolliver podał recepty młodemu człowiekowi, którego fartuch był albo wybielony i wykrochmalony, albo w ogóle założony po raz pierwszy. Próbowałam odczytać datę wydania dyplomu wiszącego na ścianie, ale siedziałam za daleko, by odcyfrować mały druk.

Młody farmaceuta okazał się bardzo skrupulatny.

–Te tabletki należy zażywać podczas posiłku – rzekł,

pokazując brązową fiołkę. – A te dwa razy dziennie. Jeśli

zaobserwuje pani któryś z objawów działań ubocznych opisanych

w ulotce, proszę się natychmiast skonsultować z lekarzem.

Po krótkiej wymianie zdań na temat przyjmowania leków Tolliver zapytał, gdzie możemy zapłacić. Wstałam, żeby pójść za nim do wskazanego przez farmaceutę stanowiska kasowego. Na miejscu musieliśmy odczekać, aż poprzednia klientka odbierze swoją resztę i odbędzie zwyczajową pogawędkę ze sprzedawczynią. Następnie poinformowaliśmy kasjerkę, że nasze ubezpieczenie nie pokrywa zakupu leków i zapłacimy za całość gotówką. Zdziwiła się, ale była zadowolona.

Po wyjściu ze sklepu czekała nas niespodzianka. Przy samochodzie stała szeryf. A prawie udało nam się wyjechać z Doraville.

–Bardzo mi przykro – powiedziała Sandra Rockwell. –

Potrzebujemy pani pomocy.

Chwilowo nie padało, ale niebo pozostawało zasnute nieprzyjemnie szarymi chmurami. Spojrzałam na Tollivera, którego twarz była blada jak śnieg.

–W jakiej sprawie? – zapytałam niezbyt mądrze.

–Prawdopodobnie jest ich więcej – odparła szeryf. Musieliśmy renegotjować naszą umowę. Jak do tej pory nie

otrzymałam nawet czeku za pierwsze wykonane zlecenie, a nie pracowałam za darmo. W dodatku wszędzie kręcili się reporterzy, a poszukiwań przy kamerach unikałam jak ognia.

Parking policyjny otaczało wysokie ogrodzenie, dodatkowo zabezpieczone od góry drutem kolczastym, na posterunek weszliśmy więc tylnymi drzwiami, niezauważeni przez nikogo. To znaczy nikogo z mediów. Pracownicy biura, którzy nie pojechali na miejsce ukrycia ciał, po kolei przechodzili obok gabinetu szeryf, żeby na mnie zerknąć. Z obandażowaną głową i ręką na

temblaku musiałam stanować zaiste nie lada widok. Tolliver usiadł po prawej stronie i wziął mnie za rękę.

–Powinnaś się położyć – powiedział. – Nie mam pojęcia, co

zrobimy, jeśli każą nam zostać. Zrezygnowałam przecież z pokoju

w motelu, na pewno ktoś już go zajął.

Rozważałam, czy podjąć się poszukiwań kolejnych ciał. Z jednej strony, tym właśnie zarabiałam na życie, ale z drugiej -czułam się fatalnie.

–Czyje to mogą być zwłoki? – zapytałam szeryf. –

Odnalazłam przecież wszystkich tych, którzy zaginęli.

–Przejrzeliśmy zgłoszenia zaginięć z ostatnich pięciu lat i znaleźliśmy jeszcze dwa pasujące do profilu chłopców z posesji Daveya.

–Skąd?

–Dom i obejście należało do Dona Daveya. Don był

wdowcem, zmarł jakieś dwanaście lat temu. Ledwie go pamiętam.

Miał wtedy około osiemdziesięciu lat. Od tamtej pory dom stał

pusty. Krewna, która dostała go w spadku, mieszka w Oregonie.

Nie przyjechała go nawet zobaczyć. Nie wydała też żadnych

dyspozycji dotyczących majątku. Sama ma teraz z osiemdziesiąt

lat i chyba po prostu nie interesuje jej ta ziemia.

–Czy ktoś kiedyś próbował to kupić? Rockwell sprawiała wrażenie zaskoczonej.

–Nie, nic o tym nie wiem.

–Gdzie znajduje się to drugie miejsce?

–W starej stodole, pod klepiskiem. Budynek jest w ruinie, właściciele nie zaglądają tam już ponad dziesięć lat.

–Dlaczego sądzicie, że akurat tam?

–Stodoła należy do psychoterapeuty Toma Almanda, który

nie zapuszcza się w ten odległy zakątek swojej ziemi. Całe to zamieszanie przy domu Daveya sprawiło, że sąsiad Toma, mój zastępca, Rob Tidmarsh, pomyślał, że budynki są podobne – od dawna opuszczone, na uboczu, z osłoniętym miejscem do kopania – i stwierdził, że warto to sprawdzić. I rzeczywiście, znalazł na klepisku dziwne ślady.

–Nie sprawdziliście tego sami?

–Nie. Wolelibyśmy, aby wskazała nam pani dokładniejsze miejsce.

–To bez sensu. Skoro klepisko nie jest twarde, wystarczy ponakłuwać je prętem, a zapach powie, czy są tam zwłoki. Albo w ostateczności przekopać całość. Szczątki nie mogą być głęboko, skoro naruszenia powierzchni są tak widoczne. Wyjdzie wam taniej, a ja będę mogła wyjechać z Doraville.

–Zainteresowani obstają przy pani usługach. Twyla

powiedziała, że dzięki szybkiemu odnalezieniu tamtych zwłok

zostało im trochę pieniędzy. – Szeryf obdarzyła mnie

nieodgadnionym spojrzeniem. – Nie chce pani reklamy? Roi się tu

od mediów, sama pani wie.

–Nie chcę mieć już z tym nic wspólnego.

–To nie mój pomysł – stwierdziła z wyraźnym żalem. Spojrzałam na swoje kolana. Byłam strasznie śpiąca. Bałam

się, że zasnę tu na miejscu, w biurze szeryfa.

–Nie – zdecydowałam. – Nie zrobię tego.

Tolliver podniósł się razem ze mną. Jego twarz nie wyrażała

żadnych emocji.

Szeryf patrzyła na nas, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

–Nie ma pani wyjścia – oświadczyła.

–Dlaczego?

–Bo tego chcą. A pani tym się właśnie zajmuje.

–Już mówiłam, jak możecie to sprawdzić. Chcę stąd wyjechać.

–W takim razie aresztuję panią.

–Pod jakim zarzutem?

–Utrudniania śledztwa. Albo innym. Coś się znajdzie.

–A więc szantażuje mnie pani? Jaki z pani stróż prawa?

–Taki, który chce rozwikłać sprawę morderstw.

–W takim razie proszę mnie aresztować – rzuciłam zuchwale. – Odmawiam współpracy.

–Jesteś za słaba na przebywanie w areszcie – powiedział Tolliver cicho. Oparłam się o niego, ze zmęczenia ledwie stojąc na nogach. Objął mnie, a ja przytuliłam policzek do jego piersi. Dałam sobie kilka sekund, zanim zmusiłam mózg do pracy.

Tolliver miał rację. Ze złamaną ręką i urazem głowy nie poradzę sobie nawet w małomiasteczkowym areszcie. A jeśli, co prawdopodobne, kilka okolicznych miejscowości miało jedno wspólne więzienie, mogło być dużo gorzej. Dlatego będę zmuszona zrobić to, czego chcą „oni”, i lepiej zrobić to od razu i mieć z głowy. Tylko kim są ci „oni”? Czy szeryf Rockwell chodziło o policję stanową?

Odsunęłam się od Tollivera. Skorzystałam z pretekstu, żeby być blisko niego, i prędzej czy później będę się musiała przed sobą do tego przyznać.

–Musisz coś zjeść – głos Tollivera przywrócił mnie do rzeczywistości.

–Tak. – Faktycznie powinnam coś zjeść. Miło byłoby też znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłabym odpocząć. Musiałam się

zdrzemnąć bez względu na to, czy faktycznie czekały na mnie kolejne ciała do odkrycia czy nie. – Dobrze, pójdziemy coś zjeść, a potem się z panią spotkamy – powiedziałam.

–Tylko niech państwo nie myślą o wyjeździe. I tak będziemy

o tym wiedzieć – zagroziła szeryf.

–Nie lubię pani – skwitowałam.

Sandra Rockwell spuściła wzrok. Ciekawe, co chciała ukryć.

Może sama w tej chwili nie darzyła się zbytnią sympatią.

Wymknęliśmy się tylną bramą i niedługo później znaleźliśmy sieciową restaurację, która na oko zapewniała odrobinę prywatności. Na jedzenie w samochodzie było za zimno, musieliśmy wejść do środka. Na szczęście albo nikt z obecnych tam ludzi nie czytał gazet, albo byli na tyle grzeczni, żeby mnie nie zaczepiać. A to oznaczało, że trafiliśmy w miejsce wolne od reporterów. W każdym razie mogłam zjeść w spokoju. Niewyszukane potrawy nie wymagały pomocy Tollivera. Wystarczyło, że otworzył dla

mnie torebkę z ketchupem i włożył słomkę do kubka. Jadłam bardzo powoli, chcąc jak najbardziej opóźnić konieczność udania się do tej przeklętej stodoły.

–Beznadzieja – podsumowałam w połowie hamburgera. – Nie

jedzenie, tylko ta sytuacja.

–Masz rację, ale nie widzę innego sposobu, żebyśmy

załatwili to w miarę po cichu.

Już miałam wypalić, że to ja wykonam całą czarną robotę, a on jak zwykle będzie stał z boku. Na szczęście ugryzłam się w język. Przeraziłam się, jak nieopatrznie mogłam zniszczyć nasze stosunki pod wpływem chwilowego rozdrażnienia. Tyle razy dziękowałam przecież Bogu, że Tolliver jest przy mnie. Tyle razy byłam wdzięczna losowi, że zgadza się być swoistym buforem

chroniącym mnie od świata.

–Harper?

–Tak?

–Dziwnie na mnie patrzysz. Coś się stało?

–Nie, zamyśliłam się.

–To musiały być niezbyt miłe myśli.

–Uhm.

–Jesteś na mnie zła? Uważasz, że powinienem był sprzeciwić się szeryf?

–Nie sądzę, żeby się to na coś zdało.

–Ja też. To skąd ta mina?

–Jestem zła na siebie.

–To niedobrze, przecież nie zrobiłaś nic złego.

Powstrzymałam westchnienie.

–Ciągle robię coś źle. – Jeśli zabrzmiało to ponuro, cóż, nie

mogłam nic poradzić. Zdawałam sobie sprawę, że chcę od

Tollivera więcej, niż może lub powinien mi dać. Musiałam

ukrywać to przed wszystkimi, a szczególnie przed nim. Byłam

zdecydowanie w dołku, a im szybciej z niego wyjdę, tym lepiej.

W drodze powrotnej zadzwoniliśmy do szeryf, prosząc, żeby czekała na nas przed wejściem. Na parkingu przesiedliśmy się do jej samochodu.

–On nie musi jechać – powiedziała Sandra Rockwell,

wskazując brodą Tollivera.

–Musi. To nie podlega dyskusji. Wolałabym spędzić godzinę

z reporterami, niż jechać gdzieś bez niego.

Spojrzała na mnie ostro, ale wzruszyła ramionami.

–No dobrze, skoro się pani upiera.

Wyjeżdżając z parkingu, manewrowała tak, żeby nie

przejeżdżać ponownie przed posterunkiem. Ciekawe, czemu zadawała sobie tyle trudu, żeby zmylić reporterów? Nie potrafiłam jej rozgryźć. Mimo że zjadłam posiłek i chwilę posiedziałam, już na przedmieściach oba urazy zaczęły mi się dawać we znaki. Żałowałam, że torba z lekami została w naszym samochodzie, choć wiedziałam, że nie wzięłabym tabletek przeciwbólowych przed wykonaniem zlecenia. Nie miałam pojęcia, co by się stało, gdybym zaczęła udawać. Przez chwilę wymyślałam możliwe scenariusze, ale zabawa szybko stała się nudna. Resztę drogi przesiedziałam, opierając czoło o zimną szybę.

–Na pewno da pani radę? – zapytała szeryf niechętnie, kiedy Tolliver pomagał mi wysiąść.

–Miejmy to już za sobą – powiedziałam i ruszyliśmy w stronę grupki mężczyzn stojących przy wrotach niegdyś czerwonej stodoły. Budynek nie był w aż tak opłakanym stanie jak zabudowania przy szlaku, ale między deskami świeciły szpary, farba odłaziła płatami, a całość trzymała się chyba tylko dzięki blaszanemu dachowi. Rozejrzałam się wokół. Spory kawałek dalej, we frontowej części działki, stał dom, w przeciwieństwie do stodoły bardzo zadbany. A więc właściciel nie był rolnikiem, nie trzymał też trzody. Zależało mu tylko na budynku mieszkalnym i ogródku. Grupka rozstała się, odsłaniając dwóch mężczyzn. Jeden, na oko czterdziestolatek, miał na sobie ciężkie, rozpięte okrycie, a pod nim bluzę i krawat. Był niski, nie wyższy od Doaka Garlanda. Obejmował ramieniem chłopca, może dwunastoletniego. Krępy

chłopak miał długie jasne włosy i zdecydowanie mocniejszą sylwetkę niż ojciec. Wydawał się bardzo poruszony, a jednocześnie jakby podekscytowany. Według mnie wiedział, co znajduje się w stodole.

Szeryf wyminęła tę dwójkę, nie przystając, ale zdążyłam przyjrzeć się chłopcu. Wiem, jaki jesteś, pomyślałam. Sądząc po jego minie, czuł, że go rozszyfrowałam. Chyba się trochę przestraszył.

Mój talent umożliwia kontaktowanie się ze zmarłymi, ale od czasu do czasu odbieram sygnały od żywych, którzy wykazują nadmierne zainteresowanie śmiercią. Zwykle tacy ludzie są nieszkodliwi. Wybierają pracę w domach pogrzebowych lub kostnicach. Chłopiec był jednym z tych, których pociągała śmierć. Nie rozpoznaję ich za często, ale dziecko nie potrafi jeszcze ukrywać uczuć czy tłumić odruchów tak jak dorośli, więc w tym przypadku nie było to trudne. Nie wiedziałam tylko, jaką formę przyjęła jego fascynacja.

Wisząca w stodole żarówka więcej skrywała w cieniu, niż oświetlała. Przestronne wnętrze ziało pustką, jedynie pod tylną ścianą znajdowały się trzy boksy pełne przegniłej słomy. Wyglądały, jakby nikt nie dotykał ich od lat. Poza tym wisiało tu trochę starych narzędzi, na klepisku walały się stare taczki, kosiarka, kilka worków z nawozem do trawy, a w kącie stała piramidka puszek z farbą.

Powietrze było zimne, duszne i nieprzyjemne. Tolliver chyba próbował wstrzymać oddech. Bez sensu na dłuższą metę.

Od razu wiedziałam, że to raczej zadanie dla Xyldy. Powiedziałam to szeryf.

–Co? Chodzi o tę kobietę z pomarańczowymi włosami?

–Tak, wiem, jak wygląda – przyznałam. – Ale posiada prawdziwy dar. A zapewniam, że nie ma tu nic dla mnie.

–Nie ma zwłok? – Trudno było stwierdzić, czy Rockwell czuje ulgę, czy jest rozczarowana.

–Są, to na pewno. Ale nie ludzkie. Wyczuwam tu śmierć, ale

jej nie rozpoznaję. Jeśli pani pozwoli, zadzwonię po Xyldę. Jeśli

uda jej się odkryć, o co chodzi, może jej pani dać tę część zapłaty

przeznaczoną na zlecenie dla mnie.

Rockwell przypatrywała mi się przez chwilę. Chłód wybielił jej twarz. Nawet jej oczy wydawały się jaśniejsze.

–Dobrze – zgodziła się w końcu. – Ale jeśli zrobi z pani

idiotkę, pani sprawa.

Xylda i Manfred dotarli na miejsce dość szybko, biorąc pod uwagę okoliczności. Xylda miała na sobie sfilcowany tartanowy płaszcz, a jej długie płomiennorude włosy tworzyły chaotyczną szopę. Xylda była tęgą kobietą, która swoje okrągłe oblicze obficie zdobiła pudrem i szminką. Całości obrazu dopełniały grube pończochy uciskowe oraz mokasyny. Manfred naprawdę kochał babkę – większość młodzieńców w jego wieku za nic w świecie nie pokazałaby się publicznie z takim zjawiskiem.

Xylda nie przywitała się z nami, w ogóle zignorowała naszą obecność. Od razu pokuśtykała do środka, podpierając się laską. Nie mogłam sobie przypomnieć, czy ostatnio już potrzebowała podpory. Manfred podtrzymywał ją lekko w pasie, jakby w obawie, że w każdej chwili może upaść.

Xylda wskazała laską na niewielkie wybrzuszenie klepiska, a potem zamarła. Mężczyźni oraz chłopiec, którzy weszli do stodoły, patrzyli na Xyldę drwiąco, niezbyt dyskretnie czyniąc komentarze na jej temat. Teraz jednak ucichli, a kiedy Xylda przekręciła głowę, jakby nasłuchiwała, wiszące w powietrzu napięcie zgęstniało niemal namacalnie.

–Zamęczone zwierzęta – stwierdziła krótko i z wielką, jak na

starszą, schorowaną kobietę, werwą okręciła się, wymierzając

oskarżycielsko laskę w chłopca. – Torturujesz zwierzęta, ty mały sukinsynu – Xylda wyrażała się dość bezpośrednio. – Wykrzykują twoje winy – ciągnęła dalej monotonnym głosem. – Twoja przyszłość napisana jest krwią.

Chłopiec wyglądał, jakby lada moment miał dać nogę, przytłoczony tym ciężkim, świdrującym wzrokiem. Nie dziwiłam mu się.

–Synu! – zaczął drobny mężczyzna w wielkim płaszczu. Spoglądał na syna z rozdierającym serce powątpiewaniem. – Czy to, co mówi ta kobieta... czy to prawda? Byłbyś zdolny do czegoś takiego?

–Tato! – jęknął chłopak błagalnie, jakby ojciec mógł powstrzymać to, co miało nastąpić. – Nie pozwól im na to.

Tolliver objął mnie w pasie. Mężczyzna potrząsnął lekko chłopcem.

–Musisz im powiedzieć.

–Było już ranne – szepnął chłopiec. – Tylko patrzyłem, jak umiera.

–Kłamiesz – wychrypiła Xylda głosem ociekającym odrazą.

Potem sprawy potoczyły się lawinowo.

Zastępcy wykopali szczątki kota, psa, kilku królików -osesków, i jednego czy dwóch ptaków. Przerzucili też słomę, wzbijając w powietrze tumany pyłu, ale klepisko w boksach było nienaruszone. Ojciec chłopca, Tom Almand, był kompletnie oszołomiony. Jako psycholog, nawet lepiej niż inni zdawał sobie sprawę, że męczenie i zabijanie zwierząt jest pierwszym sygnałem zaburzeń, które mogą przerodzić się w socjopatię. Wielu seryjnych

morderców zaczynało w ten sposób. Zastanawiałam się, ile z dzieci zamęczających zwierzęta wyrosło na zabójców, ale wiedziałam, że nie da się zebrać takich informacji. Czy to możliwe, żeby robić coś podobnego w dzieciństwie, a potem stać się zwyczajnym dorosłym, który potrafi tworzyć zdrowe związki? Może. Nigdy nie zgłębiałam tej kwestii i nie zamierzałam tego robić. Wystarczająco napatrzyłam się w pracy, wiedziałam, do jakich strasznych rzeczy zdolni są ludzie... I do jakich wspaniałych. Patrząc na mokrą od łez twarz dwunastoletniego sadysty, Chucka Almanda, nie byłam w stanie wykrzesać z siebie optymizmu.

Szeryf Rockwell powinna być zadowolona. Uchroniliśmy lokalne władze od fatalnej pomyłki, ujawniliśmy potencjalne źródło przyszłych poważnych kłopotów, a w dodatku nie dostanę ani centa za moją gehennę. Jednakże Xylda zarobiła swoją działkę uczciwie i zamierzałam dopilnować, żeby jej zapłacono.

Szeryf jednak nie promieniała szczęściem. Przeciwnie, wyglądała na znużoną, zniechęconą i zawiedzioną.

–Skąd ta ponura mina? – zapytałam. Tolliver odszedł na bok,

żeby porozmawiać z Manfredem. Wiedziałam, że ta uprzejmość

nie przyszła mu bez wysiłku. Xylda uczepiła się ramienia jednego

z zastępców i szeptała mu coś do ucha. Mężczyzna sprawiał

wrażenie skołowanego.

–Miałam nadzieję na przełom – odparła Sandra, zbyt

zmęczona, by ukrywać swoje myśli i emocje. – Myślałam, że coś

odkryjemy. Że będzie tu więcej ciał, jakieś dowody, może trofea, które powiążą kogoś, może Toma, z tymi morderstwami. Udałoby nam się to wszystko zakończyć i rozwiązać sprawę własnymi siłami, bez przekazywania śledztwa stanowym czy FBI.

Sandra nie była tak kryształowa, jak się wydawało.

–Nie ma tu żadnych ludzkich zwłok. Przykro mi, że nie możemy sprawić magicznie, aby się tu znalazły – mówiłam szczerze. Podobnie jak większość ludzi chciałam, aby przestępca został złapany, aby stało się zadość sprawiedliwości, aby winni zostali ukarani. Często jednak nie osiąga się tego wszystkiego jednocześnie, czy też w odpowiednich proporcjach. – Czy teraz możemy już jechać?

Szeryf przymknęła na sekundę oczy, a ja poczułam nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu.

–SBI prosiło, żeby pani została na miejscu jeszcze jeden dzień. Chcą zadać pani kilka pytań.

Łaskotanie przekształciło się w bolesny skurcz.

–A nasza umowa? Miałam stąd wyjechać zaraz po tym – chyba podniosłam głos, bo kilka osób spojrzało w naszą stronę. Nawet chłopiec, przyczyna całego tego zamieszania, odwrócił głowę. Popatrzyłam mu prosto w oczy i po raz pierwszy świadomie zajrzałam w umysł drugiego człowieka.

–Powinniście go zastrzelić – powiedziałam, porażona strasznym uczuciem. Ciekawe, czy Xylida doświadczała tego w

podobny sposób i czy to właśnie stanowiło przyczynę jej dziwactw. A Manfred? Czy stanie się podobny do babki? Nie, to nie było tak, że chłopiec nie miał wyboru, że od urodzenia był skazany na jedną ścieżkę wytyczoną przez jego naturę. Widziałam raczej szereg dokonywanych przez niego wyborów, w większości prowadzących do przeobrażenia się w bohatera jednego z dokumentów na Discovery Investigation.

Czy ujrzałam prawdę? Czy było to nieuniknione? Miałam nadzieję, że nie. I miałam nadzieję, że już nigdy czegoś takiego nie

doświadczę. Czy ta możliwość wglądu w duszę Chucka wynikała z bliskości dwóch prawdziwych mediów; czy dotknęła mnie fala ich daru? A może sprawiło to echo dalekiego grzmotu? Ten odgłos zawsze budził we mnie silne emocje związane z wypadkiem -dokuczliwą kombinacją lęku i niepokoju. A może po prostu niewłaściwie to wszystko odebrałam.

–Tolliver – zwróciłam się do brata – musimy znaleźć jakiś nocleg. Okazuje się, że jednak nie pozwolą nam wyjechać. –

Trzeba było szybko załatwić aptekę i zmykać, gdzie pieprz rośnie.

Tolliver natychmiast znalazł się przy mnie. Popatrzył przeciągle na szeryf.

–W takim razie pani Rockwell powinna się tym zająć. Wymeldowaliśmy się z motelu – dorzucił w ramach wyjaśnienia.

–Możecie zatrzymać się u nas w pokoju. – Xylda wykazała się zaskakującym refleksem. – Będzie ciasno, ale lepsze to niż cela, prawda?

Wyobraźnia uraczyła mnie wizją spędzenia nocy w jednym łóżku z Xyldą i śpiących tuż obok Tollivera oraz Manfreda, a następnie innych możliwych konfiguracji. Perspektywa więziennej pryczy natychmiast wydała mi się kusząca.

–Dziękuję, ale jestem przekonana, że szeryf coś dla nas wymyśli – wykręciłam się.

–Nie jestem biurem podróży – obruszyła się Sandra Rockwell, ale dodała: – Rozumiem jednak, że planowaliście wyjazd, więc postaram się pomóc w znalezieniu czegoś. Ten najazd na miasteczko to pani wina.

W stodole zapadła cisza, wszyscy patrzyli na szeryf.

–No, może nie do końca – zreflektowała się.

–W ogóle nie – poprawiłam ją.

–Wszystkie kwatery prywatne w mieście są zajęte –

oświadczył zastępca, na którego plakietce widniało nazwisko

Tidmarsh. A więc to on był sąsiadem Almandow. – Ale można by

spróbować u Twyli Cotton, ma domek nad jeziorem.

–Zadzwoń do niej, Rob. – Szeryf rozjaśniła się i zwróciła do nas: – Dziękuję, że przyszliście tutaj. Teraz zdecydujemy, co z zrobić z tym tu delikwentem.

–Nie pójdzie do więzienia?

–Tom! – Sandra podniosła głos. – Weź swojego syna i

podejdźcie.

Obu chyba ulżyło, że ktoś wreszcie się do nich odezwał. Cofnęłam się, nie chcąc przebywać zbyt blisko Chucka. Tak, miał tylko dwanaście lat i wiedziałam oczywiście, że nie robi mi krzywdy. Wiedziałam także, że może dokonać wielu wyborów, pójść różnymi drogami, istniała szansa, że dzisiejsze wydarzenie wstrząśnie nim, skłoni do przemyśleń i zmiany.

–Nie odbierzemy ci Chucka, Tom – oświadczyła szeryf.

Szczupłe ramiona Toma Almanda opadły w wyrazie ulgi.

Sprawił wrażenie miłego mężczyzny, w typie dobrego sąsiada, który chętnie pod twoją nieobecność odbierze paczkę i nakarmi kota.

–Co mamy... zrobić? – zapytał, zacinając się, jakby miał sucho w ustach.

–Porozumiemy się z sędzią, na pewno znajdziemy jakieś wyjście. Na razie powinieneś wysłać Chucka na terapię, to chyba nie stanowi dla ciebie problemu? Najlepiej zrób to od razu, nie czekaj na nakaz. I miej na niego oko.

Sandra Rockwell popatrzyła na chłopca. Zrobiłam to samo. Na Boga, dzieciak był piegowaty. W życiu nie widziałam żadnego

odcinka serialu kryminalnego zatytułowanego „Piegus Rozpruwacz”.

Chuck spoglądał na mnie z równą fascynacją. Nie mam pojęcia, czemu wzbudzam takie zainteresowanie młodych ludzi. Nie chodzi mi o takich w moim wieku, ale właśnie młodszych. Przecież nie robię nic, żeby zwrócić na siebie ich uwagę, a już na pewno nie jestem w typie mamuśki.

–Spójrz na mnie, Chuck – powiedziała szeryf. Chłopak zwrócił błękitne oczy na urzędniczkę.

–Tak, proszę pani?

–Zrobiłeś coś bardzo złego, rozumiesz? Chuck spuścił wzrok.

–Musisz mi powiedzieć, robiłeś to sam czy ktoś był z tobą? Chłopiec milczał przez chwilę, szukając odpowiedzi, która

dałaby mu jakąś przewagę.

–Sam, proszę pani – odparł w końcu. – To przez mamę, ona

umarła i ja... – urwał teatralnie, jakby nie mógł wydobyć z siebie

słów.

I ja, i Tolliver potrafiliśmy rozpoznać szopkę. Sami byliśmy doświadczonymi kłamcami. Bardzo przekonująco oszukiwaliśmy szkołę oraz opiekę społeczną w Texarkanie, żeby nikt nie rozdzielił naszej rodziny, podczas gdy nasi rodzice taplali się w rynsztoku. Oboje wiedzieliśmy, że chłopak nie mówi prawdy. Byłam oburzona, że zasłania się śmiercią matki. Ona przynajmniej umarła z godnością i na pewno nie chciała zostawiać swojej rodziny.

Chuck popełnił błąd, zerkając na mnie. Liczył pewnie, że z łatwością nabierze dorosłe kobiety na tę płacziwą nutę. Drgnął, napotykać mój wzrok, niemal niedostrzegalnie, ale jednak.

–Może medium powie nam więcej – zasugerowała szeryf.

–Na przykład, czy ktoś mu nie pomagał – dodałam. Raczej nie to miała na myśli Sandra, prawdopodobnie chciała sprawdzić reakcję chłopca, licząc, że się przyzna. Jednakże medium wzięła sobie jej słowa do serca.

–Nie chcę mieć nic wspólnego z tym małym psychopatą -oświadczyła Xylida.

–To mój syn – oburzył się Tom. – Moje dziecko.

Otoczył Chucka ramieniem, przyciągając go do siebie.

Chłopak uczynił wyraźny wysiłek, powstrzymując się od strząśnięcia jego ręki.

Wymieniłyśmy z Xyldą spojrzenia. Manfred pokręcił głową.

–Nie musisz, babciu. I tak by ci nie uwierzyli, na pewno nie oni.

–Wiem – westchnęła Xylda. Skurczyła się nagle i posmutniała.

–Proszę pani? – głos chłopca przepelniała ciekawość. Zorientowałam się, że Chuck mówi do mnie. – Naprawdę potrafi pani odnajdywać ciała?

–Owszem.

–A muszą być całkiem nieżywe?

–Tak. Kiwnął głową, jakby potwierdziły się jego przypuszczenia.

–Dziękuję – powiedział i został odciągnięty przez ojca na bok.

Potem wszystko potoczyło się bez naszego udziału. Po kilku chwilach przyciszonych rozmów szeryf poinformowała nas, że możemy skorzystać z gościny Twyli.

–To chata nad jeziorem Pine Landing – wyjaśniła. – Parker, syn Twyli, zaraz tu będzie, pokaże wam drogę.

Ucieszyłam się, że mamy gdzie spać, choć gdyby nic nie znaleźli, musieliby nas wypuścić z miasta. Czułam się jak osoba, która dopiero co wyszła ze szpitala – nie bardzo chora, ale osłabiona. Zastępcy przekopywali jeszcze klepisko w poszukiwaniu martwych zwierząt, ale ja zakończyłam już swoje zadanie. Nasza czwórka odeszła na bok, wybierając miejsce, które nie wykazywało żadnych śladów naruszenia ziemi. Od czasu do czasu mężczyźni zerkali na nas z ciekawością.

Parkerowi McGrawowi nie udało się wyprzedzić mediów. Dowiedziawszy się, że szeryf jest w stodole, reporterzy zlecieli się niczym pszczoły do miodu. Choć funkcjonariusze nie wpuścili ich do budynku, za drzwiami rozlegały się głosy wykrzykujące moje nazwisko. Manfred uścisnął na pożegnanie rękę Tollivera i wziął babkę pod ramię z zamiarem odeskortowania jej do czekającego na zewnątrz tłumku.

–Babcia uwielbia fotografów. Patrzcie tylko – powiedział i

pocałował mnie w policzek.

Obserwowaliśmy, jak jaskraworuda Xylda kroczy przez pustą stodołę w nie mniej barwnej asyście swojego wnuka. Zatrzymała się przy samochodzie z wręcz zabawną, teatralną niechęcią.

–Można robić zbliżenie, panie DeMille! – zawołał Manfred.

Wykorzystując zainteresowanie mediów pławiącą się w

świecie reflektorów Xyldą, popędziliśmy z Tolliverem ku zaparkowanej nieopodal półciężarówce. Nie bardzo pamiętałam, jak wygląda samochód Parkera, ale Tolliver zachwycał się nim na podjeździe u Twyli, więc poprowadził mnie wprost do niego.

Syn Twyli był potężnym, przysadzistym mężczyzną ubranym we flanelową koszulę, klasyczne dżinsy i puchową kamizelkę.

Miał też ciężkie, ubłocone buty. Kiedy był dzieckiem, jego matka nie miała najwyraźniej dość pieniędzy, by płacić za ortodontę.

Potrząsnął ręką Tollivera. Moją uścisnął nieco niepewnie, jakby kobiety z jego otoczenia nieczęsto wyciągały dłoń na powitanie.

–Jedźmy, póki mamy okazję – powiedział i wszyscy w

pośpiechu wsiedliśmy do samochodu. Tolliver musiał mnie

podsadzić. Jechaliśmy ściśnięci, bo Parker zabrał swojego syna

Carsona. Przedstawił nas sobie i mimo okoliczności widać było, że

chłopak jest dumą ojca.

Carson był mocno zbudowanym, niewysokim młodzieńcem o brązowych oczach i okrągłej twarzy, której rysy odziedziczył po babce. W drodze milczał przygnębiony. Nic dziwnego, w końcu dopiero co odnaleziono zwłoki jego brata.

–Nasz samochód stoi na parkingu pod biurem szeryfa -powiedział Tolliver. Parker kiwnął głową. Wydawał się miłym mężczyzną, ale z pewnością małymównym. Jednak odezwał się, kiedy zostawiliśmy w tyle tłumek reporterów.

–Nie miałem okazji państwu podziękować – rzekł. – Może wydaliśmy się niegościnni, ale mam nadzieję, że państwo rozumieją...

–Oczywiście – zapewniłam, a Tolliver przytaknął. – Proszę sobie tym nie zawracać głowy. Przyjechaliśmy tu do pracy.

–Tak, ale nie wzięliśmy pieniędzy od mamy i nie

przegoniliśmy jej na darmo po górach. Jest kobietą, która zawsze robi to, co uważa za słuszne, a uważała za słuszne wezwanie was.

Nie muszę mówić, że byliśmy temu przeciwni i nie ukrywaliśmy

tego. Ale obstawała przy swoim i miała rację. A potem przyjechała

tamta dwójka... – Pokręcił głową. – Nie zdawaliśmy sobie sprawy z różnicy, dopóki ich nie zobaczyliśmy.

Miał na myśli Xyldę i Manfreda. Zerknęłam na Carsona, sprawdzając jego reakcję. Słuchał uważnie, ale nie wydawał się zdenerwowany.

–Miło, że ma pan o nas dobre zdanie – zaczęłam ostrożnie, szukając oględnych słów. – Jednak nie należy oceniać książki po okładce, przynajmniej w wypadku Xyldy. Ona naprawdę posiada dar. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że jej wygląd i zachowanie może odstraszać – starałam się mówić przekonująco.

–To bardzo po chrześcijańsku, że pani jej broni – rzekł Parker McGraw, przemyślawszy moją wypowiedź, i już kiedy uznałam temat za zamknięty, dodał: – Jednak w kwestiach paranormalnych będziemy zwracać się do pani. – No proszę, miał poczucie humoru. Niestety, iskra ta szybko zgasła, przysłonięta chmurą żalu po stracie syna. – Śmiech nie wydaje się stosowny w czasie żałoby po dziecku. – Carson przechylił głowę, kładąc ją na moment na ramieniu ojca. Gest ten poruszył mnie do głębi.

–Tak mi przykro – powiedziałam. – Żałuję, że nie udało mi się odkryć, kto to zrobił.

–Och, dowiemy się tego – oświadczył Parker bez cienia

wątpliwości w głosie. – Musimy. Mamy z Bethalynn jeszcze

jednego syna i nie dopuścimy, żeby dorastał w strachu.

Napotkałam wzrok Carsona. Chłopak nie zdradzał żadnych oznak lęku, ale był teraz z ojcem. W jego oczach widziałam niezachwiane przekonanie, że dorośli go ochronią, pewność, której nic nie mogło nadwątlić. Nawet po śmierci brata Carson wierzył, że jego nic podobnego nie spotka. Miałam nadzieję, że się nie myli. Parker najwyraźniej nie wątpił, że po złapaniu mordercy syna Doraville znów będzie bezpieczne. Uważał, że to proste.

Zaśmiałam się gorzko w duchu, ale szybko się zmitygowałam, przypominając sobie,

przez co ten mężczyzna przeszedł. Miał prawo wierzyć w cokolwiek, co pomagało mu się odnaleźć w tej rzeczywistości. Wszyscy snujemy fantazje, które ubarwiają życie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chatka nad jeziorem należała do Cottonów od czterdziestu lat. Parker wyznał, że początkowo czuli się tu jak intruzi, ale dzieci Archiego Cottona były grubo po pięćdziesiątce, nie miały swoich pociech i wreszcie wyprowadziły się z Doraville. Bez żalu oddały domek do dyspozycji rodziny drugiej żony ojca.

–Jeff uwielbiał tutaj przyjeżdżać. Planujemy spędzić tu z Carsonem trochę czasu na wiosnę. Będziemy chodzić na ryby, prawda?

–Jasne. Złowimy sporo ryb dla mamy. Kocha je oprawiać -odparł chłopak, wywołując tym uśmiech na twarzy ojca.

Dyżurujący funkcjonariusz przemycił nas na parking za posterunkiem. Przesiedliśmy się pospiesznie do naszego samochodu i ruszyliśmy za Parkerem.

Jeziro Pine Landing znajdowało się około dziesięciu mil na północny wschód od miasteczka. Jechało się do niego pod górę wąską, dwupasmową szosą. Minęliśmy parę samochodów. Okazało się, że niedaleko leży niewielka osada, Harmony, stanowiąca maleńką kropkę na mapie. Droga miejscami pozwalała zobaczyć drugi brzeg jeziora. Wokół porzrzucone były domy, niektóre na oko całoroczne, inne przypominające raczej osłonięte wiaty.

–Musi tu być pięknie latem – zauważyłam. Tolliver kiwnął głową.

Jechaliśmy za Parkerem w pewnej odległości, a kiedy skręcił, nasz samochód potoczył się za nim stromą dróżką aż na kawałek płaskiego terenu nad brzegiem, gdzie zaparkowaliśmy przy domu.

Nieruchomość Cottonów należała do tych pokaźniejszych. Dwukondygnacyjny bungalow prawdopodobnie zbudowano jako jeden z pierwszych w tej okolicy, bo wokół rosły już potężne drzewa. A może po prostu projektant przemyślał lepiej jego usytuowanie? Rustykalny, kryty cedrowym gontem i obłożony takim samym drewnem wtapiał się w otoczenie lepiej niż większość budowli widzianych z drogi.

Dolny poziom stanowił składzik na łódzie i inny sprzęt sportowy. Zaopatrzone go w szerokie wrota wychodzące na jezioro. Przy ścianie znajdowały się schody prowadzące na taras z głównym wejściem do części mieszkalnej. Moskitiera skrywała ciężkie drewniane drzwi, które po chwili otworzył Parker.

–Większość chat nie ma ogrzewania ani klimatyzacji, ale tu

jest wszystko – powiedział, zapraszając nas gestem do środka. –

Archie zadbał o wygody. Jeśli wysiądzie prąd, co zdarza się

regularnie, macie tu kominek. Działa, w zeszłym miesiącu

sprawdzał go kominiarz.

Wewnątrz była tylko jedna duża izba. Pod ścianą stały dwa podwójne łóżka, obok których ułożono kilka dodatkowych posłań, zwiniętych i w pokrowcach. Od jakiegoś czasu nikt tu nie wietrzył, ale nie wyczułam zapachu stęchlizny, tylko ciężki aromat cedrowego drewna. Duży kominek obłożono naturalnym kamieniem, a ściany pozostawiono w okładzinie z surowego, szorstkiego cedru. Obok drzwi stała mała kuchenka, stara, niemal antyczna lodówka i kilka szafek, zaś przepierzenie w kącie skrywało zapewne mikroskopijną łazienkę. Ściana od strony jeziora składała się w większości z szyb, za nią zaś otwierała się weranda, na której stało kilka masywnych foteli bujanych.

–Pościel powinna być tutaj. – Parker podszedł do jednej z

szafek. – O, proszę, dokładnie tak, jak mówiła Bethalynn. – Wyciągnął foliowy pokrowiec i położył go na łóżku. – Przyjeżdżamy tu czasem wiosną, kiedy noce są zimne, więc jest sporo koców. Rozpałka i drewno są na dole, można tam zejść tędy. – Wskazał klapę w podłodze. – Kiedyś trzymaliśmy je na zewnątrz, ale ginęło wszystko, czego nie zamykaliśmy. Regularnie raz na dwa, trzy lata mamy tu nawet włamania.

Wszyscy pokręciliśmy głowami nad upadkiem moralnym dzisiejszego społeczeństwa. Parker westchnął ciężko, chcąc zapewne pokryć tym inny żal zalegający mu w duszy. Carson poklepał ojca po ramieniu.

–To do zobaczenia w kościele – rzucił. – Mama ma wasz

numer telefonu – dodał i wyszedł, żeby ukryć przed nami rozpacz.

Pewnie smutek często ostatnio wyciskał mu łzy z oczu.

Zastanawiałam się, kiedy zamierzają urządzić pogrzeb starszego

syna.

Tolliver dźwignął klapę i zszedł na dół.

–Nie ma tu żadnych okien! – zawołał. Usłyszałam

pstryknięcie i w podłodze zajaśniał prostokąt światła. – Przyniosę

trochę drewna!

Kładłam torbę na łożko bliższe łazienki, kiedy z dołu dobiegło kilka łupnięć, a po chwili z włazu wyłoniła się głowa, ramiona, sterta drewna i cała reszta Tollivera.

Nie miałam wiele do czynienia z kominkami, ale przykucnęłam, żeby sprawdzić, czy pokrywa w kominie jest otwarta. I całe szczęście. Szybko znalazłam klamkę, przekręciłam ją niezdarnie zdrową ręką i voilá. Kłapa uniosła się ze zgrzytem, ukazując skrawek szarego nieba. Przy palenisku stał kosz szyszek, jak sądziłam, w celach dekoracyjnych. Jednakże Tolliver

powiedział, że to świetna rozpałka, a ponieważ szyszki faktycznie sprawiały wrażenie najwyczejniejszych w świecie i w każdej chwili można było wyjść, żeby uzupełnić kosz, pozwoliłam mu ich użyć. Nie mieliśmy zapalniczek ani zapalek, na szczęście jednak znaleźliśmy na gzymsie pudełko tych ostatnich, zapakowane w hermetyczny woreczek. Schludny kopczyk rozpałki, przygotowany z profesjonalizmem byłego skauta, zapalił się od razu. Tolliver ułożył nań kilka większych kawałków drewna, zostawiając między polanami sporo przestrzeni, zapewne żeby umożliwić swobodny dopływ powietrza.

Rozpalanie ognia uważał chyba za typowo męskie zadanie, zostawiłam go więc przy kominku, żeby mógł się wykazać. Szczęśliwie miałam w torbie kilka batonów zbożowych, a zapasy napojów w podróźnej lodówce, którą przyniósł Tolliver, były całkiem spore.

–Wieczorem, jak pojedziemy do miasteczka, musimy

zahaczyć o jakiś sklep – powiedziałam.

–Naprawdę chcesz iść na to spotkanie do kościoła?

–Nie chcę, ale skoro i tak zostajemy, to lepiej idźmy. Nie chcę, żeby ludzie gadali. – Zerknęłam na zegarek. – Mamy jeszcze trzy godziny, położę się. Jestem wykończona.

–Niepotrzebnie wtaszczyłaś tu tę torbę.

–Niosłam ją w zdrowej ręce. – Przy okazji zażyłam też leki, więc ból już mi tak nie dokuczał.

Podskoczyłam, słysząc pukanie do drzwi, ale pocieszyłam się, widząc, że Tolliver też drgnął. Wymieniliśmy spojrzenia. Raczej nikt tu za nami nie jechał, mieliśmy więc nadzieję, że udało nam się uciec od reporterów. Tolliver otworzył drzwi.

–Tak?

Podeszłam, zaglądając mu przez ramię. Nieznajomy nie przypominał żadnego z reporterów, z jakimi miałam do czynienia. Był starszym mężczyzną o pomarszczonej twarzy, ubranym w znoszoną kurtkę, a w ręku dzierżył półmisek z zapiekanką.

–Nazywam się Ted Hamilton i mieszkam tu obok -przedstawił się z uśmiechem. – Zauważyliśmy samochód Parkera i wasz. Żona nie mogła się doczekać, żeby wam coś podać. Jesteście przyjaciółmi rodziny?

–Proszę wejść – zaprosił gościa Tolliver. – Nazywam się Tolliver Lang, a to moja siostra, Harper.

–Bardzo mi miło, pani Lang – ukłonił się Ted. – Położę to na szafce, dobrze? – Odstawił naczynie na blat.

–Connelly – poprawiłam. – Ale wystarczy Harper. Mieszka pan tu z żoną cały rok?

–Tak, odkąd odszedłem na emeryturę.

Hamiltonowie mieszkali pewnie w białym domku stojącym

nieopodal, nieco na północ stąd. Widziałam go, ale myślałam, że nikogo tam nie ma. Hamiltonowie i McGrawowie nie musieli się często widywać, gdyż do domków dojeżdżało się z przeciwnych stron. Budynek Hamiltonów wyglądał jak przeciętny dom, który tylko przypadkiem postawiono nad jeziorem, nie dbając o dopasowanie do krajobrazu. Zauważyłam natomiast, że miał ładny pomościk.

–Nie zostaniemy tu długo – powiedziałam z udawanym

żalem. – Bardzo dziękujemy za zapiekankę, to taki miły gest.

–A więc znacie Twylę, tak?

Najwyraźniej umierał z chęci zdobycia jakichś sensacyjnych

wieści, a ja postanowiłam trzymać język za zębami.

–Tak, bardzo sympatyczna kobieta.

–A więc nie zamierzacie tu zabawić? Może jednak uda nam się was namówić – terkotał pan Hamilton. – Choć rzeczywiście, pogoda w najbliższych dniach nie dopisze. Pewnie zrezygnujecie z pobytu tutaj i przeniesiecie się do miasta. Szczególnie, że często mamy awarie prądu, a monterom trochę schodzi, zanim tu dotrą.

–Przewiduje pan problemy z elektrycznością?

–Zawsze tak jest, jak przychodzi śnieg i mróz, a zapowiadali opady na jutrzejszą noc. Przygotowujemy się na to z żoną od jakiegoś czasu. Kupujemy więcej jedzenia, robimy zapasy wody, nafty, świeczek i tak dalej. Uzupełniamy apteczkę, na wszelki wypadek – podstawowe rzeczy, jak plastry czy bandaże.

Widać było, że nadejście złej pogody jest dla Hamiltonów wielkim wydarzeniem, odniosłam też wrażenie, że cieszy ich ta cała procedura przygotowań.

–Przy odrobinie szczęścia wyjedziemy już jutro –

zapowiedziałam. – Proszę podziękować żonie za opiekankę.

Oczywiście zwrócimy naczynie.

Powtórzyliśmy to kilkakrotnie i wreszcie pan Hamilton zdecydował się wyjść. Słyszeliśmy, jak schodzi na dół i idzie ścieżką, a potem dobiegł nas odgłos otwieranych drzwi i szczebiot starszej pani, który ucichł wraz z trzaśnięciem.

Podniosłam folię aluminiową, odkrywając opiekankę ryżową z kurczakiem. Z rozkoszą pociągnęłam nosem. Ser, śmietanka i odrobina cebulki.

–Rany! – jęknęłam, pełna szacunku dla osoby, która potrafiła

wyczarować taki smakołyk w ciągu trzech kwadransów, bo tyle

mniej więcej czasu spędziliśmy w chacie.

–Jak masz gotowego kurczaka w lodówce, to na ryż

wystarczy dwadzieścia minut – stwierdził Tolliver ze znawstwem.

–Mimo wszystko jestem pod wrażeniem – oświadczyłam, a

mój żołądek zawtórował głośnym burczeniem, domagając się

jedzenia.

Znaleźliśmy w szafkach plastikowe sztucce oraz tekturowe talerzyki i od razu pochłonęliśmy połowę opiekanki. To nie to, co barowe jedzenie. Potrawa pachniała domem, prawdziwym domem. Włożyliśmy resztę do lodówki, po czym ja położyłam się na łóżku, Tolliver zaś ruszył na obchód. Ogień trzeszczał miło, a ciepłe koce dopełniały błogostanu. Posłaniami zajęliśmy się na szczęście już wcześniej, choć ze względu na chorą rękę mój wkład pracy był niewielki. Nie znaleźliśmy poduszek, Cottonowie widocznie zabierali je za każdym razem z domu, ale zawsze woziliśmy w samochodzie jaśki. Ułożyłam się więc wygodnie, opatulłam kocami i kołysana uczuciem zadowolenia, jakiego nie doznałam już od kilku dobrych dni, natychmiast

zapadłam w drzemkę.

Obudziłam się tuż przed czwartą. Tolliver leżał na swoim łóżku z nosem w książce. Ogień nadal buzował na kominku, a obok piętrzyło się dodatkowe drewno, które przyniósł, kiedy spałam. Przeszawił też dwa fotele bliżej paleniska.

Z zewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki, takie jak warkot silników, ćwierkanie ptaków czy gwar głosów. W oknie nad głową widziałam nagie, nieruchome gałęzie wielkiego dębu. Przyłożyłam dłoń do szyby. Okazała się ciepła. To niedobrze. Nadchodził mróz.

Odchrząknęłam, zaznaczając, że już się obudziłam.

–Złowiłeś coś?

–Nie wiem, czy wolno łowić zimą. – Ojciec Tollivera nie zaszczepił w synach typowo męskich hobby, jak łowienie ryb czy

myślistwo. Cały swój czas poświęcał twardzielom uchylającym się od paragrafów. Po pracy wolał ćpać z klientami, niż zabierać synów na biwaki. Tolliver i Mark musieli zdobywać inne sprawności, żeby wykazać się w szkole.

–To dobrze, bo nie mam zielonego pojęcia, jak je oprawiać. Tolliver przetoczył się po łóżku i usiadł na skraju mojego.

–Jak ręka?

–Całkiem nieźle. – Poruszyłam nią odrobinę. – A głowa

prawie całkiem w porządku. – Posunęłam się, robiąc mu miejsce.

Położył się obok.

–Sprawdziłem wiadomości na sekretarce w naszym mieszkaniu, jak spałaś.

–Uhm?

–Było kilka. W tym jedno zlecenie we wschodniej Pensylwanii.

–Ile to stąd?

–Nie sprawdziłem jeszcze, ale podejrzewam, że jakieś siedem godzin jazdy.

–Nie najgorzej. Co to za praca?

–Cmentarz. Rodzice chcą się upewnić, czy ich córka nie została zamordowana. Koroner uznał, że to wypadek. Poślizgnęła się na schodach i spadła. Rodzice słyszeli od jej przyjaciół, że chłopak uderzył ją butelką po piwie. Ale ci przyjaciele boją się faceta i nie chcą rozmawiać z policją.

–Idioci – skwitowałam.

Często natykaliśmy się na głupich ludzi, którzy nie wiedzieli,

że skomplikowane intrygi nigdy się nie udają, a najlepszym wyjściem z trudnej sytuacji jest wyjawienie prawdy i że ofiary wypadków najczęściej są ofiarami właśnie wypadków. Jednak

skoro chłopak potrafił zastraszyć grupę młodych ludzi, mogło coś w tym być.

–Może uda nam się skończyć z Doraville, zanim stracimy tamto zlecenie – powiedziałam. – Mówili coś o czasie?

–Chłopak jest na wyjeździe, zaciągnął się do wojska.

–Aha, chcą to sprawdzić, zanim przystąpi do służby. Ale wiedzą, na czym to polega, tak? Że nie powiem im, kto to zrobił, mogę tylko stwierdzić, czy faktycznie została uderzona.

–Rozmawiałem z nimi przez telefon. Jeśli okaże się, że

została uderzona, będą wiedzieli, kto jest sprawcą. I zależy im na

czasie, żeby przesłuchać chłopaka, zanim wyjedzie na dobre.

Powiedziałem, że dam im znać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

Nie znosiłam takiego stanu zawieszenia, kiedy nie mogłam od razu dać klientom jasnej odpowiedzi. Z drugiej strony, z policją należy postępować ugodowo, przynajmniej dopóki ich żądania nie staną się nedorzeczne. Moje słowa nie miałyby wielkiej wagi w sądzie, więc cóż mogłam zrobić? Dlatego zatrzymywanie mnie w mieście tak mnie denerwowało. Nie wierzyli mi, ale nie chcieli puścić.

–Jak nie grypa, to cholera – mruknęłam. Tak mawiała moja

babka. To jedno z niewielu wspomnień, jakie o niej zachowałam.

Widzę ją oczami dziecka, choć tak naprawdę nie była jedną z tych reklamówkowych babć z telewizji. Nie piekła ciast, nie robiła na drutach, a jeśli chodzi o mądrości życiowe, powyższe powiedzenie było najgłębszym, jakim dysponowała. Babka zniknęła z naszego życia natychmiast, gdy wyszedł na jaw nałóg mojej matki.

Oczywiście unikanie córki oznaczało także zerwanie kontaktów z wnuczkami, ale może wcale nie było jej z tym łatwo. – Masz jakieś wieści od swojej babki? – zapytałam. Tolliver nie nadażał za moim tokiem myślenia, ale nie wyglądał na zaskoczonego.

–Tak, dzwoni od czasu do czasu. Staram się rozmawiać z nią przynajmniej raz w miesiącu.

–To matka twojego ojca, tak?

–Tak, rodzice matki od dawna nie żyją. Była ich najmłodszym dzieckiem, więc w chwili jej śmierci mieli już swoje lata. Zmarli jakieś pięć lat później.

–Nie mamy zbyt wielu krewnych – zauważyłam. Rodziny McGrawów i Cottonów wydawały się blisko związane. Parker kochał matkę, mimo że wyszła po raz drugi za mąż. Ona zaś nie odsunęła się od niego mimo odziedziczonej fortuny, a co za tym idzie – nowych możliwości. Twyla wspominała, że dzieci Archiego też nie miały nic przeciwko temu małżeństwu.

–No nie wiem. – Tolliver nie wydawał się zatroskany takim stanem rzeczy. – Jak dla mnie wystarczająco.

Poklepałam go zdrową ręką po plecach.

–Święta racja – przyznałam wesoło, wzbudzając jego śmiech.

–Musimy jechać do miasta trochę wcześniej – powiedział.

–Czemu?

–Rano mieli jakiś problem z systemem w szpitalu i chcieli ponownie sprawdzić rachunek.

–Wypuścili mnie bez zapłacenia całości?

–Nie, zapłaciłem, ale chcą się upewnić, czy nie było

późniejszych pozycji, więc prosili, żebym zajrzał.

–Jasne.

–Wzięłaś leki? Sprawdziliśmy listki, po czym wyłuskałam jedną tabletkę.

Fiolkę z pigułkami przeciwbólowymi wrzuciłam do torebki. Z łazienki skorzystałam samodzielnie, ale Tolliver musiał mi pomóc

z poprawieniem ubrań, a potem pozwoliłam mu wyszczotkować mi włosy. Nie potrafiłam zrobić tego jedną ręką. Udało nam się nawet przykryć trochę opatrunek.

Po schodach zeszałam bardzo ostrożnie, asekurowana przez idącego przede mną brata. Na zewnątrz niespodziewanie owionęło mnie ciepłe powietrze. O tej porze roku zmrok zapadał bardzo wcześnie.

–A z północy nadchodzi zimny front, tak? – zapytałam.

–Uhm, jutro wieczorem. Ale do jutra ma być ciepło. Po drodze musimy posłuchać prognozy.

Tak też zrobiliśmy. Przewidywania synoptyków nie nastrajały optymistycznie. Najpierw temperatura miała się wahać w okolicach plus pięciu stopni, a wieczorem nastąpi zderzenie ciepłego i zimnego powietrza, które z wielkim prawdopodobieństwem zaowocuje burzą śnieżną. Zapowiadało się okropnie. Widziałam coś podobnego tylko raz w życiu, w dzieciństwie, ale nadal pamiętam powalone drzewa, mróz i awarię prądu. Minęło trzydzieści godzin, zanim przywrócili zasilanie do przyczep. Rozważałam, czy zdążymy wyjechać z miasta, zanim rozpęta się piekło.

Hol szpitalny świecił pustkami, a dziewczyna w recepcji pochłonięta była papierkową robotą. Nie wydawała się uszczęśliwiona naszym widokiem, ale okazała uprzejmość. Spojrzała na żółtą karteczkę przyklejoną do mojej karty, podniosła słuchawkę i wystukała numer.

–Pan Simpson? Przyszli. – Po zakończeniu rozmowy zwróciła

się do nas: – Pan Simpson, administrator szpitala, prosił, by

zawiadomić go, kiedy państwo przyjdą. Zejdzie za minutkę.

Usiedliśmy w wyściełanych fotelikach o metalowych nogach

i przejrzelśmy leżące na stoliku czasopisma. Podniszczone egzemplarze magazynów wędkarskich, wnętrzarskich, ogrodniczych czy poradników wychowawczych nie wzbudziły naszego zainteresowania, przymknęłam więc oczy i rozparłam się wygodnie. Napłynęły do mnie obrazy świątecznych choinek. Białych, udekorowanych złotymi wstążkami, zielonych, z welurowymi ptaszkami na gałązkach, drzewek obwieszonych bombkami, szklanymi soplekami i anielskim włosiem. Przeżyłam szok, kiedy otworzywszy oczy, ujrzałam przed sobą długie nogi obleczone ciemnym materiałem garniturowym.

Barney Simpson opadł na krzesło stojące naprzeciwko. Jego włosy znajdowały się w jeszcze większym nieporządku niż podczas odwiedzin w mojej sali. Ciekawe, czy w ogóle próbował je kiedyś zmusić do posłuszeństwa za pomocą jakichś specyfików.

–Muszę się wam do czegoś przyznać – zaczął. – Zaznaczyłem pani kartę, żeby Britta dała mi znać, jak przyjdziecie.

–Dlaczego? – zapytał Tolliver, a ja usiadłam prosto, tłumiąc ziewnięcie.

–Bałem się, że wyjedziecie, jeśli nie ściągnę was tutaj i nie przypomnę o dzisiejszym spotkaniu – przyznał Simpson z rozbijającą szczerością. – Britta poinformowała mnie o awarii komputerów podczas waszego wypisu, więc postanowiłem wykorzystać sytuację.

–Należy pan do kościoła Doaka Garlanda?

–Bywam tam raz na jakiś czas – przyznał się bezwstydnie do czegoś, co większości południowców nie przeszłoby przez gardło. – Nie praktykuję zbyt gorliwie, lubię sobie pospać w niedzielę.

Zapewne oczekiwał reakcji typu: „A kto nie lubi?” lub „My też często lenimy się w niedzielę”, ale nie miał na co liczyć z

mojej strony. W ogóle nie chodziliśmy z Tolliverem do kościoła. Nie do końca wiem, w co wierzy Tolliver. Ja natomiast wierzę w Boga, ale nie w kościół. Kościoły przyprawiają mnie o dreszcze. Przez ostatnie pięć lat byłam w kościele tylko raz, na pogrzebie. Bliskość zmarłego dawała mi się we znaki. Przez całą ceremonię brzęczało mi w głowie. Gdyby dzisiejsze spotkanie było pogrzebem Jeffa, a nie wieczorem modlitwy za dusze wszystkich ofiar, na pewno odmówiłabym uczestnictwa.

–Ma przemawiać Abe Madden – ciągnął Barney. – To będzie

interesujące. Sandra nic nie mówiła, ale i tak wszyscy wiedzieli, że Abe nie miał zamiaru zająć się sprawą zaginięć, wbrew jej usilnym staraniom. Nie jest też tajemnicą, że to przesądziło o wybraniu na kolejną kadencję właśnie Sandry.

Barney Simpson skinął poważnie głową, a w jego okularach odbiły się wiszące na suficie światłówki.

–W takim razie spotkanie będzie bardziej kontrowersyjne niż zwykła modlitwa – powiedział Tolliver. – Nasz rachunek jest gotowy, tak? Naprawiliście system?

–Tak, komputery już działają. Robimy kopie zapasowe dysków, żeby nie stracić danych, jeśli nastąpi odcięcie prądu podczas śnieżycy. Zakładam, że słyszeliście prognozy?

Znaleźliście nocleg?

–Owszem.

–Pewnie w motelu? Mieliście szczęście, że było jeszcze miejsce.

–Nie – zaprzeczył Tolliver. – Wymeldowaliśmy się z pokoju.

Poszedł do okienka, by zakończyć sprawy rachunkowe.

Barney spoglądał na mnie wyczekująco, spodziewając się pewnie, że powiem, gdzie się zatrzymaliśmy. Nie zrobiłam tego. Nie wiem,

skąd wzięła się ta moja niechęć. Mogłam ją usprawiedliwić tylko urazem głowy. Zmusiłam się do kontynuowania konwersacji.

–Przyjdzie pan na spotkanie z żoną? – zapytałam, choć jego życie osobiste zupełnie mnie nie interesowało.

–Rozstaliśmy się kilka lat temu – wyjaśnił z nutką żalu w głosie. – Wraz z córką przeniosła się do Greenville.

–Ale widuje pan córkę?

–Tak, często przyjeżdża do Doraville. Ma tu wielu przyjaciół ze szkoły. Trudno uwierzyć, że już studiuje. A pani ma dzieci?

–Nie. – Pokręciłam głową.

–Dzieci to tyleż samo radości, co i kłopotów – uśmiechnął się Simpson pocieszająco, jakby chciał mnie zapewnić, że nie mam czego żałować, nie posiadając własnych.

Wstałam i podeszłam do Tollivera, który odbierał od Britty rachunek.

–Może mógłbym zaprosić was na kolację? – zaproponował

Simpson, wprawiając nas tym w osłupienie.

Tolliver kątem oka sprawdził moją reakcję na tak niespodziewaną ofertę.

–Bardzo dziękujemy, ale mamy już plany. Miło nam jednak,

że pan o nas pomyślał.

–Tak, tak.

Britta zatrzasnęła okienko. Widziałam jej cień za mleczną

szybą. Wkładała płaszcz.

Szpital kończył pracę, w każdym razie częściowo.

Pożegnaliśmy się z Simpsonem i zaopatrzeni w kolejny plik recept także ruszyliśmy do wyjścia.

–Strasznie samotny facet – podsumowałam.

–Wpadłaś mu w oko – mruknął Tolliver ponuro.

–Bzdura – zaprzeczyłam. – W ogóle nie patrzył na mnie jak na kobietę.

–To czemu tak bardzo chciał się z nami zaprzyjaźnić?

–Jesteśmy dla niego swego rodzaju nowością. Nie spotyka chyba zbyt wielu ludzi spoza miasteczka. Dużo czasu spędza w pracy. Stanowimy dla niego odmianę.

–Jak uważasz – wzruszył ramionami Tolliver. – Gdzie zjemy?

–To Doraville, nie mamy zbyt wielkiego wyboru.

–Na Sonic za zimno. Zostaje McDonald's i Satellite Steaks.

–W takim razie chodźmy na steki.

Satellite Steaks jest sieciową restauracją z niewyszukanymi

daniami, podobną do Golden Corral czy Western Sizzlin'. Tego wieczora, mając w perspektywie nabożeństwo żałobne i paskudną pogodę, chyba wszyscy wpadli na ten sam pomysł co my. W pełnej sali wyraźnie wyróżniały się grupki przyjezdnych, najprawdopodobniej głównie pracowników mediów, tubylców, zapewne rzadko zagląających tu w sezonie turystycznym, oraz kierowców, którzy wstąpili do lokalu przejazdem. Nie zauważyłam żadnego wolnego stolika, za to przy tym zajmowanym przez Xyldę i Manfreda stały dwa puste krzesła. Nie pytając Tollivera, ruszyłam wprost do nich.

–Możemy się przysiąc? – zapytałam.

–Jak najbardziej – zaprosiła nas Xylda. Miała na twarzy

chyba tonę makijażu. Widocznie spotkanie z mediami pod stodołą

zmotywowało ją do jeszcze większych starań

charakteryzatorskich. Na bladej, poznaczonej zmarszczkami

twarzy wyróżniały się mocno umalowane oczy w stylu Kleopatry,

a dodatkowy szokujący akcent stanowił szal udrapowany na

głowie na sposób cygański, spod którego wysmykiwały się

jaskraworude pukle. Całości dopełniał duszący opar ciężkich perfum, który oblepił mnie, gdy usiadłam obok. Tolliverowi zostawiłam miejsce przy Manfredzie, dochodząc do wniosku, że nic mu nie będzie. Tym bardziej że Manfred na pewno pachniał lepiej niż jego babka.

–Jak się czujesz? – zainteresowanie Manfreda było szczere.

–Coraz lepiej. Głowa przestała mnie boleć. Tylko ramię jeszcze trochę dokucza.

–Myślałem, że skoro wymeldowaliście się z motelu, to już dawno was tu nie ma.

–Może uda nam się wyjechać jutro lub pojutrze –

odpowiedział Tolliver. – Czekamy tylko na sygnał od stanowych,

że nie mają do nas żadnych więcej pytań. Potem znikamy. A wy?

–Musimy zostać przynajmniej do jutra – szepnęła Xylida. –

Będzie więcej zwłok. I zbliża się czas lodu.

Teraz zrozumiałam bez trudu.

–Słyszeliśmy prognozy, nadchodzi śnieżycy.

–Mam nadzieję, że uda nam się wyjechać z miasta, zanim zaczną padać – rzekł Manfred cicho. – Babcia nie powinna przebywać dłuższy czas z dala od szpitala.

Zerknęłam na jego posmutniałą minę i naszła mnie ochota, żeby go mocno objąć.

Xylida wyglądała, jakby wsłuchiwała się w jakieś odległe głosy. Naprawdę się o nią martwiłam. Przedtem traktowałam ją w kategoriach niegroźnej oszustki, która, trzeba przyznać, miewa momenty prawdziwych objawień. Zbyt mało jednak i za rzadko, by mogła z tego żyć. Teraz bez przerwy była jakby w półtransie. Spryt i teatralność, dzięki którym zarabiała, choć może nie do końca uczciwie, zbladły i odeszły na dalszy plan.

Co zrobi Manfred po jej śmierci? Jest młody, ma przed sobą sporo możliwości. Może iść do szkoły, zdobyć zawód i znaleźć normalną pracę. Może też przyłączyć się do trupy cyrkowej. Albo przejąć działalność Xylidy i żyć z dnia na dzień, zarabiając na krętaństwach i oszustwach. To nie było ani miejsce, ani czas na wypytywanie go o plany na przyszłość, szczególnie że wielka tama tych planów siedziała aktualnie obok, plamiąc sobie bluzkę sosem sałatkowym.

–Ten chłopak stanie się mordercą – na szczęście Xylida

ściszyła głos. Wiedziałam dobrze, że mówi o Chucku Almandzie.

Bardzo a propos młodych ludzi, którzy mają możliwości wyboru

wielu opcji.

–To nie do końca przesądzone. Nadal ma szanse. Może ojciec wyszuka mu dobrego terapeutę i znajdą sposób, aby wyeliminować te zwyrodnienia. – Nie bardzo w to wierzyłam, ale starałam się przydać swojemu głosowi pewności.

–Nie mogę uwierzyć, że policja go nie zatrzymała – pokręcił głową Manfred.

–Jest nieletni – zauważył Tolliver. – Nie mają też świadków, tylko jego przyznanie

się do winy. Nie sądzę, żeby zakład poprawczy pomógł mu się zmienić na lepsze. Raczej wprost przeciwnie. Niewykluczone, że właśnie tam nauczyły się, jak czerpać przyjemność z krzywdzenia ludzi.

–Myślę, że raczej byłby ofiarą – powiedziałam. – Inni

wyżywaliby się na nim, a po wyjściu brałby odwet, dokładnie

wiedząc, jak to robić.

Zadumaliśmy się nad tym. Potem przyszła kelnerka przyjąć nasze zamówienie, a także zapytać Xyldę oraz Manfreda, czy podać coś jeszcze. Oboje wzięli coś do picia i dopiero po kilku

minutach zamieszania wróciliśmy do rozmowy.

–Ciekawe, czy w każdej społeczności żyje taka czarna owca –

zastanawiał się Tolliver. – Dziecko, które lubi zadawać ból, ma

poczucie władzy, pastwiąc się nad mniejszymi stworzeniami.

–Myślisz, że był ktoś taki w szkole w Texarkanie? –

zdziwiłam się.

–Wiem o tym. Pamiętasz Leona Stipesa?

Leon był Afroamerykaninem i w szóstej klasie mierzył już

metr osiemdziesiąt. Należał do drużyny futbolowej i siał przerażenie wśród zawodników innych zespołów. Podejrzewam, że współgracze też się go bali. Opisałam go pokrótce Xyldzie i Manfredowi.

–I mówisz, że lubił się znęcać?

–O, tak. – Tolliver skrzywił się. – Nawet sobie nie

wyobrażasz. Zaczepiał kogo popadnie i dręczył, zmuszając do

krzyku.

Wzdrygnęłam się z obrzydzeniem. Jedną ręką otworzyłam torebkę i wyciągnęłam z niej witaminy. Popchnęłam po blacie fiolkę w stronę Tollivera, który zdjął zakrętkę z zabezpieczeniem dostępu dzieciom i oddał mi ją z powrotem.

–Ręka nadal boli? – zatroszczył się Manfred.

Wzruszyłam ramionami.

–Środki przeciwbólowe działają nieźle. Właściwie obawiam się, że zasnę na tym nabożeństwie.

–Szybko wydobrzejesz – zawyrokowała Xylda. Ciekawe, czy podstawą tego stwierdzenia była jakaś wizja, czy tylko optymizm.

–A ty, Xyldo, jak się czujesz? – zagadnęłam ją ciekawie. – Słyszałam, że w zeszłym miesiącu leżałaś w szpitalu.

W Internecie istnieje forum dla osób pracujących w branży

paranormalnej. Zaglądałam tam od czasu do czasu.

–Tak, byłam w szpitalu, ale to otoczenie źle wpływa na

mojego ducha. Za dużo tam negatywnej energii, za dużo rozpacz.

Nie zamierzam tam wracać.

Już miałam zaprotestować, ale pochwyciłam ostrzegawcze spojrzenie Manfreda i ugryzłam się w język.

–Nie dziwię ci się – poparł ją Tolliver. – Harper leżała w

szpitalu raptem dwa dni, a już ma masę negatywnej energii.

Gdybym naprawdę miała jej wystarczająco, dałabym radę teraz go kopnąć. Poprzestałam na pokazaniu języka.

Podczas posiłku Tolliver rozmawiał z Manfredem o średnim spalaniu w różnych modelach samochodów, zaś Xylda i ja pograżyłyśmy się we własnych myślach. Kiedy Tolliver wyszedł do toalety, a Manfred płacił rachunek, Xylda przerwała milczenie:

–Niedługo umrę.

Tabletki przeciwbólowe otępiły mnie nieco, więc przyjął

to oświadczenie spokojnie.

–Przykro mi, że tak uważasz – nie umiałam znaleźć bardziej neutralnych słów. – Boisz się?

–Nie – odparła po chwili zastanowienia. – Myślę, że nie. Korzystałam z życia, cieszyłam się nim i starałam się robić coś dobrego. Nigdy nie wzięłam pieniędzy od kogoś, kogo nie było na to stać, kochałam córkę oraz wnuka. Wierzę, że moja dusza wejdzie w inne ciało. To pocieszające, że najistotniejsza część mnie nie umrze.

–Tak, rzeczywiście – powiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak prowadzić swoją część dialogu.

–Otrzymasz odpowiedzi na swoje pytania – rzekła Xylda. – Teraz, u końca podróży, widzę wszystko dużo wyraźniej.

Kolejną wypowiedzią zaskoczyłam siebie samą:

–Czy odnajdę siostrę? Odnajdę Cameron, Xyldo? Ona nie żyje, prawda?

–Tak, odnajdziesz ją.

Spuściłam głowę.

–Nie wiem – dodała po dłuższej chwili, a ja spojrzałam na nią zdumiona, nie rozumiejąc, do czego tym razem się odnosi.

Manfred wracał do stolika, żeby zostawić napiwek. Tolliver czekał jeszcze w kolejce do kasy. Naraz poczułam się jak w jakiejś bańce dziwacznej rzeczywistości. – Są jednak ważniejsze rzeczy, o których musisz teraz pomyśleć.

Nie wiem, jak coś mogło być ważniejsze od znalezienia ciała siostry. Xylda ruszyła ku drzwiom, a ja wyszłam z boksu i zaczęłam walczyć z kurtką. Manfred pomógł mi włożyć prawą rękę w rękaw, a drugą stroną zarzucił mi tylko na ramię. Przy okazji nachylił się i pocałował mnie lekko w szyję. Uczynił to tak swobodnie, że trudno było nawet robić z tego sprawę. W ogóle nie poświęciłabym temu gestowi ani minuty zastanowienia, gdyby nie mina Tollivera, świadcząca niewątpliwie, że zauważył ten niewinny pocałunek. I że zamierzał zrobić z tego bardzo wielką sprawę. Chwyciłam go stanowczo pod ramię i pociągnęłam do wyjścia.

–Prześmiań – powiedziałam. – Nawet nie zwróciłam na to

uwagi. To tylko dzieciak, który martwi się o chorą babkę. – Nie

mam pojęcia, czy całość brzmiała choć trochę sensownie i logicznie, ale tylko te zdania pojawiły się w moim umyśle i natychmiast potem na ustach. – Musimy się pospieszyć na to spotkanie. Nie chcę wchodzić spóźniona.

Jakimś cudem zdołaliśmy wsiąść do odpowiedniego

samochodu. Tolliver przekręcił kluczyk, włączając upragnione ogrzewanie, a potem z nieuzasadnionym rozmachem zapiął mi pas. Pisnęłam trącona przypadkiem w bolące ramię.

–Przepraszam – rzucił, ale sądząc z tonu, nie było mu przykro. – Ten facet mnie drażni. Kręci się koło ciebie. I do tego to całe żelastwo na twarzy. Bóg wie, w co jeszcze powtykał sobie ten złom. Tylko patrzy, jak by cię pomacać.

Zamiast zmilczeć i odczekać, aż burza minie, zaperzyłam się.

–Czy to taka zbrodnia, że komuś się podobam?

–Nie! Chyba że jemu! Wolałby, żeby flirtował ze mną Barney Simpson albo pastor Doak Garland?

–A to czemu?

Tolliver odczekał sekundę z odpowiedzią.

–Bo Manfred ma u ciebie szansę – wyrzucił z siebie. – Z innymi nie ma tego problemu, ciągle jesteśmy w drodze, nigdy później ich już nie spotykasz, ale on prowadzi podobny styl życia.

On też wiecznie jeździ z Xyldą.

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć: „To co, mam być wiecznie sama?”, ale jakaś obca siła zmusiła mnie do milczenia. Weszliśmy na zbyt grząski grunt. Tolliver dotarł za blisko sedna i nie mogłam ryzykować, że posunie się dalej.

–Jest dużo młodszy – wypaliłam, żeby powiedzieć cokolwiek.

–Ale nie za młody – skontrował Tolliver. Nasze role w argumentowaniu za i przeciw Manfredowi nagle się odwróciły. Z wysiłkiem powstrzymałam cisnący mi się na usta uśmiech.

Tabletki przeciwbólowe, które wzięłam w restauracji, działały chyba aż za dobrze. Zrobiło mi się ciepło, ogarnęło mnie rozkoszne uczucie zadowolenia, poczułam życzliwość do całego

świata. Jeśli uzależnię się kiedyś od czegoś, będą to środki przeciwbólowe. Jednakże nie zamierzałam wpadać w nałóg. Po ustaniu dolegliwości tabletki pójdą do kosza. Musiałam uważać po tym, co zafundowała mi matka.

–Najlepiej unikać obrażeń, wtedy żadne pigułki nie będą potrzebne – stwierdziłam.

Tolliver miał niejake problemy z przestawieniem się na moje tory myślenia, ale dał radę.

–Tak, chyba że podobało ci się w szpitalu. Choć z drugiej strony, biorąc leki, nie możesz prowadzić.

–Jasne, tak jakby ci zależało. Poweselał. Od razu zrobiło mi się lepiej.

–Zależy – stwierdził z uśmiechem. Na parkingu kościelnym tłoczyła się już cała masa samochodów. Jeden z miejscowych policjantów kierował nowo przybyłe na bardziej oddalone miejsca postojowe. Tolliver zapytał, czy może wysadzić mnie pod wejściem, a kiedy policjant kiwnął głową, podjechał pod drzwi. Wysiadłam niezgrabnie i schowałam się w westybulu, żeby na niego poczekać. Przypatrując się mijającym mnie ludziom, dostrzegłam Twylę siedzącą przy stoliku za drzwiami sali. Przed nią stało plastikowe pudełko z podłużnym otworem, a na opartej o nie kartce widniał napis „Datki dla rodzin na pochówek dzieci”. Pudełko wypełniały do połowy monety i banknoty. Zauważywszy mnie, Twyla przywołała gestem. Przepchnęłam się między ludźmi i usiadłam na krzeselku obok niej. Objęła mnie na powitanie.

–Jak się masz, moje dziecko?

Na pewno lepiej od niej. Moje rany wkrótce się zagoją, jej nie.

–W porządku. Widzę, że zagonili panią do pracy?

–Tak, uznali, że zbiórka pójdzie lepiej, jeśli poprowadzi ją jeden z krewnych. Sześciu chłopców, a na każdy pogrzeb potrzeba około czterech tysięcy. Musimy więc mieć docelowo jakieś dwadzieścia cztery tysiące. Rozstawiliśmy puszki w różnych miejscach, ale to biedne miasteczko. Będzie dobrze, jeśli uda się zebrać sześć.

–To skąd weźmiecie resztę? Liczysz, że datki będą jednak większe?

–Nie spodziewam się cudu – przyznała Twyla ponuro. – Ale robimy, co w naszej mocy. Może jak biedniejsze rodziny dzięki zbiórce wpłacą zaliczkę i dostaną upust w zakładzie pogrzebowym, to reszcie uda się zmobilizować finansowo i jakoś to będzie.

–Dobry pomysł – pochwaliłam i ośmielona działaniem leków dodałam: – Szkoda, że media się nie dorzucają. W końcu czerpią korzyści materialne z całej tej sprawy, prawda? Powinni coś dać.

Oczy Twyli zabłysły.

–Masz absolutną rację! Że też sama o tym nie pomyślałam. Co tam się dzisiaj wydarzyło u Almandów? Słyszałam mnóstwo dziwacznych plotek. Chłopak wpadł w jakieś tarapaty? Cześć, Saro – powitała wchodzącą kobietę. – Dziękujemy – dodała, kiedy do pudełka wpadło kilka dolarów.

–Nie chcę o tym mówić przy ludziach. – Nikt nie prosił mnie o zachowanie dyskrecji w sprawie makabrycznych znalezisk w stodole Toma Almanda, ale nie zamierzałam trąbić o tym na prawo i lewo. Chuck, tak czy inaczej, spotka się wkrótce z ostracyzmem, nie chciałam przyspieszać całego procesu. Chociaż ludzie na wsi mieli zdecydowanie bardziej przedmiotowy stosunek do zwierząt

niż ci w mieście, wielu mieszkańców Doraville oburzy się na wieść o zadręczanych kotach, psach i wiewiórkach. Szczególnie jeśli któryś z kotów albo pies okaże się domowym pupilem. – Ale nie chciałabyś takiego chłopaka dla swojej córki czy wnuczki.

–Szeryf mówiła, że nie wydadzą ciał wcześniej niż za

tydzień. To straszne. W końcu znaleźliśmy Jeffa, ale nie możemy go pochować.

–Ale na pewno zależy ci na każdym najmniejszym dowodzie, jaki mogą znaleźć i jaki doprowadzi do schwytania zabójcy.

–Nie chcę myśleć, co zrobią z nim podczas sekcji. Nie mogę.

Zabrakło mi pomysłów na odpowiedź, w złotomglistej aurze

tabletkowej lekkości też nie znalazłam inspiracji. Wybrałam najbezpieczniejszą opcję – milczenie. Potoczyłam wzrokiem po wypełnionych ludźmi ławkach. Kościół Mount Ida był większy, niż wydawał się z zewnątrz. Drewniane ławy lśniły od politory, a na posadzce pysznił się nowy chodnik. Z przodu stał szereg tablic z powiększonymi zdjęciami chłopców i masą kwiatów. Miałam ochotę podejść do fotografii. W pewien sposób poznałam każdego z nich. Wydało mi się to jednak niegrzeczne i aroganckie.

Jedną z frontowych ławek zajmowali umundurowani stróże prawa. Dostrzegłam szeryf Rockwell i chyba Roba Tidmarsha, zastępcę, który wpadł na ślad zakopanych zwierząt.

Rodzinka Bernardo zdołała dotrzeć tu przed nami. Dojrzałam rudopomarańczową szopę i platynowe kolce, choć nie wyróżniały się zanadto w morzu farbowanych włosów pań i kilku postawionych na sztorc fryzur. Tolliver wszedł z zaróżowionymi od mrozu policzkami. Wrzucił kilka monet do pudełka i choć był zaskoczony widokiem mnie siedzącej obok Twyli, przywitał się z nią i złożył kondolencje.

–Jesteśmy wdzięczni za udostępnienie domku. Nawet pani

nie wie, jak bardzo potrzebowaliśmy spokojnego miejsca na noc.

Byłam zła, że sama nie pomyślałam o podziękowaniach.

–Przykro mi, że pana siostra została ranna. – Odetchnęłam, że

nie ja jedna zapomniałam o zasadach dobrego wychowania. – Mam

nadzieję, że szybko złapią napastnika. Jestem pewna, że to ten sam

drań, który zabił Jeffa. Ach, jeszcze jedno – zakończyła Twyla,

wtykając mi w dłoń czek. Kiwnęłam głową, wsuwając papier do

kieszeni Tollivera, i ruszyłam za nim poszukać wolnych miejsc.

Zatrzymaliśmy się przy nie całkiem zapełnionej ławie, a kiedy zajmujący ją ludzie spostrzegli mój temblak, posunęli się, robiąc nam miejsce na skraju. Podziękowałam i z zadowoleniem umościłam się na miękkim siedzisku obok Tollivera. Nasza ławka stała na tyle daleko od wejścia, że nie dokuczały nam fale przeciągów towarzyszące otwieraniu drzwi.

Gwar z wolna zamierał, aż w sali zapadła cisza. Ludzie przestali już wchodzić i

wychodzić. Na środek wkroczył pastor Garland. Wyglądał młodo, łagodnie, jednak kiedy czytał przygotowane na nabożeństwo przemówienie, jego głosowi daleko było do łagodności i stonowania. Na początku ogłosił, że wybrał fragment z Księgi Eklezjasty.

–Jest pora na każdą rzecz i jest czas na każdą sprawę pod niebem...*

Wszyscy wokół kiwali głowami. Tolliver i ja nie rozpoznawaliśmy tego ustępu z Pisma Świętego, ale słuchaliśmy z uwagą. Czy pastor mówił, że nadszedł czas na tych chłopców? Nie, raczej akcentował słowa „czas żałoby”. Tak, na pewno.

W tłumaczeniu Czesława Miłosza (przyp. tłum.).

Później przytaczał urywki z Listu do Rzymian, skupiając się na wątkach o zachowaniu prawości w świecie pozbawionym zasad. Były wyjątkowo adekwatne.

Nie pouczał, że tragedie te należy zaakceptować z filozoficzną pokorą; nie nakazywał społeczności Doraville nadstawiania drugiego policzka, bo nie wymierzono policzka żadnej społeczności. Odebrano im dzieci. I nie oddaliby w ofierze innych bez względu na to, jak ogniste kazania wygłaszałyby kaznodzieja.

Nie, pastor Doak Garland był mądrzejszy, niż na to wyglądał. Mówił mieszkańcom miasteczka, że muszą przetrwać złe chwile i ufać, że Bóg pomoże im przez to przejść, że wesprze ich w tej próbie. Nikt nie sprzeciwiłby się takiemu przesłaniu. Nie w takim miejscu, nie w takiej chwili. Nie przed rzędem tych fotografii, z których wзираły oczy patrzące wprost na zgromadzonych. Podczas ceremonii zastępcy wnieśli dwie dodatkowe tablice, puste. Upamiętniały nieznanymi chłopców. Byłam naprawdę poruszona.

–To nasze dzieci – rzekł Doak, wskazując na zdjęcia, a potem wyciągnął rękę ku pustym stojakom. – To także czyjeś dzieci. Zostały zabite i pochowane wraz z naszymi, za nie także musimy się modlić.

Jedno ze zdjęć przedstawiało chłopca wykrzywionego w groźnym grymasie, ujęcie, jakie zawodnicy zwykle robili sobie do albumu drużynowego. Ściągnięte brwi, zaciśnięte szczęki, twarda mina... Widziałam go pod ziemią, pobitego, pociętego, torturowanego ponad ludzką wytrzymałość; odartego z godności, pozbawionego ostatniej drobiny męskości. Naraz przygniótł mnie ciężar tej tragedii i kiedy Doak Garland zagrzmiał znów z

mównicy, po policzkach popłynęły mi łzy. Tolliver wydobyl z kieszeni paczkę chusteczek i otarł mi twarz. Sprawiał wrażenie zaskoczonego moim zachowaniem. Nigdy do tej pory, nawet w najgorszych przypadkach, nie reagowałam płaczem.

Później wszyscy śpiewali psalmy, modlili się głośno, a jedną zemdloną kobietę wyniesiono do zakrystii. Przetrwałam ceremonię, dryfując w oparze środków przeciwbólowych, targana od czasu do czasu nieprzemierzalnymi przyływami emocji, wyciskającymi mi łzy z oczu. Kiedy zakrystian, którego funkcję pełnił Barney Simpson, zaczął chodzić z tacą, mężczyzna siedzący dwie ławki przed nami odwrócił głowę i z zaskoczeniem rozpoznałam w nim Toma Almanda. Przyprowadził też syna. Wydało mi się to bardzo nie na miejscu. Jako terapeuta powinien wiedzieć, że w tej sytuacji lepiej zostać z dzieckiem w domu. Chuck dźwigał teraz olbrzymie brzemię swoich uczynków i miejsce, gdzie spotykali się ludzie w żałobie, przerażeni odkrytą prawdą, nie było dla niego odpowiednie. A może potrzebował sobie uświadomić, że inni mają jeszcze gorsze problemy? Nie wiem, nie jestem psychologiem. Może ojciec rzeczywiście postępował dobrze. Ścisnęłam rękę Tollivera. Zerknął na mnie zaintrygowany. Biedak, dałby pewnie wszystko, żeby być teraz gdzie indziej. Wskazałam mu Toma i Chucka kiwnięciem głowy. Brat potoczył wokół spojrzeniem z obojętną miną, po czym mrugnął, dając mi znać, że ich zauważył. Tom jakby wyczuł na sobie nasz wzrok. Odwrócił się i popatrzył prosto na nas. Spodziewałam się, że jego twarz będzie wyrażała oburzenie, złość czy cierpienie. Co może czuć ojciec takiego dziecka? Nie miałam pojęcia, ale byłam przekonana, że gotują się w nim emocje.

Ale oblicze Toma Almanda nie zdradzało żadnych uczuć. Nie

wiem nawet, czy nas rozpoznał. Dziwne. Dałabym czterdzieści dolarów na tacę, żeby dowiedzieć się, co myśli.

–Hm... – podsumował Tolliver celnie.

Nabożeństwo dobiegło końca i wszyscy rozsiedli się

wygodniej. Kiedy na środek wyszedł korpulentny mężczyzna w źle skrojonym garniturze, przez salę przebiegł szmer.

–Pozwólcie, że przedstawię się tym, którzy mnie nie znają.

Nazywam się Abe Madden – zaczął, wywołując kolejną falę

poruszenia. – Wiem, że niektórzy z was winią mnie za zaniedbanie

śledztw w sprawie zaginięć i jak się okazało, śmierci chłopców.

Może rzeczywiście przez swoje pobożne życzenia nie dostrzegłem

powagi sytuacji. Pragnąłem wierzyć, że ci chłopcy żyją, składając

ich zniknięcia na karb grzechów młodości. Powinienem włożyć

więcej energii w ich poszukiwania, zadawać więcej pytań.

Niektórzy współpracownicy zwracali mi na to uwagę – mówiąc to, patrzył chyba na obecną szeryfa. – Inni wierzyli, że mam rację. Cóż, życie pokazało, że popełniłem ogromny błąd. Teraz proszę was wszystkich o wybaczenie. Moim obowiązkiem jako szeryfa było służyć społeczności. Nie dopełniłem tego obowiązku, zawiodłem was – zakończył i wrócił na swoje miejsce.

W życiu nie słyszałam czegoś podobnego. Nie wyobrażam sobie nawet, ile byłego szeryfa kosztowało to wyznanie. Na Tolliverze nie zrobiło jednak aż takiego wrażenia.

–Wyspowiadał się i poprosił o przebaczenie – szepnął mi do ucha. – Już nie wypada im go obwiniać, odbył pokutę.

Na środek wychodzili teraz kolejno krewni chłopców. Niektórzy mówili krótko, inni dłużej, ale niewiele wychwyciłam w ich głosach zapamiętania i nienawiści. Biorąc pod uwagę naturę zabójstw, spodziewałam się homofobicznych haseł, ale nie padło

ani jedno oskarżenie tego rodzaju. Przedmiotem gniewu był fakt samego gwałtu, nie zaś preferencji seksualnych gwałticiela. Tylko dwie osoby wspomniały o zemście, ale w kategoriach prawa karzącego winnych przestępstwa. Nikt nie uprawiał linczu słownego, nikt nie wygrażał pięściami. Dominowała rozpacz i groza.

Ostatni z mówców powiedział:

–Teraz przynajmniej wiemy, że to koniec. Nie pozwolimy już ginąć naszym synom.

Po tym stwierdzeniu zapanowało poruszenie w ławce, gdzie siedziała Xylida. Manfred trzymał za ramię babkę, która zwracała ku niemu wzburzone, zagniewane oblicze. Jednak trwało to tylko kilka sekund i Xylida uspokoiła się nagle.

Właściwie mogliśmy już wyjść, spotkanie chyba i tak dobiegało końca. Byłam słaba, zmęczona, marzyłam tylko, żeby oprzeć głowę na ramieniu Tollivera i zasnąć. Wiedziałam, że nie wypada tego robić, więc usiadłam prosto, pilnując, żeby powieki mi nie opadały. Wreszcie ceremonia zakończyła się definitywnie, odśpiewaliśmy ostatni hymn i mogliśmy opuścić salę. Jako że siedziałam na skraju, musiałam pierwsza wyjść z ławki. W tym momencie przechodzący środkiem staruszek chwycił

mnie za rękę.

–Szczęść ci Boże, dziecko – powiedział i już bez słowa ruszył do drzwi. Był pierwszym z wielu, którzy do mnie podeszli. Inni obejmowali mnie lekko, ściskali dłoń i klepali po ramieniu.

Każdemu dotykowi towarzyszyły słowa podziękowań lub błogosławieństw i za każdym razem zaskakiwało mnie to tak samo mocno. W życiu nie zdarzyło mi się coś takiego i z pewnością już się nie przydarzy. Stojący przy drzwiach Doak Garland objął mnie delikatnie, pamiętając o złamanej ręce. Wielki Barney Simpson poklepał po plecach.

–Bóg zapłać – usłyszałam od Parkera. Tuląca jedyne go już syna Bethalynn zawtórowała mu łkaniem.

Nikt nie zadał mi żadnego pytania, nikt nie drążył, jakim sposobem odnalazłam chłopców. Najwyraźniej wiara mieszkańców Doraville polegała również na bezwarunkowej akceptacji niezwykłych metod oraz osobliwych narzędzi, jakimi posługiwał się Bóg, wypełniając swą wolę.

Osobliwym narzędziem oczywiście byłam w tym przypadku ja.

ROZDZIAŁ ÓSMY

W drodze do domku nad Pine Landing jechało za nami kilka samochodów. Dalej za jeziorem znajdowała się oczywiście osada, a poza tym były też pojedyncze domy rozrzucone w pobliżu brzegów, dlatego mimo niepokoju skarciłam się w duchu za przewrażliwienie. Kiedy skręciliśmy, reszta samochodów minęła zjazd, kontynuując podróż główną szosą. Tolliver powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy, więc i ja milczałam, bojąc się wyjść na paranoiczkę.

Nie zostawiliśmy zapalonego światła na zewnątrz. Nie wiem nawet, czy nad drzwiami była w ogóle jakaś lampka, próbowałam więc po położeniu gwiazd określić, gdzie się znajdujemy. Wreszcie Tolliver zgasił silnik, a ja wyskoczyłam pospiesznie z samochodu. Chciałam dotrzeć do drzwi, wykorzystując światło reflektorów, które gasło dopiero po kilku sekundach. Zbliżywszy się do chaty, usłyszałam dochodzące z dolnego poziomu hałasy.

–Co, u diabła? – mruknęłam, przystając. Przez podjazd przetuptał niewielki puchaty kształt, który następnie skręcił w zarośla pomiędzy naszym a sąsiednim domem i w końcu zniknął pośród gęstwiny.

–Szop – odetchnął z ulgą Tolliver. W tym momencie reflektory zgasły, a my resztę drogi przebyliśmy w pełnym napięcia milczeniu. Tolliver wydobył klucz i po krótkiej chwili gmerania w zamku udało mu się otworzyć drzwi. Wyciągnęłam rękę, szukając po omacku przełącznika na ścianie. Pstryk! I olśnił nas cud elektryczności. Palenisko wygasło podczas naszej nieobecności i Tolliver z miejsca ruszył do walki o ogień.

Wyraźnie spodobała mu się rola pioniera, pewnie czuł się w niej bardzo „macho”. Nie tylko opiekował się ranną kobietą, czyli mną, ale też musiał zapewnić jej ciepło ognia. Niedługo zacznie pewnie skrobać na ścianach sceny z polowań na bizona. Uśmiechnęłam się do własnych myśli. Moja wesołość zaskoczyła go, kiedy się odwrócił.

–Idziesz spać? – zapytał.

–Na pewno przebiorę się w piżamę, ale chyba jeszcze poczytam. – Było nadal strasznie wcześnie, ale czułam się wykończona.

Otworzył torbę, wyciągając z niej moje flanelowe spodnie i cienki top z długim rękawem. Dostałam ten komplet od niego na gwiazdkę. Zestaw był granatowy, ze srebrnymi księżycami na spodniach i gwiazdkami na bluzie. Nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć po otwarciu pudełka, ale z czasem polubiłam tę piżamę.

–Mam ci pomóc się ubrać? – bardzo się starał ukryć nutkę

onieśmienia w głosie. Nigdy nie robiliśmy sprawy z

przypadkowego pokazania kawałka ciała, kiedy dzieliliśmy pokój

w motelu, ale asysta przy rozbieraniu czy ubieraniu wydawała się

nieco bardziej kłopotliwa.

Szybko przebiegłam myślami proces przebierania.

–Na pewno zdjąć koszulkę. I nie dam rady sama rozpiąć

stanika. – Rano zapięła mi go pielęgniarka.

Wmaszerowałam do bardzo zgrzebnie urządzonej łazienki. Jako że kącik znajdował się najdalej od kominka, było tam znacznie zimniej niż w głównym pomieszczeniu.

Przy złamanej ręce rozebranie się, umycie i założenie spodni okazały się czynnościami niespodziewanie skomplikowanymi. Ze skarpetkami

przegrałam z kretesem. Ochlapałam twarz, wytarłam się jednym z ręczników, które położyliśmy w łazience jeszcze przed wyjściem i uznałam, że to musi wystarczyć na dzisiaj. Stękając i przeklinając, naciągnęłam spodnie, ale skapitulowałam w połowie batalii z koszulką. Z resztą musiałam zdać się na Tollivera. Wycofałam się z łazieneczki zziębnięta i rozczochrana.

Zobaczywszy mnie, Tolliver zaniemówił na moment.

–Masz całe zębra i ramię w sińcach! – stwierdził ostro.

–Co ty powiesz – mruknęłam. – Tak to bywa, jak ktoś cię grzotnie czymś ciężkim, wiesz? Możesz się pospieszyć? Zamarzam. – Ledwie poczułam jego palce, kiedy rozpinał haftki biustonosza. – Dzięki – rzuciłam i umknęłam do łazienki. Wreszcie uporałam się z ubieraniem, zgarnęłam ciśnięte na podłogę rzeczy i wyszłam, kopiąc przed sobą buty. Skarpetki zostawiłam, często marzły mi stopy, a w chacie wcale nie było za ciepło.

Tolliver odrzucił koce i poprawił poduszki. Książka czekała już na stoliku, ten jednak znajdował się, niestety, po złej stronie. Wybierając łóżko, nie wzięłam pod uwagę swoich aktualnych ograniczeń.

Tolliver poczekał, aż wgramolę się na materac, i okrył mnie porządnie. Nawet na tym starym, powybrzuszonym łóżku poczułam się jak w niebie.

–Gotowe. Opatulona i śpiąca – ogłosiłam. – Poczytasz mi na dobranoc?

–Sama sobie poczytaj – prychnął Tolliver z uśmiechem i pochylił się, żeby mnie pocałować. – Jestem z ciebie bardzo dumny, Harper. Zachowywałaś się dzisiaj jak stara wyga.

Nie bardzo wiedziałam, do czego się odnosi, przecież nie zrobiłam dzisiaj nic nadzwyczajnego.

–Dzień jak każdy – wymamrotałam, pozwalając powiekom opaść.

Zaśmiał się, ale jeśli coś powiedział, już tego nie usłyszałam.

Kiedy się obudziłam, było już jasno. Spałam przez całą noc jak zabita, nawet nie wstawałam do łazienki. Tolliver spał smacznie na sąsiednim łóżku. W wielkich oknach nie było zasłon -albo zdejmowano je na zimę, albo w ogóle uznano za zbędne. Leżąc, patrzyłam na rosnące przy domu drzewa. Widok na przeszkloną ścianę zasłaniała mi sylwetka leżącego Tollivera, musiałam więc unieść głowę, żeby popatrzeć na werandę. Werandę czy taras? Niby na drugiej kondygnacji, ale za to całe oszklone. Raczej weranda. Pogoda nie zachęcała do przesiadywania za cienkim szkłem. Niebo co prawda było piękne i czyste, ale wiał dość silny wiatr i ogólnie wydawało się bardzo zimno. Jeśli wierzyć synoptykom, był to najładniejszy moment tego dnia.

Może uda nam się dzisiaj ruszyć w drogę do Pensylwanii. Na pewno nie będzie tam cieplej, raczej wprost przeciwnie, ale uniknęlibyśmy przynajmniej zapowiadanej burzy. Pewnie nie spotkam się już nigdy z Twyla Cotton. Jeśli chodzi o Chucka, niewykluczone, że ujrzę go kiedyś w telewizji, w jakiejś migawce z zatrzymania groźnego przestępcy. Jego ojciec będzie gorzko płakał, zadając sobie pytanie, co zrobił źle. Po naszym wyjeździe Doraville będzie opłakiwało swoją tragedię i zajmowało się goszczeniem mediów. Przedsiębiorcy pogrzebowi zanotują spory wzrost zysków, hotele i restauracje też zarobią swoje. Szeryf Rockwell doczeka się w końcu odjazdu ekip ze stanówki, ci zaś z zadowoleniem wrócą do swoich biur.

Manfred zawiezie babkę do domu w Tennessee. W ciągu

kilku miesięcy Xylida umrze, a jej wnuk rozpocznie karierę samodzielnego jasnowidza naciągacza, wciskając swoje wizje i tym prostym, i tym wykształconym ludziom. Czasem będą to prawdziwe objawienia, innym razem udawane. Pomyślałam o zaskakującej niechęci, jaką mój brat żywił do Manfreda. Uśmiechnęłam się. Faktycznie chłopak mnie intrygował, choć na pewno nie był w moim typie. Ta jego niezachwiana pewność, że zdoła mnie zadowolić, ta adoracja, dawanie do zrozumienia, że budzę w nim pożądanie... Jaka kobieta nie czułaby się tym mile połączona? Coś takiego działa na wyobraźnię. Aczkolwiek po głębszej analizie uznałam, że flirt z Manfredem dostarczał prawdopodobnie więcej zabawy niż prawdziwy romans. Jednakże, choć dzieliła nas niewielka różnica wieku, pod różnymi względami czułam się dużo starsza od niego.

Potrzeba skorzystania z łazienki wygoniła mnie w końcu z łóżka. Westchnęłam zrezygnowana, podejmując się ciężkiego zadania wyplątania z przykryć, i usiadłam. Niskie łóżko nie ułatwiało manewrowania, a starałam się poruszać jak najciszej, żeby nie obudzić Tollivera. Wczoraj się napracowałam, do tego musiałam we wszystkim wyręczać.

Wreszcie udało mi się wstać i przejść na palcach do łazienki. Przy okazji przeczesałam włosy, z dość marnym rezultatem, a także umyłam zęby, co poszło mi nieco sprawniej. Od razu poczułam się lepiej. Wyszłam, a widząc, że Tolliver nadal się nie rusza, kucnęłam przed kominkiem, studiując leżące obok szczapki. Ostrożnie układałam je na żarze, starając się wzorem Tollivera zachować kształt stabilnego, ale przewiewnego kopczyka. Moje wysiłki przyniosły efekt – stosik ogarnęły języki ognia. Ha!

–Dobra robota – pochwalił mnie rozespany Tolliver.

Usiadłam na jednym z masywnych foteli, które przysunął wczoraj do kominka. Słowna poduszka na siedzisku wydzielala woń wilgoci, wyczułam też echa zapachu psa. To jasne, że umeblowanie składało się z przechodzonych, niepotrzebnych już kłopotów. Nie ma potrzeby wykwintnego urządzenia miejsca, gdzie przyjeżdża się odpoczywać, tym bardziej że kontakt z naturą zwykle generuje dużo brudu i bałaganu. Poza tym sezonowe domki narażone są na włamania, a kto chciałby dodatkowo kusić złodziei? Poczułam falę wdzięczności dla Twyli za to, że pozwoliła nam się tu zatrzymać – z dala od zgiełku mediów i w dodatku za darmo. Z drugiej strony musiałam przyznać, że wolałabym mieszkać w motelu, ze względu na dużo bardziej komfortowe warunki.

Ładująca się komórka Tollivera zadzwoniła głośno.

–Cholera – mruknął. Poparłam go w myślach. Nie miałam ochoty rozmawiać teraz z kimkolwiek.

–Halo? – odebrał. – Dobrze, będziemy. – A po chwili: – W porządku. – Niezbyt znacząca odpowiedź, po której zakończył rozmowę. – To ten agent, Klavin. Mamy być w biurze szeryfa za godzinę.

–Nie spotkam się z żadnymi glinami, zanim nie wypiję kawy.

–Nie mów – mruknął Tolliver, zwlekając się z łóżka. – Dobrze spałaś?

–Uhm. Jak zabita. Chyba nawet się nie ruszałam –

powiedziałam, przeciągając się.

–Skoczę pod prysznic. A ty jak zamierzasz się z tym uporać?

–Hm, może obmyję się gąbką. Nie mogę zamoczyć bandaży. – Kolejny problem.

–Dobra, to ja śmigam. – Tolliver był rekordzistą, jeśli chodzi

o szybkie prysznic, nie zdążyłam nawet przygotować sobie ubrania, a on już wyszedł z łazienki, wycierając ręcznikiem włosy. Udało mi się rozebrać i jako tako umyć, ale zakładanie ubrań stanowiło nie lada wyzwanie. Usiłowałam pogodzić skrępowanie z koniecznością, ale nie było to łatwe. Naciąganie bielizny dosłownie dało mi w tyłek, całe wieki zajęło mi umieszczenie piersi w miseczkach, żeby Tolliver mógł zapiąć stanik.

–Rany, dobrze, że nie muszę tego nosić – mruknął. – Czemu nie zapinają się z przodu? To bardziej sensowne.

–Ależ są takie z zapięciem z przodu, tylko ja nie mam żadnego.

–Podasz mi swój rozmiar, kupię ci taki na urodziny.

–Uhm, chciałabym zobaczyć, jak robisz zakupy w Victoria's Secret.

Zachichotał.

Przed spotkaniem zdążyliśmy jeszcze skoczyć do McDonald's na sławetne racuchy. Z zasady nie znoszę McDonald's, ale racuchy mają niezłe, a i kawę znośną. Poza tym wewnątrz było tak ciepło, że aż zaparowały szyby. Salę wypełniał tłumek krzepkich, świeżo ogolonych mężczyzn w ciężkich kurtkach, głównie panterkach, i masywnych buciorach. Część zapewne udawała się do pracy na miejscu zbrodni, reszta do codziennych obowiązków. Mimo obecności śmierci życie w Doraville toczyło się zwykłym torem. Pocieszająca myśl, choć przychodziła mi do głowy już tyle razy wcześniej. Z racji swego zawodu tym bardziej ceniłam nieprzerywalność nurtu „rzeki życia”.

Z żalem opuszczałam domową atmosferę McDonald's – to straszne, jeśli atmosferę takiego miejsca określa się mianem domowej – szczególnie mając w perspektywie przesłuchanie.

Jednak nie chcieliśmy się spóźnić, tym bardziej że liczyliśmy na zgodę na wyjazd zaraz po spotkaniu. Tolliver zostawił rzeczy w chatce, twierdząc, że jeśli pozwolą nam opuścić miasteczko, spakowanie manatków i wrzucenie toreb do bagażnika nie zajmie wiele czasu. Poza tym i tak trzeba jeszcze zrobić porządek, a potem oddać klucze.

Na miejscu natknęliśmy się na chmarę reporterów. Niestety, tym razem musieliśmy zaparkować od frontu. Nie zadbałam, żeby uprzedzić szeryf o przyjeździe, więc nie wysłała miłego zastępcy, który umożliwiłby nam wejście od tyłu. Szeregi władzy

wydawały się nieco przerzedzone, może kryminaliści nadal kopali w stodole? Przepchnęliśmy się przez tłumek, rzucając kilka „bez komentarza”. Dziennikarze nie weszli za nami na posterunek.

Usiedliśmy przy stole w sali konferencyjnej, hołubiąc tekturowe kubeczki z kawą na wynos, którą przezornie kupiliśmy w McDonald's. Pod rozłożoną na blacie mapą widniał podpis „Posesja Dona Daveya”. Wydruk upstrzono hojnie oznacznikami. Z miejsca, gdzie siedzieliśmy, trudno było rozróżnić niewielkie literki. Tolliver zapuścił popisowego żurawia, ale nic nie zobaczył. Prychnęłam i sama odczytałam napisy.

–Pierwszy to „Jeff McGraw”, na reszcie też są imiona chłopców – złapałam się na mówieniu szeptem, jakbym bała się zakłócić spokój zmarłych. – Na tych dwóch, gdzie zakopano nietutejszych, też są podpisy. Pewnie już ich zidentyfikowali. Ten najbardziej na północ to „Chad Turner”, a drugi „James Ray Pettijean”. – Przysunęłam się z krzesłem bliżej brata. – Na pewno już są po autopsji. – Tak naprawdę nie ma znaczenia, co dzieje się z ciałem po oderwaniu się duszy. Ciało to zwykła skorupa. Ale na wspomnienie, ile ich było w tamtym miejscu, przeszedł mnie mróz.

–Nic tam nie było, przy mogiłach? – upewnił się Tolliver oględnie, pamiętając, że ściany mają uszy.

–Nie – odrzekłam równie enigmatycznie. Żadnych dusz ani duchów. A różnica jest ogromna. Od czasu do czasu widywałam dusze pozostające przez jakiś czas przy świeżych ciałach. Ducha spotkałam tylko raz.

Wreszcie pojawili się agenci Klavin i Stuart. Wyglądali na bardzo zmęczonych. Ciekawe, czy było tu więcej agentów SBI, czy pracowali sami. Odsunęli krzesła i klapnęli na nich ciężko. Usiedli dokładnie naprzeciwko nas. Między nami leżała mapa.

–Czy możecie dodać coś jeszcze? Podzielić się jakimiś nowymi informacjami? – Stuart przeszedł od razu do rzeczy. Rozzłościł mnie ten pokaz braku podstawowych zasad kultury, ale usprawiedliwiłam ich, zakładając, że całą noc ślęczeli nad aktami chłopców. Aczkolwiek też nie zamierzałam być uprzedzająco grzeczna.

–Raczej nie sądzę – powiedziałam. – Ja tylko odnajduję ciała, nie jestem żadnym detektywem.

–Nie możemy przecież szukać dalej w ten sposób.

–Ale nie ma ich więcej, w każdym razie na pewno nie pod tamtym domem.

–A skąd pani wie, że nie ma więcej ofiar? Mógł je zakopać gdzie indziej.

–Nie wiem. Ale nie ma tam nic, co wskazywałoby na

przerwę.

Agenci pochylili się, czekając na wyjaśnienia.

–Daty śmierci są równomiernie rozłożone. Zabijał

przynajmniej przez sześć lat, tak? – tłumaczyłam. – Jeff McGraw

nie żyje od trzech miesięcy. Jeśli przyjmiemy, że sprawca nie zaczął już dawniej, istnieje spora szansa, że zakopał wszystkie ofiary razem. Oczywiście mógł mieć podobne miejsce wcześniej i grzebać tam dawne ofiary. Teraz na pewno znajdzie sobie nowe. Ale moim zdaniem w tym konkretnym znajdują się wszystkie ciała z ostatnich kilku lat. – Zakończyłam wypowiedź wzruszeniem ramion.

Klavin i Stuart wymienili spojrzenia.

–A, jeszcze jedno. Chłopcy znaleźni w pobliżu domu

zostali zabici gdzie indziej, ale także w jednym miejscu. Dlatego

przypuszczam, że skoro ma jedno ulubione do zabijania, ma też

jedno do grzebania.

Stuart wydawał się zadowolony.

–Tak, sądzimy, że zabijał w starej szopie na terenie działki.

Dobrze, że nie otworzyłam tych drzwi, kiedy byliśmy przy

ruinach. Nawet nie chciałam sobie wyobrażać, jak szopa wyglądała w środku. Aż nadto wystarczyło mi tego, co widziałam w przeblyskach, kiedy zbliżyłam się do zmarłych.

–Czy... Chcecie, żebym sprawdziła jakąś inną lokalizację? – zapytałam, bojąc się twierdzącej odpowiedzi. Ku mojej uldze Stuart pokręcił głową.

–Nie wiemy, jak pani robi to, co robi. I gdyby nie namacalne dowody, nie uwierzylibyśmy w pani możliwości. Jednakże wykopaliśmy ciała, wiemy, że to pani je znalazła, a szczegółowe śledztwo nie wykazało jakichkolwiek pani związków z tutejszymi mieszkańcami. Musimy więc uznać, że posiada pani pewne niezidentyfikowane umiejętności. Nie znamy ich natury ani zakresu. Czy może nam pani powiedzieć coś jeszcze o tych chłopcach? Cokolwiek?

Ledwie przeszło mu to przez gardło. Już miałam zaprzeczyć, ale powstrzymałam się i zaczęłam wyjaśniać dokładnie „zakres moich umiejętności”.

–Widzę pogrzebane bądź ukryte ciała. Widzę też obrazy momentu śmierci. Zaraz... – Przymknęłam powieki, zaciskając palce zdrowej ręki na podłokietniku i przytulając ramię na temblaku. Do mogił wrzucono także ubrania... – Większość chłopców nosiła krzyżyki, tak? – Klavin drgnął, a Stuart zerknął na mapę, jakby sprawdzał, czy informacja ta nie została zapisana pod nazwiskami ofiar. – Oczywiście to religijna społeczność, może to zbieg okoliczności. – Przywołałam wspomnienia obrazów odebranych nad grobami. Aha! – Złamania. Niektórzy mieli połamane kości.

–Nie tylko po torturach? – zapytał Tolliver.

–Owszem, te świeższe też. Ale przynajmniej czterech złamało sobie coś dużo wcześniej.

–To oznacza zwykle przemoc w rodzinie. Czy wszyscy byli bici? – Agent Stuart nachylił się nad blatem, jakby chciał mi wyrwać odpowiedzi z głowy. – Co łączyło tych chłopców? Dlaczego zostali wytypowani spośród innych?

–Nie wiem. Widzę tylko przebliski, ciało, emocje, sytuację, otoczenie. Raz ujrzałam zwierzaka martwego człowieka, może o nim właśnie myślał, umierając. Nie, nie widuję sprawców.

–Proszę powiedzieć wszystko, co dotyczy chłopców – poprosił Klavin.

Popatrzyłam na agentów podejrzliwie. Oczywiście będą słuchać, jak zawsze, a potem przewrócą oczyma, mówiąc, że nie wierzą mi za grosz. To nie pierwsze moje spotkanie z detektywami. Najpierw jęczą: „Och, proszę, niech nam pani

pomoże, każdy szczegół może być ważny”, a potem: „To wszystko? Same brednie,

niby do czego ma się to nam przydać?”.

–Obiecujemy potraktować to poważnie – rzekł Klavin,
poprawnie odczytując moją minę. – Zdajemy sobie sprawę, że
miewała pani problemy z ludźmi pracującymi dla służb śledczych.

Zaczęłam rozważać jego prośbę. Przypomniałam sobie czek, który Twyla Cotton wczoraj wcisnęła mi do ręki jako zapłatę za odnalezienie jej wnuka. Opiewał na dużo wyższą kwotę, niż ustaliłyśmy. Przed oczyma stanęły mi rodziny chłopców w kościele, ich rozpacz i groza. Rzuciłam to wszystko na szalę naprzeciw rozbawienia dwóch facetów, których nigdy więcej nie zobaczę, i wszelkie wątpliwości rozwiały się jak dym. Wzięłam głęboki oddech, zamknęłam oczy, żeby lepiej się skoncentrować, i sięgnęłam wspomnieniami pod ziemię. Zaczęłam od mogiły usytuowanej najbliżej drogi. Zerknęłam na mapę i wskazałam odpowiednie miejsce.

–Tyler – zaczęłam. – Był torturowany. Obdzierany kawałkami
ze skóry. Został zgwałcony. Na mosznę zakładano mu klamerki.
Chciał umrzeć, modlił się o śmierć, bo wiedział, że nikt nie
przyjdzie mu z pomocą. Został uduszony. W przeszłości miał
złamaną nogę.

Któryś z agentów wciągnął słyszalnie powietrze do płuc, ale nie podniosłam powiek, żeby sprawdzić który. Tolliver wziął mnie za rękę, zacisnęłam mocno palce na jego dłoni. Myśłami przeniosłam się do kolejnego miejsca pochówku.

–Hunter. Biczowany, zgwałcony, znakowany gorącym
żelazem. Do samego końca nie porzucił nadziei, że ktoś go
odnajdzie. Przeżył dwa dni. Hipotermia. – Hunter zmarł podczas
takiej pogody jak teraz, zimnej i mokrej. Pewnie było to jedno z
jesiennych porwań. – Żadnych złamań. Miał... skoliozę. – Widziałam w dole jego
wykrzywiony kręgosłup.

Kontynuowałam litanię tortur i bezpośrednich przyczyn śmierci. Seks i ból. Młodzi mężczyźni wykorzystani i wyrzuceni jak śmieci. Dwaj nietutejsi nie mieli złamań ani problemów z kośćcem, ale ci, którzy tu mieszkali, owszem – wszyscy oprócz McGrawa i Robertsona. Czyli pół na pół. Złamania okazały się ślepym zaułkiem.

Umierali różnie, w większości dziwnie biernie, uduszeni lub wyziębieni, podobnie jak Hunter czy Tyler.

–Biernie? – oburzył się Klavin. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos. Pewnie złapał katar, pracując na miejscu zbrodni. – Porwani, torturowani, gwałceni. Jak dla mnie to cholernie aktywna śmierć.

–Nie o to mi chodziło. Pozostawiono ich na śmierć. Nie zostali otruci, zaszlachtowani czy zastrzeleni, nie zrobiono im czegoś, co spowodowałoby natychmiastową śmierć. Huntera zabójca po prostu porzucił – i chłopiec umarł. Może pogoda pokrzyżowała sprawcy plany, bo nie mógł tam wrócić, albo po prostu się znudził. A uduszenie, cóż, można zmienić zdanie w ostatniej sekundzie.

–Rozumiem – rzekł Stuart. – Jakby zadawanie śmierci następowało po namyśle albo było eksperymentem.

–Jakby przyjemność czerpał nie z zabijania, ale z tego, co robił przed nim. Chodziło mu o ból. A kiedy byli już tak znękani, że nie reagowali na tortury, tracił zainteresowanie. – Jednak nie do końca. Eksperyment, jak powiedział Stuart, bardziej pasował do tego, co starałam się wyrazić.

Tolliver był blady, jakby szarpały nim mdłości.

–Tamta jasnowidzka mówiła co innego – stwierdził Klavin

zaczepnie. – Twierdziła, że zabójca siedział i czekał na moment śmierci, czerpiąc z tego ekstatyczną przyjemność.

–W takim razie ma rację – wycofałam się natychmiast. –

Xylida ma zdolności widzenia, ja nie. Chyba że... – urwałam.

Agenci przypatrywali mi się z dobrze znajomym wyrazem na twarzach. Mówił on jasno i dobitnie, jakby wypowiadali słowa na głos: „Patrz na nią. Teraz zmieni wersję i będzie się ją starała dopasować do historyjki, jaką nam sprzedała tamta wariatka”.

–Czy rozważali panowie – zaczęłam powoli, bardzo opornie –

że sprawca mógł mieć współnika?

Obaj wybałuszyli na mnie oczy. Nie potrafię czytać żywych tak dobrze jak umarłych. Do tej pory radziłam sobie z agentami zupełnie nieźle, ale teraz naprawdę nie miałam pojęcia, co odzwierciedlają ich miny.

–To wszystko, co mogę powiedzieć – oświadczyłam, wstając. Tolliver również

podniósł się pospiesznie. – Czy możemy wyjechać z miasta? – zapytałam. – Natychmiast?

–Tak, proszę tylko zostawić informację, jak w razie czego skontaktować się z panią i bratem – powiedział Stuart tonem, który wyraźnie sugerował, że nie marzy o niczym innym poza ujrzeniem naszych pleców.

–Nie jestem jej bratem – warknął Tolliver wściekły.

Zabrzmiało to tak, jakby wyklócał się z nimi na ten temat co najmniej od godziny.

–W porządku – ustąpił Stuart zaskoczony. – To bez znaczenia.

–Wzruszył ramionami. – Możecie jechać.

Sama byłam tak zdumiona wybuchem Tollivera, że mało nie zapomniałam zabrać torebki. Tolliver ruszył z kopyta, zostawiając mnie z tyłu. Gnał tak przez cały posterunek, a ja dreptałam za nim,

usiłując nadążyć. Dodatkowo spowolniły mnie ciężkie drzwi, z którymi chwilę niezbornie walczyłam. Dogoniłam go dopiero przy samochodzie.

Opierał dłonie na dachu, wbijając wzrok w szary lakier. Grupa reporterów coś tam wykrzykiwała w naszym kierunku, ale zignorowaliśmy ich kompletnie. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Stałam w milczeniu, czekając, aż się odezwie. Wsiadłabym do samochodu, ale Tolliver trzymał kluczyki w ręce. Mżawka zgęstniała, przechodząc prawie w deszcz. Mokłam i marzłam.

W końcu Tolliver wyprostował się i bez słowa piknął zamkiem. Zstąpiłam z krawężnika, otworzyłam sobie drzwiczki, wsiadłam i zatrzasnęłam je za sobą. Dzięki Bogu, lewą rękę miałam zdrową. Wciąż milcząc, Tolliver nachylił się, aby zapiąć mi pas.

–Gdzie teraz? – rzucił.

–Do lekarza.

–Boli cię?

–Tak. Wciągnął głęboko powietrze. Na moment wstrzymał.

Wypuścił.

–Przepraszam – powiedział, nie precyzując, za co.

–Nie ma sprawy – odrzekłam, nie bardzo wiedząc, dokąd to

wszystko zmierza. Miałam kilka pomysłów. Niektóre były bardziej przerażające niż inne.

Tolliver ruszył bez wahania. Już wcześniej, podczas którejś podróży z lub do szpitala, zlokalizował położenie gabinetu. Budynek z czerwonej cegły był niewielki, ale na parkingu stało przynajmniej sześć samochodów. Przygotowałam się na długie

oczekiwanie w kolejce. Mężczyzna, który „nie był moim bratem”, podszedł od razu do recepcji. Podał siedzącej za szybką rejestratorce moje nazwisko, prosząc o wprowadzenie mnie do gabinetu zabiegowego.

–Trzeba troszkę zaczekać, złotko, ale to nie potrwa długo -przekonywała rejestratorka, poprawiając okulary. Następnie pomacała delikatnie hełm lakierowanych włosów, sprawdzając zapewne, czy fryzura się trzyma. Oho, Tolliver czynił swoje czary. Wrócił do mnie, przynosząc formularze do wypełnienia.

–Będziemy mieli na to sporo czasu – powiedział, siadając obok na niebieskim plastikowym foteliku.

W poczekalni oprócz nas siedziała młoda matka z niemowlęciem, które Bogu dzięki spało, starszy mężczyzna z balkonikiem i nerwowy nastolatek z plemienia tupaczy podeszwowych.

Do drzwi podeszła pielęgniarka w zielonkawym fartuchu.

–Sallie i Laperla! – wywołała.

Młoda matka, nieomal nastolatka, wstała, tuląc do siebie niemowlę.

–Ciekawe, czy zdaje sobie sprawę, że La Perla to marka bielizny – mruknęłam. Tolliver ledwie się uśmiechnął.

Chłopak przesiadał się z krzesła na krzesło, aż w końcu znalazł się dość blisko nas.

–To ty znalazłaś ciała – zagadnął. Popatrzyliśmy na niego.

Przytaknęłam skinieniem głowy.

Teraz, kiedy już przedstawił mnie sobie, gorączkowo myślał, co jeszcze powiedzieć.

–Znałem ich wszystkich – wydukał wreszcie. – Byli raczej

spokojni. No, może Tyler czasem wpadał w jakieś drobne kłopoty.

A Chester rozwalił auto ojca. Ale chodziliśmy razem na oazy do Mount Ida.

–Wszyscy?

–Prócz Dylana. Katolicy mają swoje spotkania. Ale inne

kościół mają wspólne, w Mount Ida.

Normalnie taka rozmowa znużyłaby mnie, ale nie dzisiaj.

–Czytałeś artykuły w dzisiejszych gazetach? – No.

–Spotkałeś kiedyś tych chłopców spoza miasta?

–Nie, nigdy – odparł zaskoczony. – Nie widziałem ich tu. Może to jacyś autostopowicze? Przyjechali z daleka. – Nie czytałam całości. – Z bardzo, bardzo daleka. – Dla niego mogło to być Kentucky albo Ohio. Ale chciał pewnie powiedzieć, że pochodzili spoza Północnej Karoliny.

Młoda matka wyszła z gabinetu; dziecko na jej rękach darło się wniebogłosy. Przystanęła na moment przy oknie, po czym ruszyła do drzwi. Deszcz lał już pełną siłą. Będzie musiała przebiec do samochodu. Pielęgniarka wezwała mężczyznę z balkonikiem. Wstał z trudem i opierając się na podporze, powłókł do pokoju lekarza. Na przednie nóżki balkoniku założono rozcięte piłeczki tenisowe, co przydawało ustrojstwu zawadiackiego wyglądu. Ledwie zniknął za drzwiami, pielęgniarka wywołała nastolatka.

–Rory!

Chłopak skoczył na równe nogi i pobiegł za nią. Zostaliśmy sami. Myślałam, że teraz Tolliver się do mnie

odezwie, ale odchylił się na krześle, przymykając powieki. Celowo unikał rozmowy, a ja nie wiedziałam, dlaczego. Coś go gnębiło, ale zamknął się w sobie. Gdyby się boczył, ja mogłabym robić to samo. Jeśli jakoś go zraniłam albo dręczył go osobisty problem, o

którym nie wiedziałam, chciałam mu pomóc. Ale skoro upierał się na humory, to niech się kisi w tym sosie.

Też oparłam głowę o ścianę, zamykając oczy. Musieliśmy wyglądać jak para koncertowych idiotów.

Po jakichś dziesięciu minutach z gabinetu wykuśtykał mężczyzna z balkonikiem, a zaraz za nim nastolatek, który wyminął go, żeby otworzyć drzwi.

–Zastrzyk odczulający – poinformował nas wesoło, czekając, aż mężczyzna przekroczy próg. Nie miałam pojęcia, czy odnosił się do swojej wizyty, czy też towarzysza, ale kiwnęłam głową.

W drzwiach pojawiła się pielęgniarka – ładna, zadbana kobieta po czterdziestce, o ciemnych włosach i niebieskich oczach. Wyglądała tak radośnie i zdrowo, że na jej widok poczułam się od razu lepiej.

–Panna Connelly – wyczytała, zerkając na nas z zaciekawieniem.

Tolliver zerwał się z krzesła i wyciągnął rękę, żeby mi pomóc. Zachowywał się strasznie dziwnie, ale skorzystałam. Podciągnął mnie, stawiając na nogi. Pielęgniarka wskazała nam drogę do pokoiku przedzabiegowego. Zważyła mnie, zmierzyła, sprawdziła ciśnienie. Ciśnienie było w porządku. Potem zaczęła robić wywiad. Zadawała te same pytania, na które odpowiadałam w formularzu, a do tego wszystkie te informacje były zawarte w karcie szpitalnej.

–Przyszła pani na kontrolę do doktora Thomasona, tak? – w jej tonie wychwyciłam nutkę powątpiewania.

–Tak, nie sądziłam, że ból będzie tak silny. Może to dlatego, że jestem trochę przygnębiona...

–Och, to zrozumiałe, przy pani pracy.

–Tutaj, w gabinecie, wszyscy jesteście zapewne poruszeni?

–Bo większość chłopców była pacjentami doktora

Thomasona? Tak, to smutne. Taka tragedia. Człowiek zwykle nie wierzy, że coś takiego może przydarzyć się komuś znajomemu.

Widywaliście tu tych chłopców, choć część chodziła do doktora Whitelawa.

–Babcia Jeffa chyba wspominała, że był tu nie tak dawno? – skłamałam.

–Och, musiała pani źle zrozumieć. Jeff był pacjentem doktora Whitelawa.

–Tak, pewnie się przesłyszałam.

–Proszę poczekać tutaj, powiem doktorowi, że jest pani gotowa. – Wyszła, sunąc na miękkich podeszwach pielęgniarskich bucików, i zanim się obejrzałam, do pokoju wkroczył doktor Thomason.

–Witam, młoda damo. Mercy mówiła, że nie czuje się pani najlepiej. Chyba troszkę się pani przeliczyła. Kiedy wyszła pani ze szpitala? Wczoraj, tak? – Pokręcił głową, jakby orientowanie się w upływie czasu było niewiarygodnie trudnym zadaniem. – No dobrze, zobaczmy. Żadnej gorączki, ciśnienie w normie – mrucał pod nosem, przebiegając wzrokiem zapiski pielęgniarki. Tollivera ignorował, jakbyśmy byli w gabinecie sami. Doktor Thomason oglądał, opukiwał, osłuchiwał i omacywał. Wyrzucał z siebie pytanie po pytaniu, nie dając sobie nawet czasu na dosłuchanie odpowiedzi... Zupełnie jakby nie wierzył, że powiem mu prawdę, lub jakby zupełnie tą prawdą nie był zainteresowany.

Wreszcie stanął w nogach kozetki, na której leżałam, i spojrzał na mnie z góry.

–Nic takiego pani nie dolega, biorąc pod uwagę okoliczności.

–Uśmiechnął się. – Radzi sobie pani zaskakująco dobrze jak na osobę, na którą niedawno napadnięto. Żadnych powodów do niepokoju. Zdrowieje pani tak szybko, jak się da. Ma pani jeszcze tabletki przeciwbólowe?

–Mam, sporo.

–Dobrze. Zacząłbym się martwić, gdyby już się skończyły. Wszystko jest w porządku, może pani iść. Po prostu przez jakiś czas nie będzie się pani czuła fantastycznie.

–Świetnie. W takim razie dziękuję, doktorze.

–Nie ma za co. Powodzenia. A, jest pani w wystarczająco dobrej kondycji, żeby już podróżować. – I wyszedł, powiewając białymi połami fartucha. Wyraźnie cieszył się, że wyjadę już z miasteczka. Tolliver pomógł mi wstać z kozetki. Zapłaciliśmy w rejestracji i wyszliśmy na parking. Cały czas w milczeniu.

Po drodze zdążyłam zauważyć stojącą w recepcji komodę na dokumenty. Gdybym była dzielnym detektywem, wyczekałabym chwili, kiedy w pobliżu nie będzie pielęgniarki ani recepcjonistki, i przejrzałabym karty zabitych chłopców. Ale nie byłam detektywem, a poza tym nie wyobrażam sobie, co takiego mogłoby odwołać jednocześnie pielęgniarkę, recepcjonistkę i lekarza ze stanowisk na wystarczająco długo, bym mogła pootwierać szuflady, znaleźć odpowiednie karty i jeszcze je

przeczytać. W filmach kryminalnych kobiety nie mają z tym zwykle problemu. Wszystko zależy od scenarzystów. W prawdziwym życiu, żeby przeczytać cudze akta medyczne, trzeba się do nich włamać w nocy, a ja nie zamierzałam tego robić. Oczywiście chciałam wiedzieć, kto jest sprawcą tych morderstw, ale nie na tyle, aby ryzykować aresztowanie.

Poza tym właściwie sama nie wiedziałam, czemu snuję te

rozważania. Ludzie pracujący w policji byli w tym kierunku szkoleni i całkiem skuteczni. Mieli odpowiednie zaplecze, laboratoria i specjalistów na wyciągnięcie ręki, czy też na telefon. Raczej nie wątpiałam, że rozwiążą tę sprawę. Morderstwa ustaną, a winni po długim i głośnym procesie pójdą do więzienia.

–Coś mi w tej sprawie nie daje spokoju – musiałam przerwać to milczenie, inaczej bym wybuchła. – Coś mi tu nie pasuje.

–Zapewne.

–To znaczy?

–Nic takiego, po prostu mam przeczucie, że ktoś znajduje się w niebezpieczeństwie.

–No nie wiem. Miałam na myśli... Dokąd jedziesz?

–Do chaty.

–Wyjeżdżamy?

–Doktor mówił, że już możesz podróżować.

Włączyłam radio. Po dość ciepłym poranku nadeszło chłodne

południe. Temperatura gwałtownie spadała, dokładnie tak, jak zapowiadali.

–Co powiesz nam na temat pogody, Ray? – odezwał się kobiecy głos na jakiejś lokalnej stacji.

–Powiem jedno, Candy... Nie wychodźcie z domów! Zbliża się potężna burza śnieżna i lepiej nie stawać jej na drodze. Nawet nie myślcie o wyjazdach gdziekolwiek. Zaczekajcie do rana i dowiedzcie się, jak wygląda sytuacja na drogach.

–A więc, Ray, twoim zdaniem, powinniśmy się zaopatrzyć w dużo drewna i wypożyczyć kilka starych filmów?

–Tak, filmy to niezły pomysł, oczywiście do czasu, aż siądzie prąd. Lepiej mieć pod ręką także gry planszowe, latarki i zapasy wody.

Spikerzy rozmawiali tak jeszcze kilka minut, udzielając kolejnych rad, jak przygotować się do śnieżycy.

Bez zbędnych słów zatrzymaliśmy się przy Wal-Marcie.

–Zostań w samochodzie – rzucił Tolliver ostro. – Tylko cię poobijają.

Nie protestowałam, widząc wypływającą drzwiami rzekę ludzi pchających wózki wypełnione artykułami pierwszej potrzeby. Sięgnęłam na tylne siedzenie, gdzie zimą woziliśmy ciepły koc, i owinęłam się nim dokładnie. Pozostało mi tylko czekać na powrót Tollivera. Choć robił zakupy tylko dla dwojga i właściwie niewielkie, bo nie zamierzaliśmy pozostawać tu dłużej, ujrzałam go w drzwiach sklepu dopiero po trzech kwadransach.

Po dotarciu nad jezioro zaparkowaliśmy tuż przy schodach, mniej więcej w połowie stromego podjazdu. Doszłam do wniosku, że mogę pomóc, biorąc po jednej rzeczy z bagażnika i wynosząc ją na środkowy spocznik. Potem wystarczyło, żeby Tolliver zabierał je stamtąd, schodząc tylko kilka stopni. Tym samym oszczędziłam mu biegania w górę i w dół, a przy okazji nie czułam się taka zbędna. Aczkolwiek po wyładowaniu wszystkiego stałam na miękkich nogach.

Chciałam jednak zrobić jeszcze jedno. W ramach przedsięwzięcia środków ostrożności wycofałam samochód z podjazdu, parkując na płaskim terenie na górze. Manewrowanie jedną ręką nie było proste, ale konieczne. Znacznie trudniej byłoby później wyjechać po zaśnieżonym, stromym spadku. Zamknęłam auto i zachowując szczególną ostrożność, powędrowałam pod dom, a następnie po schodach na podest wejściowy. W powietrzu czuło się już zapach śniegu.

Niedługo później zajrzał do nas Ted Hamilton, upewniając

się, czy słyszeliśmy prognozę pogody. Tym razem przyszła z nim żona, Nita – kobieta podobnie jak mąż niska, szczupła i żwawa. Oboje wydawali się niezwykle podekscytowani perspektywą nadciągającej śnieżycy.

Tolliver przyniósł z dołu więcej drewna. Zauważyłam głośno, że będziemy musieli zostawić Twyli jakąś kwotę za opał. Sąsiedzi pokiwali głową i rozsiedli się, gotowi na pogaduszki. Rozłożyliśmy dwa pozostałe krzesła, które stały pod ścianą. Opięta na drewnie gruba tkanina wydzielala specyficzny zapaszek stęchlizny, ale przynajmniej było na czym usiąść. Mogłam poczęstować gości jedynie wodą mineralną oraz herbatnikami czekoladowymi. Przy okazji podziękowałam Nicie za przepyszną zapiekankę, której resztę planowaliśmy zjeść na kolację.

–Nie kłopotcie się, naprawdę nie trzeba – Nita odmówiła poczęstunku za oboje, po czym zerknęła na męża i kontynuowała: – Od jakiegoś czasu martwi nas ta sosna, która rośnie za chatą.

–Tak? Dlaczego? – zapytałam.

–Sosny płytko się korzenia, a ta zwiesza się nad domem -wyjaśnił Ted. – Nie jest to najszcześniejsze miejsce na takie drzewo. Wspominałem o tym Parkerowi zeszłego lata, ale tylko się roześmiał. Mam nadzieję, że kiedyś nie pożałuje, że mnie nie słuchał.

Ach tak, więc z tym typem sąsiadów mieliśmy do czynienia.

–Mieszkamy tu okrągły rok, nie tak jak inni, którzy wpadają nad jezioro tylko podczas ładnej pogody, jak wszystko jest w porządku – podjęła Nita. Tak jakby oni byli skazani na pozostawanie tutaj w czasie, gdy działo się źle. Prawdziwi przyjaciele.

–No, mam nadzieję, że sosna zniesie jakoś tę zimę – powiedział Tolliver.

–Dzięki za ostrzeżenie – rzekłam, może odrobinę zbyt sucho, bo dostrzegłam, jak twarz Tollivera na sekundę stężała.

–Tak, też mam nadzieję, że się nie zwali – przytaknął Ted. – Za nic w świecie nie chciałbym, żeby wam się coś stało. Tym bardziej że jesteście tu gośćmi.

–Cieszę się, że jesteście niedaleko – pospieszyłam z zapewnieniem, żeby ułagodzić nastroszonego Tollivera. – Chyba bałabym się mieszkać tutaj bez życzliwej duszy w pobliżu.

Ted i Nita rozpromienili się natychmiast.

–Nie wahajcie się prosić o pomoc w razie czego. Mieszkamy drzwi w drzwi i mamy wszystko, co potrzeba na wszelkie wypadki.

–To świetnie, naprawdę. Bardzo dziękujemy.

Po tym nasi „sąsiedzi” nareszcie wstali. Przy wtórce

wzajemnych zapewnień o pomocy i wyrazów radości z tak bliskiej obecności innych ludzi, odprowadziliśmy ich do drzwi. Jeszcze żegnaliśmy się stokrotnie, kiedy schodzili na dół, aż w końcu ruszyli do swojego domu.

Po wyjściu gości włączyliśmy radio, które zwykle woziliśmy w bagażniku. W wiadomościach mówili to samo co wcześniej. W kronice kryminalnej podobnie. Żywiłam chyba nadzieję, że przez ten czas kogoś już aresztowali, jakiegoś podejrzanego. Albo że ktoś sam się przyznał, nie mogąc znieść ogromnego poczucia winy. Podzieliłam się tymi przemyśleniami z Tolliverem.

–Ktoś, kto zrobił coś takiego dzieciom, i to dzieciom, które znał, nie zgłosi się sam na policję i na pewno się nie przyzna, chyba że dla rozgłosu. Raczej jest wściekły, że wszystko wyszło na jaw i odebrano mu możliwość ruchu. Zamiast karmić się nowymi zbrodniami, musi poprzestać na wspomnianiu starych. I pewnie wini o to ciebie.

Ach, więc to dręczyło Tollivera.

–Nie sędzę – zaprotestowałam bardzo spokojnie. – Myślę, że początkowo wpadł w szal i dlatego przyszedł za mną do motelu.

Ale teraz ochłonął i raczej boi się o własną skórę. Nie zrobi nic, co mogłoby zwrócić na niego uwagę policji. Przyczai się.

Muszę przyznać, że Tolliver naprawdę rozważył moje słowa.

–Mam nadzieję – skwitował, nie do końca przekonany.

Podszedł do okna i wyjrzał w mrok. – Słyszysz?

Stanęłam przy nim. Drobinki śniegu szeleściły na szybie. W snopie światła padającego z okna oraz blasku reflektora zapalonego w domu obok, na szczęście skierowanego w dół, mknęły ku ziemi migotliwe iskierki zamarzniętych kropel. Wyglądało to ślicznie. Nigdy w życiu nie mieszkałam na takim odludziu.

Świadomość odosobnienia nie opuściła mnie podczas przygotowywania się do snu. Czułam zmęczenie, ale nie aż takie, jakiego się spodziewałam po pełnym wrażeń dniu. Głowa już mnie prawie nie bolała, ramię też nie dokuczało tak bardzo. Udało mi się przebrać prawie samodzielnie, choć haftki biustonosza musiał rozpiąć Tolliver.

Jakiś czas czytaliśmy w łóżkach. Tolliver stwierdził, że trzeba wykorzystać prąd, póki jest. On zabrał się do jakiegoś starego Harlana Cobena, ja zagłębiłam się w „Darze strachu” Gavina de Beckera. W końcu zrobiłam się zbyt senna. Powieki mi opadały, rozgrzane łóżko rozleniwiło. Odłożyłam książkę, otulając się szczelnie kołdrą. Słyszałam jeszcze, jak Tolliver gasi lampkę nocną. Jedyne światło, jakie do nas docierało, pochodziło z

reflektora Hamiltonów. Zeszłej nocy byłam zbyt zmęczona, żeby go zauważyć, zresztą w ogóle nie zwracałam na to uwagi, aż do chwili, kiedy przebudziłam się w nocy w egipskich ciemnościach. Wiatr wył na zewnątrz niczym stado kojotów, niosąc ze sobą również inne, dziwne dźwięki.

–Co to? – usłyszałam własny przestraszony głos.

–Zmarznięte gałęzie trą o siebie – odpowiedział Tolliver. – Obudziłem się kilka minut temu i nasłuchiwałem. Według mnie to właśnie to.

Matka Natura zawsze budziła we mnie lęk.

–Aha – mruknęłam, ale nie zabrzmiało to spokojniej.

–Chodź do mnie, moje łóżko jest bliżej ognia – zaproponował Tolliver. – Weź ze sobą koce.

Nie sądziłam, że potrafię tak szybko wyskoczyć z łóżka. Nagie stopy zadudniły o podłogę, kiedy pędziłam z kocami do Tollivera. Rzuciłam przykrycia, wślizgnęłam się obok niego i niecierpliwie czekałam, aż nas opatuli. Ze strachu i zimna dzwoniły mi zęby.

–No już, już – uspokajał mnie, przyciągając bliżej. – Przecież odkryłaś się dosłownie na kilka sekund.

–Wiem – zaszczekałam. – Jestem tchórzem. Głupim tchórzem. – Przyłgnęłam do niego w poszukiwaniu ciepła i bezpieczeństwa.

–Jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam – pocieszał mnie, a kiedy wtuliłam głowę w jego pierś, dodał: – Słuchasz, co mówię?

–Tak, tak – odparłam, odrywając od niego policzek.

–Nie jestem twoim bratem – stwierdził nieoczekiwanie, zupełnie innym tonem.

Na chwilę przestałam słyszeć wycie wiatru i trzeszczenie drzew.

–Wiem.

Wtedy mnie pocałował. Tak długo potajemnie go kochałam. Choć to mogło wszystko

zmienić, nawet na pewno zmieni, nie oparłam się i nie pozostałam bierna. To był długi, intensywny pocałunek. Tylekroć widywałam go z innymi kobietami, a teraz w końcu był ze mną. Zaczął coś mówić, ale mu przerwałam:

–Nie, proszę.

I tym razem ja przejęłam inicjatywę. Chyba wystarczyła mu

taka odpowiedź na pytanie, które chciał zadać.

–Tak – wyszemrałam, czując jego usta na szyi. Wsunęłam dłoń pod jego koszulkę, gładząc plecy, wodząc palcami po żebrach, dotykając prawie płaskich sutków. Kiedy potarłam policzkiem o miękkie włosy na klatce piersiowej, wstrzymał oddech. Jego ręce też nie pozostawały bezczynne. Gdy dotknęły moich piersi, z gardła wydobył mu się zduszony jęk. Przeppełniło mnie takie szczęście, że ledwie powstrzymałam łzy.

–Trzeba się pozbyć bluzy – powiedział i natychmiast zabrał się do jej ściągania. – Ramię?

–Spokojnie – szepnęłam. – Tylko się na nim nie kładź, będzie dobrze.

Czułam się tak, że gdybym teraz znów dostała łopatą w głowę, nawet bym tego nie zauważyła. Moje ciało i serce po raz pierwszy osiągnęły jedność. Dłonie Tollivera pewnie odnajdywały właściwą drogę, a kiedy dotarły do celu, podejmowały odpowiednie działania. Znaliśmy się tak dobrze w każdej innej sferze, że z łatwością odgadywaliśmy swoje pragnienia na tym nowym terenie. Sam widok ciał nie był nam obcy, ale ich faktura, rzeźba pozostawały dotąd tajemnicą. Teraz niespiesznie ją

odkrywaliśmy. Jego penis był długi, ale przeciętnej grubości, nieco wygięty do góry, obrzezany. Tolliver reagował bardzo mocno na pieszczoty, miał bardzo wrażliwą mosznę. Z rozkoszą dotykałam wszystkich miejsc, które do tej pory były dla mnie niedostępne, on znajdował równie wielką przyjemność w poznawaniu sekretów mojej anatomii. Miał bardzo zręczne palce, którymi z upojeniem manewrował pomiędzy moimi udami.

–Chciałbym cię widzieć – wyszeptał, ale ja byłam

zadowolona z otaczających nas ciemności. Dodawały mi odwagi,

pozwalają skupiać się na innych zmysłach. Wrażenia pochłaniały

mnie całkowicie, nie pozostawiając miejsca myślom. Gdybym zaczęła myśleć, nie potrafiłabym się zatracić w tej cudownej chwili.

I kiedy pozbyliśmy się zupełnie ubrań, kiedy posunęliśmy się tak daleko, że nie było już odwrotu, kiedy nareszcie poczułam go w sobie, ogarnęła mnie fala odurzającego szczęścia. Odrzuciłam dotychczasową rezerwę, puściły wszystkie hamulce.

–Kocham cię – wyznałam.

–Zawsze cię kochałem – usłyszałam upragnione słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przydałyby się jakieś chusteczki – mruknęłam, przytulając się do Tollivera.

Nasze ubrania, a przynajmniej większość z nich, leżały zmięte gdzieś pod kocami.

–Weź mój podkoszulek – wymamrotał, a ja zachichotałam,

słyszając w jego głosie przyjemne rozleniwienie.

Zaczęłam szperać w poszukiwaniu koszulki, łaskocząc go troszkę przy okazji.

–Zdajesz sobie sprawę, że naprawdę zamierzam go użyć? –

upewniłam się, znalazłszy coś, co uznałam za podkoszulek

Tollivera.

–Jak najbardziej. – Ucałował mnie w czubek głowy. Wytarłam się z grubsza i osuszyłam też jego.

–Hej, uważaj, to moja ulubiona część ciała.

–Moja też. Zaśmiał się z mojego dictum.

–Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek do tego dojdzie -powiedział, poważniejąc.

–Ja także. Myślałam, że już zawsze będę patrzyła na ciebie i jakąś kolejną kelnerkę.

–Cóż, ten glina z Sarne napędził mi stracha. Nie wspominając o Manfredzie.

–No co ty?

–Powaga. Już same kolczyki i tatuaże mnie przerażają, a do tego ciągle do ciebie uderza. W dodatku jego babka nie będzie żyć wiecznie. Po jej śmierci miałby wolne pole manewru, mógłby z

tobą jeździć. A ty zawsze chciałaś, żebym miał normalne życie, ciągle mnie do tego popychasz, więc zostawiłabyś mnie i wzięła na managera jego. A ja musiałbym znaleźć jakąś pracę z dala od ciebie.

–Ale tak się nie stanie, prawda?

–Nie, jeśli mam tu cokolwiek do powiedzenia. A mam, tak?

–Wydaje mi się, że już ci mówiłam.

–Hm, może... Ale lepiej powtórz, dla pewności.

–Um... Najpierw ty.

–Kocham cię. Nie jak siostrę. Kocham cię, jak mężczyzna kocha kobietę. Chcę znów być w tobie, chcę się z tobą kochać jeszcze i jeszcze.

Ugryzłam się w język, żeby nie pisnąć: „Naprawdę!?”. Wzięłam głęboki oddech.

–Dlaczego? – Cóż, mogło wyjść gorzej.

–Bo jesteś piękna i mądra – odpowiedział bez namysłu. – Bo zawsze dajesz z siebie wszystko, bez względu na to, co robisz. Bo jesteś szczerą i dlatego, że latami śniłem o twoich piersiach, a teraz, szlag by to, jest ciemno i nawet ich nie widzę.

–A ja widziałam twój sprzęt, raz, jakiś rok temu. Brałeś prysznic i nie zamknąłeś dokładnie drzwi.

–Powiedz, że od tamtej pory ciągle o nim marzyłaś.

–Właściwie to tak. Ale nie urośnij w dumę, kogucie.

–No, ja może nie, ale mój kogucik aż pęcznieje.

–Uhm, trudno nie wyczuć. – Zwilżyłam palec śliną i

musnęłam dumną główkę „kogucika”.

Tolliver jęknął.

Powtórzyłam pieszczotę.

Tym razem zaparło mu dech w piersiach.

–Nie przestawaj – westchnął.

Spełniłam jego prośbę, a on też nie próżnował.

Kontynuowaliśmy te rozkoszne manipulacje, dopóki nie byliśmy gotowi na kolejne zespolenie. Teraz było jeszcze lepiej, szczytowaliśmy razem. Miałam wrażenie, że rozpadniemy się na małe kawałeczki. Tym razem zasnął niemal natychmiast, ja zdążyłam jeszcze ponownie użyć jego koszulki, po czym sama też zapadłam w sen.

Spałam tak mocno, że obudził mnie dopiero potężny huk. Półprzytomna, przerażona, zaczęłam krzyczeć.

–To tylko drzewo – uspokajał mnie Tolliver. – Drzewo runęło.

Spokojnie, maleńka, nic nam nie jest.

W pośpiechu narzuciliśmy ubrania. Tolliver cisnął na podłogę wilgotną koszulkę, znalazł po omacku torbę i wyjął na chybił trafił inną. Opuściłam nogi, próbując namierzyć stopą buty.

Stękając i posykując, znalazłam wreszcie latarkę.

–Mam światło! – ogłosiłam. Odnaleźliśmy się w ciemności i chwilę później staliśmy przy oknie, wyglądając na zewnątrz. Silny szperacz, kupiony w Wal-Marcie przez Tollivera, oświetlił leżący nieopodal pień. Niepokojąca Hamiltonów sosna rzeczywiście runęła pod ciężarem śniegu. Jednak jakimś dziwnym zrzędzeniem losu przewróciła się w drugą stronę, ładując na podjeździe sąsiadów. Miałam złe przeczucie, że również na ich samochodzie.

–Widzisz, czy uszkodziła dach? – dopytywałam się, ale z naszego okna nie mogliśmy nic stwierdzić na pewno.

–Chyba będę musiał do nich podejść – westchnął Tolliver.

–Idę z tobą – oświadczyłam.

–Nie, nie idziesz. Jest zimno, ślisko, a ty masz już jedną rękę złamaną. Sprawdzę, czy wszystko w porządku, i najwyżej po

ciebie przyjdę. A, właśnie, jak tam twoja ręka? Mam nadzieję, że jej nie uszkodziliśmy za bardzo?

–Nie, ma się całkiem nieźle.

–Dobra, wracam za chwilę.

Trudno sprzeczać się z tak logiczną argumentacją. Zostałam. Tolliver zszedł ostrożnie po oblodzonych schodach, przeciął

podwórko i skierował się ku sąsiedniemu domostwu. Ogień na kominku przygasł, w izbie robiło się coraz zimniej. Rozgrzebałam żar na palenisku, dorzuciłam kilka szczap, przyciągnęłam sobie krzesło do okna i okutałam się kocem. Część mnie wyrывała się, aby podążyć za migotliwym światłem latarki, którą zabrał Tolliver, druga zaś krzyczała: „Przespaaś się z nim! Spaaś z Tolliverem!” tonem, w którym zgroza mieszała się z zachwytem. Czas pokaże, czy przepieprzyliśmy właśnie najlepszy związek w życiu, czy wprost przeciwnie, otworzyliśmy drzwi do wielkiego szczęścia.

To wszystko wydawało się takie melodramatyczne. Ale, daj Boże, będzie dobrze. Oderwałam się od tego głupiego wewnętrznego monologu. Za oknem Tolliver miał problemy z dotarciem do drzwi Hamiltonów, które okazały się przyblokowane gęstymi gałęziami sosny.

Z trudem zdołałam otworzyć okno. Jedną ręką.

–Pomóc ci?! – zawołałam zaniepokojona.

Tolliver zapewne ledwie powstrzymał się przed wytknięciem mi, że to ostatnia rzecz, jakiej mu teraz trzeba.

–Nie, dzięki – odkrzyknął z godnym podziwu umiarkowaniem.

Nawet jego głos przyprawiał mnie o miłe dreszcze. Wychwyciłam w nim jakąś zmianę. Jakby charakterystyczna

twarda nuta, efekt wiecznego napięcia, dystansu, nagle znikła. Mnie natomiast ogarnęła lekkość i rozmarzenie. Czułam się jak nastolatka po pierwszym pocałunku. Liczyło się tylko tu i teraz.

Drzwi Hamiltonów uchyliły się wreszcie, ukazując Teda w czapce. Wyglądał bardzo zabawnie, choć oczywiście mądrze zrobił, chroniąc głowę, przez którą ucieka najwięcej ciepła. Zamienili kilka słów, po czym Tolliver odwrócił się, ruszając z powrotem do naszego tymczasowego domu.

Otworzyłam, zanim jeszcze dotarł na taras.

–Rany, jakie zimno – powiedział, ruszając wprost ku

kominkowi. Dorzucił więcej drewna i przez chwilę kuczał przy

ogniu tak blisko, jak tylko mógł bez narażania na przypalenie.

Zmrużył oczy, rozkoszując się ciepłem.

–I co? Nic im nie jest?

–Nie, są tylko wściekli. Ted rzucił wiązanką, której pewnie nie wypowiedział od końca wojny koreańskiej. Cieszę się, że nie jestem żadnym z McGrawów albo Cottonów. Zagroził, że ich pozwie.

–Ciekawe, czy ma jakieś szanse w sądzie.

Tolliver wyciągnął ręce, ogrzewając dłonie.

–Chciałbym powiedzieć, że to byłoby śmieszne, ale sama wiesz, system sprawiedliwości jest nieprzewidywalny.

Zamilkliśmy, spoglądając na siebie.

–Żałujesz? – zapytał.

–Nie, a ty?

–Tylko tego, że nie zrobiliśmy tego wcześniej. A ty ciągle powtarzałaś, że powinienem ruszyć swoją drogą. Nie wiedziałem, czy naprawdę tego chcesz, czy tylko tak mówisz. Wreszcie postanowiłem, wóz albo przewóz.

–Kocham cię tak mocno, więc uznałam, że lepiej trzymać się z dala, żebyś się nie domyślił. Sądziłam, że będziesz uważał to za coś obrzydliwego, chorego. Albo będziesz mi współczuł, będziesz się czuł odpowiedzialny, a to jeszcze gorsze.

–To ty raczej jesteś osobą, która nie zasypia gruszek w popiele. Poraził cię piorun, a ty, zamiast się nad sobą użalać, iść na rentę i klepać biedę, odkryłaś w sobie niesamowity talent i wymyśliłaś, jak go wykorzystać. Umysł i charyzma pozwoliły ci stworzyć z tego własny biznes.

–Charyzma – prychnęłam.

–Oczywiście. Chyba sama wiesz, jak działasz na mężczyzn.

–Raczej wyrostków. To nieszczególnie pochlebiające.

–Nie tylko wyrostków. Młodszy po prostu gorzej to ukrywają.

–Twierdzisz, że przyciągam mężczyzn? Obudź się.

–Nie w ten sposób, co, ja wiem... Shakira czy Beyonce. Nie jesteś typem seksblondi kręcącej tyłeczkiem, twój urok polega na czymś innym. Wierz mi, mężczyźni to zauważają i doceniają.

–Wystarczy, że robi to jeden konkretny mężczyzna. –

Popatrzyłam na niego przeciągle.

–Aż mi dech zapało. Spuściłam wzrok i uśmiechnęłam się.

–Przynajmniej znasz już moje najgorsze strony.

–No, nie całkiem. Nie miałem pojęcia, że wydajesz takie dźwięki, szczytując.

Tym razem mnie zabrakło na chwilę tchu.

–A ja, że masz zakrzywionego ptaszka – skontrowałam.

–Urn... Nie wiem... To dobrze czy źle?

–Dobrze, dobrze – zapewniłam go. – Akurat trafia w najczulsze miejsce.

–Naprawdę? Hmmm.

–Wiesz, możemy to jeszcze...

–Tak?

–Jeszcze raz przetestować.

–Skoro nalegasz. I jeśli włożysz na początek nieco wysiłku.

–Mam do tego uklęknąć? W pomarańczowym świetle ognia dostrzegłam, jak zwięzają mu się źrenice.

–Uh!

–I użyć języka? Tak? – Wystawiłam czubek, ruszając nim w górę i w dół.

–Tego rodzaju wysiłek nie może nie przynieść efektów -stwierdził nieco ochryple. – Rany, Harper, dziwię się, że armia facetów nie jeździ za nami z miasta do miasta.

–Wiesz, oni o tym nie wiedzą. Chyba nie myślisz, że zrobiłabym to komuś poza tobą?

–O tak, proszę, zrób to dla mnie. I tylko dla mnie.

Uklękałam przed nim i ściągnęłam w dół dresowe spodnie oraz

kalesony, które założył przed wyprawą do Hamiltonów. Częściowo pozostał ubrany, a to, jak uznałam, jeszcze przydawało wszystkiemu pieprzyku.

Podniosłam wzrok, upewniając się, że obserwuje moje zabiegi. O tak, wpatrywał się w moje usta jak zahipnotyzowany.

–O Boże – jęknął, nie kryjąc uznania dla moich poczynań.

Nie miałam może zbyt wiele doświadczenia, ale z obserwacji

wiedziałam, że mężczyznom seks sprawia przyjemność bez względu na biegłość partnerki. Nie zastanawiali się nad tym, nie krytykowali, tylko po prostu dochodzili. Wystarczało zapewnić im odpowiednią dziurkę, pojęczeć entuzjastycznie i radośnie osiągnąć

swoje spełnienie. To było coś jak podpisywanie umowy na podstawową ofertę kablówki. Wybierasz właśnie tę, kiedy zamawiasz ją dla kogoś, kogo dobrze nie znasz.

–Dla ciebie, kochanie, HBO – powiedziałam. Moje starania

docenił serią gardłowych jęków.

Obudzwszy się następnego ranka, musiałam zmrużyć oczy przed jasnym blaskiem wpadającym przez nieosłonięte okna. Zakopałam się głębiej w piernaty, przytulając do rozgrzanego ciała obok. Tolliver! Leżałam w łóżku z Tolliverem i oboje byliśmy nadzy! Westchnęłam błogo, całując najłatwiej dostępny fragment, czyli szyję.

–Chyba nie mogę cię już nazywać siostrzyczką – mruknął rozespany.

–Uhm.

–Manfred ma straszego pecha.

–Uhm.

–Te odgłosy na zewnątrz oznaczają, że ktoś tnie sosnę, czyli są tam ludzie, a my jesteśmy goli.

–O rany!

–No, słyszysz?

Trudno było nie słyszeć. Co za życie! Wokół dziesiątki

pustych domków, a my jak na złość mamy sąsiadów. Poza tym będę musiała wyjść z ciepłego łóżka, skorzystać z toalety i splukać ją kubeczkiem. Ble. Na dodatek koniecznie potrzebowałam gąbkowej kąpieli, a to oznaczało stanie nago w lodowatej łazience. I przy okazji darmowy peep-show dla głupich Hamiltonów, którzy kręcili się po podjeździe, próbując uwolnić samochód spod gałęzi.

–Mam nadzieję, że ich auto przypomina teraz naleśnik –

mknęłam mściwie.

–Ej, na pewno tak nie myślisz.

–No nie. Tak. Trochę – zaśmiałam się. – Nie chce mi się wychodzić z łóżka. Myślisz, że wejdą na taras i zajrzą tu przez okno?

–Na pewno, lada moment. – Odszukał moją rękę. – Ja też nie mam ochoty wstawać – przyznał. Pocałował mnie, puścił i musnął palcami talię. – Ale jestem wykończony.

–Och, biedactwo. Tak cię wymęczyłam?

–Jestem już tylko cieniem.

–A to ciekawe, wydajesz się bardzo materialny. –

Przesunęłam dłonią po jego (owszem, płaskim i muskularnym)

brzuchu.

–Potrzebuję paliwa, zachłanna kobieto. Inaczej nie dam rady zaspokoić twoich nienasyconych apetytów.

–Ha, jeszcze nie wiesz, co to jest nienasycenie –

oświadczyłam i spoważniałam. – Wiesz, Tolliver, nie mogę uwierzyć, że to zrobiliśmy. Tak bardzo tego pragnęłam.

–Ja też. Ale metabolizm nakazuje mi: najpierw zjedz, potem gadaj.

–No dobrze. – Pocałowałam go, naciągnęłam spodnie i

pocwalałam do łazienki. Arktyczny kwadrans potem byłam

mniej więcej umyta i ubrana w kilka warstw czystej odzieży. Na

nogach miałam dwie pary skarpet oraz śniegowce, które Tolliver

nabył przezornie w Wal-Marcie. Podczas gdy Tolliver zniknął w

łazience, znalazłam aluminiowy garnczek, napełniłam go wodą i

postawiłam na kuchence. Kiedy woda zawrzała, chwyciłam

rondelkę przez złożoną koszulkę Tollivera i przelałam ją do

kubków z rozpuszczalną czekoladą. Rozpakowałam też paczkę nadziewanych herbatników. Cukier powinien szybko uzupełnić nasze braki energetyczne.

–Mmm, cudownie! – Tolliver rozpromienił się na widok

parujących kubeczków. – Jesteś boska.

Usiedliśmy przy kominku, włączyliśmy nasze radio na baterie i zabraliśmy się do jedzenia. Komunikaty ostrzegały o fatalnych warunkach na drogach, a choć temperatura po południu miała wzrosnąć powyżej zera, szosy miały być nieprzejezdne aż do jutrzejszego ranka. Nawet wtedy będzie ślisko i niebezpiecznie. Ekipy naprawcze jeździły reperować zerwane linie wysokiego napięcia, kontrolowały również bardziej oddalone siedziby. Zgłoszenia należało składać telefonicznie na numery alarmowe. Proszono także, aby sprawdzać, jak radzą sobie starsi sąsiedzi. Zerknęłam w okno.

–Hamiltonowie radzą sobie świetnie – podsumowałam.

–Próbowałaś włączyć komórkę? Okazało się, że mam kilka wiadomości w poczcie głosowej.

Pierwszą od Manfreda.

„Cześć, Harper. Babcia miała wczoraj poważny atak, jest w szpitalu w Doraville”. Drugą zostawiła Twyla, wyrażająca nadzieję, że wszystko u nas w porządku. Kolejna znów od Manfreda. „Dobrze by było, gdybyście wpadli tu z Tolliverem. Babcia chce z wami omówić kilka rzeczy”. Starał się brzmieć dorośle, ale jego wysiłki spęły na niczym.

–Nie podoba mi się to – rzekłam. – Brzmi źle, jak „odłączcie

ją od aparatury”.

–Myślisz, że damy radę dojechać do miasta? Nie wiem nawet, czy uda się nam wytoczyć z podjazdu.

–Jakbyś nie zauważył, przestawiłam samochód przed burzą.

Jest na wzniesieniu.

–Tam, gdzie stuknie go każdy przejeżdżający tą wąską drogą?

–Tam, gdzie nie będziemy musieli wycofywać go pod oblodzoną górkę i nie skończymy na dnie jeziora. – Najwyraźniej seks i pogłębienie związku nie eliminowały sprzeczek.

–No dobrze, miałaś świetny pomysł – przyznał Tolliver. – Koło południa zobaczymy, czy da się jeździć. Może za kilka godzin choć trochę tego śniegu stopnieje.

Nie wróciliśmy już do rozmowy, którą zaczęłam po przebudzeniu, ale właściwie nie wydawała się wcale potrzebna. Tak jak przypuszczałam, Tolliver wreszcie się zniecierpliwiał i wyszedł pomóc Tedowi. Wrócił dwie godziny później, tupiąc po schodach, żeby strząsnąć z butów śnieg. Czytałam przy kominku, ale zaczynałam już dostawać świra. Popatrzyłam wyczekująco i doczekałam się przelotnego pocałunku w policzek. Jakbyśmy byli starym, dobrym małżeństwem.

–Masz zmarzniętą twarz.

–Jest zamarznięta na lód – poprawił. – Dzwoniłaś do

Manfreda? Widzieliśmy z Tedem przejeżdżający samochód, więc chyba da się jeździć.

–Już dzwonię. – Okazało się, że muszę zostawić wiadomość głosową.

–Pewnie jest w szpitalu i wyłączył telefon – stwierdził Tolliver.

Już otwierałam usta, żeby zarzucić go pytaniami o nasz nowy związek, ale powstrzymałam się. W sumie, czemu niby miałyby wiedzieć na ten temat więcej ode mnie?

Napięcie ze mnie opadło. Będziemy nad tym myśleć w miarę potrzeb. Nie musimy wysyłać nikomu żadnych zawiadomień. Naraz uderzyła mnie pewna myśl.

**–Uhm, ta sprawa może być trudna dla naszych sióstr –
zauważyłam.**

Po minie Tollivera poznałam, że w ogóle nie przyszło mu to do głowy.

–Fakt. Masz rację, to będzie... Mariella i Gracie, rany. O

Boże, Iona!

Ciotka Iona. Właściwie moja ciotka Iona sprawowała opiekę nad naszymi młodszymi siostrzyczkami przyrodnymi. Ona i jej mąż wiedli diametralnie inne życie niż nasi rodzice i tak też wychowywali dziewczynki. Trudno było im nie przyznać racji. Lepiej dorastać w rodzinie chrześcijańskich fundamentalistów niż w domu, gdzie nie zazna się smaku normalnego jedzenia i jest się zdany na łaskę sprowadzanych przez rodziców szumowin. Bo tak właśnie wyglądało moje życie, choć wczesne dzieciństwo spędziłam jeszcze w normalnych warunkach. Mariella i Gracie były czyste, dobrze ubrane, nie chodziły głodne. Miały bezpieczny dom, do którego wracały codziennie po szkole, a także zasady, których musiały przestrzegać. Czego więcej chcieć? A jeśli nawet doświadczenia pierwszych lat życia od czasu do czasu wywoływały u nich bunt przeciw tym regułom, cóż, to nic wielkiego. Staraliśmy się być z nimi w stałym kontakcie, ale to syzyfowa praca.

Już sama myśl o tym, jak zareaguje Iona na wieść o nas, była przerażająca.

**–No cóż, trzeba będzie kiedyś przez to przejść. – Wzruszyłam
ramionami.**

**–Nie będziemy się z tym kryć – oświadczył Tolliver z
zaskakującą stanowczością. – Nawet nie zamierzam próbować.**

Słodkie dla ucha słowa, oznaczające definitywne potwierdzenie. Znałam dobrze swoje uczucia, ale zawsze miło słyszeć, że partner czuje to samo. Westchnęłam z ulgą.

–Żadnego ukrywania – zgodziłam się.

Na lunch zjedliśmy kanapki z masłem orzechowym.

–Żona Teda podaje teraz pewnie czterodaniowy posiłek o

niskiej zawartości cholesterolu – powiedziałam tęsknie. – Hej, ty

też przeważnie jesz zdrowe rzeczy.

Moja dieta ucierpiała przez pobyt w Doraville, z różnych przyczyn. Będę musiała szybko do niej wrócić. Miałam wystarczająco dużo problemów zdrowotnych, więc starałam się przynajmniej przestrzegać reguł higienicznego życia.

–Jak twoja noga? – zatroszczył się Tolliver, myśląc wyraźnie o tym samym.

–Całkiem nieźle. – Wyprostowałam ją i pomasowałam udo. – Ale czuję, że nie biegałam przez te kilka dni.

–Kiedy będziesz mogła zdjąć opatrunek?

–Według doktora za jakieś pięć tygodni. Wolałabym być wtedy w St. Louis, żeby iść na kontrolę.

–Super. – Widząc szeroki uśmiech Tollivera, nietrudno było odgadnąć, że myśli o rzeczach, które o tyle łatwiej będzie robić, kiedy złamanie się zrośnie. – Chodź do mnie – poprosił. Sam siedział na podłodze przed kominkiem, opierając się o krzesło. Poklepał podłogę między kolanami. Kiedy usadowiłam się plecami do niego, otoczył mnie ramionami. – Nadal nie chce mi się wierzyć, że mam cię teraz, tak inaczej. – Gdyby moje serce miało ogon, teraz machałoby nim jak szalone. – Uwielbiam cię dotykać.

Teraz mogę to robić bez przerwy. I nie muszę się zastanawiać nad każdym gestem.

–A zastanawiałaś się?

–Bałam się, że cię spłoszę.

–No widzisz, ja też się bałam.

–Ale z nas głupki.

–Tak, ale już zmądrzeliśmy. Siedzieliśmy tak, rozkoszując się bliskością, aż Tolliverowi

zdrętwiała noga. Postanowiliśmy ruszyć się wreszcie i podjąć próbę dojazdu do miasta. Akurat było południe.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Niejednokrotnie podczas podróży plułam sobie w brodę, że włączyłam komórkę i odsłuchiłam wiadomość od Manfreda. W życiu tak się nie bałam na drodze. Tolliver jakoś dawał sobie radę, ale przy okazji wyczerpał cały zakres znanych przekleństw, dodając nawet parę całkiem dla mnie niezrozumiałych. Po drodze napotkaliśmy samochód pełen nastolatków, którym wyraźnie spieszyło się na tamten świat. Natychmiast pożałowałam tych myśli, bo nasunęło mi się skojarzenie z leżącymi w zmarzłej ziemi zamordowanymi chłopcami.

Na parkingu szpitalnym prawie nie było samochodów. Śnieżny kobierzec zalegający wokół dodał budynkowi uroku. Recepcja świeciła pustkami, musieliśmy więc poszukać dyżurki pielęgniarek. Zapytaliśmy, na której sali leży Xylda Bernardo.

–Ach, ta wróżka – powiedziała jedna z kobiet z nutką

podziwu w głosie. – Jest na oddziale intensywnej terapii. Jej wnuk

siedzi tam na korytarzu, możecie do niego iść.

Poszliśmy według jej wskazówek. Manfred siedział na korytarzu, w swego rodzaju poczekalni. Na podłodze pod krzesłami wały się kubki po kawie, a na stolikach leżały stare czasopisma. Najwyraźniej sprzątacze tu dzisiaj nie dotarli. Niedobrze.

Manfred nie zauważył nas, tkwił w bezruchu, przygarbiony, z głową schowaną w dłoniach.

–Manfred? – zawołałam. – Co z Xyldą?

Podniósł wilgotną od płaczu twarz. Miał zaczerwienione

oczy.

–Nie rozumiem – powiedział. – Czuła się lepiej. W nocy co prawda miała zapaść, ale rankiem wydobrzała. Był lekarz. I kapelan. Miała się przenieść do zwykłej sali. A potem... Wyskoczyłem dosłownie na minutę, pobiegłem po kawę i zadzwoniłem... Kiedy wróciłem, była w śpiączce.

–Bardzo mi przykro. – Cóż innego można powiedzieć w takiej sytuacji? Żadne słowa nic tu nie zmienią.

–Co mówi lekarz? – zapytał Tolliver. Usiadłam obok

Manfreda, kładąc mu dłoń na ramieniu. Tolliver zajął miejsce

nieco z boku. Pochylił się ku nam, wspierając brodę na pięściach.

Spojrzałam na jego poważną, skupioną twarz, a fala miłościomal nie zbiła mnie z nóg. Otrząsnęłam się, teraz Manfred i Xylida potrzebowali mojej uwagi.

–To był ten twój lekarz, Harper – rzekł Manfred. – Ten siwy. Chyba jest dobry. Uważa, że babcia już raczej się nie obudzi. Nie ma pojęcia, dlaczego tak się stało, ale mówił, że nie jest zaskoczony. Tyle że to niezbyt wiele, jak dla mnie. Nikt mi nie powiedział, co dokładnie się z nią stało. Myślałem, że medycyna jest teraz bardziej zaawansowana.

–Dzwoniłeś do rodziny?

–Tak, matka jest w drodze, ale przy tych warunkach nie wiadomo, czy zdąży tu dotrzeć, zanim babcia odejdzie.

To straszne.

–Więc na razie ty masz podejmować wszystkie decyzje?

–Tak. Matka powiedziała, że mi ufa i wie, że postąpię słusznie.

Wspaniale, jeśli matka tak ceni syna, ale z drugiej strony to ogromna odpowiedzialność dla młodego człowieka.

–Myślałem... – podjął Manfred po chwili milczenia. –

Myślałem, że może pójdziesz do niej... Może coś wyjaśnisz... -mówiąc to, patrzył mi w oczy, a na jego obliczu malowała się powaga. Dość szybko pojęłam, o co mu chodzi. Chciał wiedzieć, czy jej dusza znajduje się jeszcze w ciele. Skurczyłam się w sobie na myśl o tym, ale kiwnęłam głową.

Wskazał mi stosunkowo niewielkie drzwi wiodące na oddział intensywnej terapii. Szpital był mały, pewnie nie posiadał najnowocześniejszego wyposażenia. Pomyślałam, że Xylidą lepiej zajęto by się w jakiejś większej placówce, z bardziej różnorodnym sprzętem – bo czy nie do tego wszystko się sprowadza? – ale, niestety, nie było takiej możliwości. Jeszcze raz natura wzięła górę nad technologią. Zdumiewające, patrząc na tę skomplikowaną maszynę, do której podpięto Xylidę. Aparaty bezgłośnie zapisywały wszystko, co działo się w jej organizmie, a mimo to Manfred nie wiedział rzeczy podstawowej – czy dusza jego babki nadal tkwi w ciele.

O to musiał zapytać mnie.

Dotknęłam bezwładnej dłoni Xyldy, choć nie było to konieczne. Dusza Xyldy nie odeszła. Prawie żałowałam, że tak właśnie jest. O ile bardziej utrudni to decyzję rodziny dotyczącą odłączenia.

Barney Simpson, który wetknął głowę przez uchylone drzwi, zdziwił się lekko na mój widok.

–Myślałem, że się pani pozbyliśmy? – zagaił niegłośnie, z uwagi na leżącą na łóżku nieruchomą postać.

–Składa pan wizyty pacjentom intensywnej terapii?

–Nie, ich rodzinom. Zauważyłem kogoś, więc wpadłem sprawdzić.

–Przyszłam zastąpić wnuka pani Bernardo, musiał na moment wyjść.

–Ach, to ta druga kobieta? Pani przyjaciółka, tak?

–Xylda Bernardo. Jasnowidząca, owszem.

–To ona odkryła sprawki Chucka Almanda. Po chwili namysłu skinęłam głową. Tak to wyglądało – mniej

więcej w każdym razie.

–Tak.

–Cóż za niesamowity dar – zachwycił się Simpson. Przejechał ręką po czuprynie, chcąc ją ugładzić, ale nie uzyskał zamierzonego efektu.

–Jest nieprzeciętna, to pewne – przyznałam. Ruszyłam ku drzwiom, chcąc poinformować Manfreda o wynikach mojej wizyty. Simpson cofnął się, przepuszczając mnie na korytarz. Prawie w tej samej chwili minęła nas pielęgniarka wchodząca na salę.

–Znowu pan – zwróciła się do Simpsona. – Coś nie możemy się pana dzisiaj pozbyć.

–No fakt, utknąłem tu – uśmiechnął się dyrektor

administracyjny. – A raczej mój samochód.

–Ach, więc nie jest pan tu z własnej woli?

–Cóż, zdecydowanie wolałbym siedzieć teraz w domu. Ja również. Simpson ruszył w

dalszy obchód, a ja skierowałam się ku

Manfredowi.

–Jest tam – powiedziałam. Manfred przymknął oczy. Nie wiem, czy był to wyraz zaniepokojenia, czy ulgi.

–W takim razie zostanę z nią, dopóki nie odejdzie.

–Możemy ci jakoś pomóc? – zapytał Tolliver. Manfred spojrzał na niego z rozdzierającym serce smutkiem.

–Nie, dziękuję. Zdobyłeś ją, od razu wiedziałem. Ale cieszę

się, że jesteście moimi przyjaciółmi, i jestem wdzięczny, że przyjechaliście do miasta, żeby się zobaczyć z babcią. Gdzie się zatrzymaliście?

Opowiedzieliśmy mu o chacie. Uśmiechnął się, słysząc o przejściach Hamiltonów.

–Kiedy wyjeżdżacie? Gliny was puściły, tak?

–Prawdopodobnie jutro – odrzekłam. – Ale przed wyjazdem wpadniemy jeszcze do szpitala. Na pewno niczego ci nie trzeba?

–Szpital ma ciągle zasilanie, więc to raczej ja jestem w tej lepszej sytuacji. Możecie tu jeść coś ciepłego. Bar na dole jest czynny.

„Bar szpitalny”, nie brzmiało to zbyt zachęcająco, ale „coś ciepłego” zdecydowanie tak. Nakłoniliśmy Manfreda, żeby poszedł z nami. Zamówiliśmy placki z sosem, steki i zielony groszek. Obiecałam sobie podwójne przebieżki od przyszłego tygodnia.

W ostatniej chwili omal nie zostałam. Manfred wydawał się taki samotny.

–Nie ma sensu, żebyś tu ze mną siedziała, Harper –

powiedział, trafnie odczytując moje zamiary. – Bardzo doceniam

twoje dobre chęci, ale pozostało mi tylko czekanie, a to mogę

robić sam. Matka powinna dotrzeć jutro rano, jeśli sytuacja na

drogach się poprawi. Wyjdę od czasu do czasu z sali, żeby

sprawdzić pocztę głosową.

Objęłam Manfreda na pożegnanie, Tolliver uścisnął mu dłoń.

–Jakby co, to dzwonił, stary. Natychmiast przyjedziemy -zapewnił chłopaka, który kiwnął głową.

–Nie sądzę, żeby przeżyła tę noc. Jest bardzo słaba i zmęczona. Ale wczoraj miała lepszy dzień. Mówiła, że ten

smarkacz na pewno zabijał zwierzęta, ale wyczuła w tej stodole coś jeszcze.

–To znaczy? – Już odwracałam się do wyjścia, ale ta nowina zelektryzowała mnie, zmuszając do powrotu. Ogarnęły mnie złe przeczucia.

–Nie mam pojęcia – wzruszył ramionami Manfred. – Nie wyjaśniła mi tego. Powiedziała tylko, że cały teren otacza opar zła.

–Hmm. – „Opar zła” nie wróżył nic dobrego. Co Xylida mogła mieć na myśli? Właśnie taka enigmatyczność drażni mnie u jasnowidzów.

–Użyła innych słów.

–A konkretnie?

–Coś innego niż opar. Coś jak mizamaty? Miazmaty? Jest coś takiego?

Manfred był błyskotliwy, ale niezbyt oczytany.

–Tak, miazmaty to odrażające wyziewy, szkodliwe wpływy,

zła atmosfera, prawda, Tolliver?

Tolliver przytaknął.

Czyżbym coś przeoczyła? Jakies zwłoki? Popęłniłam błąd? Myśl ta wstrząsnęła mną tak bardzo, że w drodze do samochodu nawet nie czułam szczypiącego mrozu.

–Musimy wrócić do tej stodoły.

Tolliver spojrzał na mnie jak na wariatkę.

–Nie dość, że pogoda, to jeszcze chcesz się włamywać na prywatną posesję? – wyraził wszystkie zastrzeżenia w jednym zdaniu.

–Tak, wiem, że pogoda jest paskudna, ale Xylida...

–Sama wiesz, że przede wszystkim była oszustka.

–Tak, ale nie zmyślałaby w takiej sprawie. – Naraz coś sobie

przypomniałam. – Pamiętasz? Jak byliśmy w Memphis, powiedziała: „W czas lodu zaznasz szczęścia”.

–Ta, pamiętam. To jest czas lodu, a ja byłem szczęśliwy,

dopóki nie wymyśliłaś, żeby się wdzierać na cudzy teren. –

Rzeczywiście nie wyglądał na uszczęśliwionego moim pomysłem.

Miał zatroskaną minę. – Szczerze mówiąc, chciałem wrócić do

chaty, rozpalić kominek i znów cię uszczęśliwić.

Nie potrafiłam powstrzymać uśmiechu.

–To może zapytamy właściciela?

–Poprosimy o pozwolenie wejścia na jego teren, bo chcemy poszukać jakichś trupów? Może od razu zapytajmy, czy nie przemycił jakichś zwłok za naszymi plecami? I wyjaśnimy, że u podstaw naszych podejrzeń leży twierdzenie wróżki o unoszących się wokół jego posesji miazmatach zła?

–Dobra, dobra, rozumiem. Po prostu uważam, że powinniśmy coś z tym zrobić.

Tolliver włączył silnik natychmiast, jak wsiedliśmy do samochodu, ale ogrzewanie zaczęło działać dopiero po chwili. Odwróciłam głowę, żeby strumień ciepłego powietrza nie wiał mi prosto w twarz.

–Przejedziemy tamtędy, rzucimy okiem – ustąpił Tolliver niechętnie.

–A później wykonamy twój wspaniały plan. – Jasne. To „później” podoba mi się znacznie bardziej.

Pojechaliśmy wczorajszą trasą, ślizgając się i utykając co chwila w niewielkich zaspach na opustoszałych ulicach Doraville. Z tyłu działki Toma Almanda, gdzie parkowały ostatnio wozy policyjne oraz reporterskie, teren przypominał czarne morze zamrożonego błota pofalowanego grzywami kolein. Tolliver

zaparkował w miejscu częściowo ukrytym przed oczami patrzących z okien domu. Wsiadłam, ruszając wprost ku stodole. Co przeoczyłam?

Wewnątrz w nieruchomym mroźnym powietrzu nadal wisiała woń stęchlizny. Klepisko znaczyły ciemne plamy wykopów. Stamtąd wyciągnięto martwe zwierzaki. Pomyślałam o chłopcu, Chucku Almandzie, ale szybko odsunęłam od siebie obraz jego smutnych oczu, koncentrując się na odbieraniu wibracji od martwych – martwych ludzi.

Kiedy otworzyłam oczy, przede mną stał Chuck Almand we własnej osobie.

–Rany, ale mnie przestraszyłeś! – pisałam, chwytając się za gors.

Chłopak miał na sobie ciężkie buty, grubą kurtkę, czapkę, rękawiczki i szalik, więc przynajmniej ubrał się stosownie do pogody.

–Co pani tu robi? Myśli pani, że coś tu jeszcze jest?

**–Tak – powiedziałam po prostu, nie mając na podorędziu żadnej gotowej historyjki.
– Zastanawiałam się, czy czegoś nie przeoczyłam.**

–Myśli pani, że są tu jakieś trupy ludzi?

–Właśnie sprawdzałam.

–Po co? Wszystkie wykopano przecież koło starego domu Daveya.

–Skąd wiesz, że nie ma gdzieś innych?

Oczy mu błysnęły, ale w tym samym momencie usłyszałam kroki na zewnątrz i w drzwiach stodoły pojawił się Tolliver.

–Cześć, Chuck – przywitał się zdawkowo. – I jak tam, słonko, skończyłaś?

–Chyba tak. Zgodnie z naszymi przewidywaniami, nic tu nie ma.

Chuck wlepił we mnie jasne oczy.

–Nie musisz się mnie bać.

–Nie boję się – rzekłam, próbując się uśmiechnąć. To prawda, nie bałam się tego dziecka. Ale jego obecność napawała mnie niepokojem, a choć nie czułam się z nim związana w jakikolwiek sposób, martwiła mnie jego przyszłość.

Z zewnątrz dobiegł nas czyjś głos.

–Hej, Chuck, jesteś w stodole? Kto tam jest?

Ku mojemu zaskoczeniu twarz Chucka zmieniła się w jednej

sekundzie. Uderzył mnie z całej siły w brzuch. Upadając, dostrzegłam, jak porusza ustami.

–Wynoście się stąd – zaczął wrzeszczeć. – To włamanie!

Wynocha!

Przy akompaniamencie skrzypu drzwi do środka wpadł Tom Almand.

–Synu? Synu! O mój Boże, Chuck, coś ty znowu zrobił?! –

krzyknął, widząc mnie na klepisku, zgiętą wpół.

Tolliver przyskoczył, pomagając mi wstać.

–Ty mały sukinsynu! – syknął do chłopaka. – Nie waż się jej

tknąć. Nic ci nie zrobiła.

Milczałam, patrząc mu w oczy i trzymając się za brzuch. Bałam się, że uderzy mnie ponownie. Tym razem chciałam być przygotowana. Ale już nic więcej się nie wydarzyło poza długą, gorączkową rozmową.

Tom Almand kajał się i stokrotnie przeproszał. Tolliver stanowczo powiedział, że nie pozwoli mi tak traktować, i równie stanowczo zażądał, żeby chłopak trzymał się z daleka ode mnie.

Tom wytknął, że wdarliśmy się na jego teren. Tolliver zasugerował, że policja chętnie spotka się z nami w miejscu, gdzie wczoraj wykopano zwłoki. Tom sprostował, że nie wczoraj, i dodał, żebyśmy się wynosili z jego posesji. Tolliver oświadczył, że uczynimy to z wielką chęcią i że na jego szczęście nie wezwiemy policji ani nie zgłosimy, że jego synalek mnie pobił.

W drodze do samochodu musiałam wesprzeć się na Tolliverze, a także skorzystać z jego pomocy przy wsiadaniu. Sam Tolliver był strasznie zdenerwowany. Tak starał się, żeby nie rzucić czegoś w rodzaju: „A nie mówiłem?”, że mało nie pękł. Na szczęście udało mu się powstrzymać.

–Tolliver? – zagadnęłam, kiedy jechaliśmy do chaty.

Natychmiast przerwał rzucanie gromów na wszystko i

wszystkich.

–Tak?

–Chuck tuż przed ciosem, zanim zaczął wrzeszczeć, szepnął: „Przepraszam. Proszę mnie później odnaleźć”.

–Nic takiego nie słyszałem.

–Bo powiedział to bardzo cicho, tak żeby ojciec nie słyszał.

–Chciał się spotkać?

–Z tego wynika. Najpierw mówił, że przeprasza. A potem, żeby go odnalazła.

–To co? Ma jakieś rozdwojenie jaźni? Czy wmawia ojcu jakąś chorobę psychiczną?

–Raczej to drugie. Coś kombinuje, ale nie mam pojęcia, co.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. Nie wiem, co działo

się w głowie Tollivera, ale ja przez cały czas próbowałam zrozumieć, o co w tym może chodzić.

Parkując przy zjeździe, zauważyliśmy, że dom Hamiltonów

poza unoszącym się z komina dymem jest dziwnie cichy, jak wymarły. Może po prostu ucinali sobie drzemkę. Mnie też spodobał się ten pomysł.

–Patrz, zaczynam myśleć jak siedemdziesięciolatka –

ofuknęłam się na głos, idąc ostrożnie po podjeździe.

–Nie martw się, zaraz zrobimy coś, czego Hamiltonowie na pewno nie robią – rzekł Tolliver tak sugestywnie, że cała krew spłynęła mi w rejony podbrzusza.

–No, nie wiem, Hamiltonowie wydają się bardzo aktywnymi i energicznymi siedemdziesięciolatkami.

–Nie sądzę, żeby dotrzymali nam kroku – zaśmiał się

Tolliver.

Od razu wzięliśmy się do rzeczy, z przystankami na zamknięcie drzwi i dorzucenie do ognia. Nie oszczędzaliśmy się. Nie wiem, jak Hamiltonom minęło to popołudnie, ale nam wprost cudownie. I rzeczywiście zakończyło się miłą drzemką.

Wieczorem pożarliśmy kolejną porcję masła orzechowego, które zapiliśmy gorącą czekoladą. Na deser były jabłka. Chciałabym myśleć, że bez tej awarii sieci też rozmawialibyśmy w ten sposób, ale to mało prawdopodobne. Bliskość i ciemność

tworzą specyficzny nastrój. Po każdej kolejnej fali namiętności czułam się pewniejsza Tollivera, każda cementowała nasz nowy związek. Prawdopodobnie żadne z nas nie zdecydowałoby się na ten ostateczny krok, gdyby nie znużenie jednonocnymi przygodami.

–Ta ostatnia kelnerka, w Sarne... – Popatrzyłam na niego spod oka. – Dziwne, ale wryła mi się w pamięć. Siedziała mi w głowie przez kilka tygodni, nie wiem dlaczego.

–To proste. Po pierwsze, miałem nadzieję, że nas nakryjesz, wywalisz ją z pokoju i powiesz, że jestem dla ciebie tym jedynym. Przez te myśli byłem strasznie napalony. Poza tym, sama mi wskoczyła do łóżka.

–Owszem, kusilo mnie – przyznałam. – Ale nie byłam gotowa podjąć ryzyka. Ciągle mówiłam sobie: „A co, jeśli poproszę go, żeby się z nią nie spotykał, a on zapyta, dlaczego? Co mu odpowiem? Nie rób tego, bo cię Kocham?”. A ty na to: „Rany boskie, musimy się rozstać. Jeździj sobie sama”.

–U mnie mniej więcej tak samo. Bałem się, że powiesz, że nie możesz przebywać z kimś, kto ciągle ma na ciebie ochotę, że masz pracę wymagającą skupienia i nie chcesz mieć przy sobie wiecznie napalonego faceta. Nie miałaś tylu partnerów, co ja.

–Jestem kobietą. Nie kręci mnie sypianie, z kim popadnie. To nie takie proste, potrzebuję czegoś więcej niż tylko chętnego faceta.

–Co ma do rzeczy to, że jesteś kobietą? Nie wszystkie mają takie wymagania.

–Tak, ale jednak większość.

–Masz mi to za złe? Te wszystkie łóżkowe podrywki?

–Nie, aczkolwiek to niebezpieczne dla zdrowia. Ale wiem, że byłeś ostrożny.

Rzeczywiście, Tolliver badał się regularnie i zawsze używał prezerwatyw.

–Teraz jesteśmy razem – powiedział niby oznajmująco, ale wiedziałam, że kryje się za tym pytanie.

–Tak – odpowiedziałam. – Jesteśmy razem.

–I nie będziesz sypiała z nikim innym.

–Nie będę. A ty?

–Nie. Mam ciebie.

–Dobrze.

Tak więc oficjalnie byliśmy parą. Dziwnie się czułam, kiedy przygotowawszy się do snu,

wchodziłam do łóżka Tollivera.

–Nie musimy zawsze sypiać razem. Niektóre łóżka mogą być

za wąskie albo jeszcze bardziej zdezelowane niż to. Ale chcę spać

z tobą. Spać w sensie spania.

Ja też chciałam. Zасыianie przy nim okazało się łatwiejsze, niż sądziłam. Leżąc obok Tollivera, wsłuchując się w jego oddech, zasnęłam nawet szybciej niż zwykle. Już dawno nie przespałam z nikim nocy w jednym łóżku, może nawet nigdy, odkąd dzieliłyśmy postanie z Cameron. Moje przygody na jedną noc zwykle nie trwały tak naprawdę całej nocy.

Budziłam się kilkakrotnie, żeby potwierdzić nową sytuację, i zaraz znowu zasypiałam. Podczas jednego z takich przebudzeń dostrzegłam światelko wibrującej komórki, którą zostawiłam obok na podłodze. Sięgnęłam po nią.

–Halo? – mówiłam szeptem, żeby nie obudzić Tollivera.

–Harper?

–Tak?

–Ona odeszła.

–Tak mi przykro, Manfredzie.

–Harper... Wydaje mi się, że ktoś jej pomógł. Nie było mnie wtedy na sali.

–Manfred! Nie mów takich rzeczy głośno! I uważaj, czy ktoś cię nie podsłuchuje. Gdzie jesteś?

–Stoję przed szpitalem.

–Dlaczego sądzisz, że ktoś ją zamordował?

–Bo zaczynała wracać do siebie. Pielęgniarka powiedziała, że

może niedługo babcia nawet zacznie mówić. A potem nagle umarła.

–Chcesz, żebyśmy do ciebie przyjechali?

–Nie, nie teraz. Rano. Teraz jest strasznie. Nic na to nie poradzicie. Zostańcie w domu. Zobaczymy się rano, dobrze? Matka też powinna już dotrzeć.

–Dobrze, ale posłuchaj mnie. Wracaj do motelu, zamknij się w pokoju. Nie jedz i nie pij nic w szpitalu, słyszysz? – Gorączkowo myślałam, co jeszcze mu poradzić. – I staraj się nie zostawać sam. Dobrze?

–Tak, słońce, rozumiem. – Był chyba półprzytomny. –

Wsiadam do wozu i jadę do motelu.

–Koniecznie daj znać, jak będziesz na miejscu.

Zadzwoił dziesięć minut później, mówiąc, że siedzi już w

pokoju i ma drzwi zamknięte na klucz. Poza tym po drodze spotkał kilku reporterów, którym powiedział, że ktoś go śledzi. Poruszeni na tyle, na ile pozwalał im stan upojenia, udali oburzenie, że ktoś w takiej chwili śmie zakłócać żałobę wnukowi. Jakimś cudem wiedzieli już o śmierci Xyldy. Może opłacali kogoś z personelu szpitalnego, żeby im donosił o wszystkim.

Całe to zamieszanie nie obudziło Tollivera – fakt, który zdumiewał mnie, dopóki nie przypomniałam sobie o jego wysiłku na świeżym powietrzu. Napracował się, pomagając Tedowi Hamiltonowi. Podczas popołudniowych karesów też się nie oszczędzał.

Ostatnią rozmowę z Manfredem skończyłam koło trzeciej nad ranem. Potem leżałam chwilę, modląc się za niego. Spokojna, że siedzi bezpieczny w motelu, a Xyldzie i tak nie mogę już pomóc, zasnęłam.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

W pewnym momencie włączył się prąd. Musiało to nastąpić w okolicach świtu, bo zapalone lampy nas nie obudziły. Leżałam przez chwilę, zastanawiając się, dlaczego zostawiliśmy na noc światło. Potrzebowałam kilku sekund, żeby zrozumieć, co się stało. Powrót elektryczności przyjąłam z mieszanymi uczuciami, z oczywistych powodów, jednakże przeważały względy praktyczne. Wysunęłam spod koca stopę. Nie zamieniła się natychmiast w sopol. Uśmiechnęłam się zadowolona. Ramię też jakoś mniej bolało.

Wygrzebałam się z łóżka i poszłam do łazienki. Wykonałam okrojone zabiegi toaletowe, nawet zdołałam się ubrać. Biustonosza nie zakładałam w ogóle. Przy tej ilości ubrań, jaką na siebie nakładaliśmy, nie miało to znaczenia. Bo kto zauważy? No, chyba że policja. Usiadłam, usiłując nałożyć skarpety. Tak pochłonęło mnie to zadanie, że w pierwszym momencie nie usłyszałam pukania. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że słyszałam kroki na schodach.

Ucieszyłam się niezwykle, że otworzę ubrana. W końcu przedstawiałam wszędzie Tollivera jako swojego brata. Co prawda drugie łóżko było nietknięte, ale przecież mogłam wstać dużo wcześniej i zdążyć je już zaścielić. W każdym razie nie musiałam się tłumaczyć i nie byłam narażona na zgorzone spojrzenia gości.

Okazało się, że Sandra Rockwell ma na głowie ważniejsze sprawy niż dociekanie naszych łóżkowych zwyczajów. Tolliver usiadł przebudzony, kiedy wpuszczona przeze mnie szeryf zaczęła kręcić się po izbie.

–Dzień dobry, pani szeryf, co nowego? – powitałam ją.

Sandra zerknęła pod łóżka, zajrzała do łazienki, po czym

podniosła klapę i zeszła na dół. Kiedy wyłoniła się z magazynku, na jej twarzy malowała się ulga, jeśli nie zadowolenie.

–Nie podoba mi się to, co pani robi – fuknął Tolliver i zły

ledwie stanął bokiem, kiedy zdejmował piżamę i zakładał spodnie.

Przyjrzała mu się nazbyt dokładnie, jak na mój gust. Miałam

ochotę ją za to sprać.

–Widzieliście Chucka Almanda? – zapytała.

Słowo „zaskoczenie” nie opisuje tego, co poczułam.

–Nie, w każdym razie nie od wczoraj. Spotkaliśmy się z nim, owszem, ale od tamtej pory byliśmy cały czas tutaj. Czemu pani pyta? Coś mu się stało?

–Nie, to wy mi powiecie, co się stało. Dokładnie.

–Hm. Jasne. Chciałam się upewnić, że niczego nie przeoczyłam podczas poszukiwań w stodole. Miałam przeczucie, że mogę dowiedzieć się więcej. Wróciliśmy tam. Wiem, to nierozsądne, ale liczyłam, że uda nam się wślizgnąć i wyjść niezauważenie. Wtedy nakrył mnie Chuck. Wściekł się, uderzył mnie w brzuch.

–Uderzył panią? – Nie wydawała się zdziwiona. Zapewne przesłuchała wcześniej Toma.

–Tak, w brzuch.

–Na pewno była pani na niego zła.

–Cóż, nie podziękowałam mu.

–Pani brat tym bardziej, co?

–Ja tu jestem – warknął Tolliver. – Owszem, byłem zły. Ale wtedy wszedł Tom Almand, a chłopak był zdenerwowany, więc odpuściliśmy.

–I nie zgłosiliście zajścia?

–Nie, nie zgłosiliśmy. Pomyśleliśmy, że macie ważniejsze rzeczy do roboty. – Wiedziała, że nie dzwonił na posterunek. Sprawdzała nas, szukając jakichś nieścisłości w zeznaniach. Czułam się coraz gorzej. Wycieczka do stodoły była moim pomysłem, to ja podjęłam błędną decyzję i jeśli coś się stało Chuckowi, niewykluczone, że to także moja wina.

–Nikt nie wie, gdzie on jest? – zapytał Tolliver. – Kiedy zniknął?

–Jak na razie ustaliłam, że jeden z terapeutów z ośrodka wpadł do nich jakąś godzinę po incydencie w stodole. To znajomy i współpracownik Toma. Miał porozmawiać z Chuckiem, pomyśleć, jak mu pomóc. – Szeryf skrzywiła się. Najwyraźniej nie wierzyła w skuteczność terapii w przypadku chłopca. – Tom zaczął szukać syna, ale nie mógł go nigdzie znaleźć. Terapeuta wyręczył ojca i sam do nas

zadzwoił. Potem obdzwoił kolegów Chucka. Żaden go nie widział.

–A w mieście? Może ktoś przypadkiem go zauważył?

–Na razie nikt się nie zgłosił. Pomyśleliśmy, że może

przyszedł do was, żeby dokończyć to, co zaczął. Albo przeprosić.

Trudno powiedzieć, co takiemu dzieciakowi mogło strzelić do

głowy.

Do chaty wszedł Rob Tidmarsh, otrzepując przed progiem buty.

–Nic tu nie ma, szeryfie – zaraportował.

Ach, więc ona nas tu trzymała, a jej pomagier po cichu

przeszukiwał obojście. Cóż, nic nie ukrywaliśmy, więc nie było o co kruszyć kopii.

Wykonywała po prostu swoją pracę.

–Chyba powinniśmy skontaktować się z naszym prawnikiem

–powiedziałam.

–Już do niego dzwonię – zareagował Tolliver.

–A może – Sandra podniosła głos – natknęliście się na Chucka i postanowiliście dać mu nauczkę? – ciągnęła, patrząc na Tollivera, zupełnie jakby uważała, że nasyłam go na każdego, kto mi zagrozi.

–Nie wychodziliśmy stąd od popołudnia – rzekł Tolliver. – Mieliliśmy telefony... Harper, o której dzwonił Manfred?

–Ostatni raz koło trzeciej.

–Macie rejestr rozmów w komórce? – zapytała szeryf. – A ten Manfred rozmawiał także z panem? – Popatrzyła nieprzyjaźnie na Tollivera.

–Nie, rozmawiał tylko ze mną, ale Tolliver spał obok.

–Więc nie potwierdzi, że rozmawiał z panem Langiem?

–Może słyszał go w tle, ale bezpośrednio z nim nie rozmawiał. – Decyzja o porozumieniu się z prawnikiem z Atlanty stawała się coraz bardziej realną opcją. Art Barfield zbił ostatnio na nas majątek, byłam pewna, że nie ma nic przeciwko

dodatkowemu zarobkowi.

–Nie mam w zwyczaju napastować chłopców – uniósł się Tolliver. – W przeciwieństwie do kogoś w tym mieście. Czemu czepiacie się mnie, zamiast szukać zabójcy? Chyba bardziej prawdopodobne, że zniknięcie Chucka to jego sprawka? A jeśli tak, to pewnie nie ma wiele czasu do stracenia.

Widziałam, jak Sandra Rockwell zaciska szczęki, podejrzewałam, że zazgrzytała zębami.

–Myśli pan, że go nie szukamy? – wycedziła. – Jego kryjówka została spalona, nie mamy zielonego pojęcia, gdzie mógłby zabrać chłopaka. Przeszukaliśmy każdą szopę, stodołę i każde opuszczone domostwo w hrabstwie, teraz sprawdzamy inne możliwości. Jest pan jedną z nich, najbardziej prawdopodobną. I jedyną, jak na razie.

Nie zgadzałam się z nią co do tego prawdopodobieństwa, ale z drugiej strony, rzeczywiście mieliśmy spięcie z ojcem Chucka. Jednak miałam jeszcze coś do dodania.

–Przeprosił mnie.

–Co proszę?

–Chuck powiedział, że przeprasza. Za to uderzenie. I chciał, żebym później go odszukała.

–Dlaczego? Ma pani jakiś pomysł? Gdzie w tym jakiś sens? – Zastępca towarzyszący szeryf patrzył na mnie, jakbym nagle zaczęła szczekać.

–Przyznam, że w pierwszej chwili... Pomyślałam, że to efekt jakichś zaburzeń psychicznych. Dziwnie wyglądał, kiedy to mówił.

–A teraz co pani myśli?

–Teraz sama już nie wiem, co myśleć.

–Niezbyt to pomocne.

–Nie jestem żadnym terapeutą, psychiatrą czy psychologiem policyjnym. Ja tylko odnajduję ciała.

Odnajduję ciała... Chuck o tym wiedział. Prosił, żebym go odnalazła.

–W takim razie panią też powinniśmy włączyć w poszukiwania.

Ogarnęły mnie straszliwe wyrzuty sumienia. Jak mogłam pomyśleć, że świat byłby lepszy, gdyby Chucka Almanda na nim nie było? Oczywiście nie znałam wtedy jeszcze drugiego oblicza Chucka, tego, które ukazał mi, przeprasząc, że jest zmuszony mnie uderzyć.

Tolliver zaczął coś mówić, ale urwał w pół słowa. Popatrzyłam na niego. To nie była odpowiednia chwila, żeby przypominać o gratyfikacji za moją pracę. Dobrze, że sam to wyczuł. Nie, nie czytałam w jego myślach, po prostu dobrze się znaliśmy.

–Gdzie mam szukać? – zapytałam. Własny głos docierał do mnie jakby z oddali.

Szeryf zacukala się na moment.

–Wiedziałyby pani, że ciało jest świeże, tak?

–Owszem.

–W takim razie sprawdzimy wszystkie prawdopodobne miejsca.

Pomyślałam o Manfredzie, który siedzi w szpitalu lub swoim pokoju motelowym i czeka, aż się pojawimy. Przed oczami stanęła mi droga, którą mogliśmy wyjechać z miasta, zostawiając to wszystko za sobą. Ale cóż mogłam powiedzieć? Przecież chodziło o życie dziecka. Szeryf oczywiście liczyła, że to skłoni mnie do udzielenia pomocy.

–Możemy iść od razu? – zapytała. – Później wpadniemy tu i zgarniemy pana Langa.

–O, nie, nie – zaprotestowałam z miejsca. – Bez niego nigdzie się stąd nie ruszę.

Po prawdzie Tolliver mógłby w tym czasie jechać do Manfreda... Ale nie. Lepiej, żebyśmy trzymali się razem. To egoistyczne, wiem, ale nie zamierzałam ustępować.

Kiedy Tolliver zniknął w łazience, postanowiłam wykorzystać Sandrę Rockwell do pomocy przy wiązaniu butów. Zastępca Tidmarsh usiłował powstrzymać parsknięcie, ale chyba się nie przyłożył. Szeryf natomiast nie zgłosiła sprzeciwu, moje

ciepłe górskie buty zostały zawiązane w jednej chwili. Wrzuciłam do kieszeni porcję tabletek na cały dzień, a mając trochę czasu, ogarnęłam z grubsza izbę. Spróbowałam też przysypać ogień żarem, żeby łatwo było go później rozpać. Na razie odzyskaliśmy elektryczność, ale w każdej chwili znów mogli ją wyłączyć. Kominek pozostawał najpewniejszym źródłem ciepła. Miałam przeczucie, że będziemy zmuszeni spędzić w chacie kolejną noc.

Manfred chyba lepiej poradziłby sobie z tym zadaniem. Może udałoby mu się jakoś wyczuć Chucka, gdyby zaczął poszukiwania od domu lub stodoły. Z drugiej strony, prośenie go o to w takiej chwili byłoby nieludzkie. Poza tym mógłby nie podołać. Twierdził, że jego dar jest dużo słabszy niż babki. Miałam na ten temat odmienne zdanie, ale liczyło się jego przekonanie.

Tolliver nie spieszył się zbytnio, więc skorzystałam i zadzwoniłam do Manfreda. Miał bardzo smutny głos, ale brzmiał już przytomniej. Wyjaśniłam mu sytuację, uprzedzając, że zjawimy się później. Jego matka jeszcze nie dojechała, ale sytuacja na drogach poprawiła się, więc spodziewał się, że niedługo ją zobaczy.

–Podjedziemy do ciebie później. A na razie trzymaj się i bądź ostrożny.

–Nie ufam tu nikomu – żalił się. – Ani lekarzom, ani pielęgniarkom, ten przerośnięty intendent, czy kim tam jest, wydaje mi się jakiś podejrzany. Nawet na widok kapelana ciarki chodzą mi po plecach. Myślisz, że popadam w paranoję? Uważasz, że coś w tym jest? Że mogę mieć rację?

–Trudno powiedzieć.

–A, jasne, jest z tobą szeryf – mruknął Manfred ponuro. – Wiesz, Harper, po prostu nie mogę się uwolnić od wrażenia, że coś tu jest nie tak. I to bardzo.

–W Doraville? Czy konkretnie w szpitalu?

–Nie umiem tego sprecyzować – odrzekł po zastanowieniu. – Nie mam takiego daru jak babka.

–Uważam, że się mylisz. Potrzebujesz tylko trochę

doświadczenia. Jestem przekonana, że masz to coś.

– Nawet nie wiesz, ile twoje słowa dla mnie znaczą. Słuchaj, muszę iść. Mam pewien pomysł.

Nie brzmiało to dobrze. Chyba chciał zadziałać na własną rękę. A pozostawieni samym sobie młodzi mężczyźni źle kończyli w Doraville.

Oddzwoniłam natychmiast. W końcu po kilku sygnałach odebrał.

– Co chcesz zrobić? – zapytałam. Tolliver wyszedł nareszcie z łazienki, czysty i pachnący. Słyszając zaniepokojenie w moim głosie, skamieniał z naręczem brudnych ubrań.

– Idę poszukać tego chłopca – odparł Manfred.

– Nie, nie ruszaj się nigdzie sam! Musisz mi powiedzieć, gdzie chcesz zacząć?

– Nie chcę, żebyś znów wpadła w jakieś tarapaty.

– Nie martw się, jest przecież z nami szeryf. To gdzie się wybierasz?

– Do stodoły. Tam muszę zacząć.

– Nie, Manfred, nie idź sam, zaczekaj na nas.

– Spotkamy się na miejscu.

Jednakże jazda z nad jeziora zajęła nam więcej czasu niż jemu ze szpitala.

Wyjaśniłam obecnym sytuację.

– Przeszukaliśmy tę stodołę – pieniała się szeryf. – Cal po calu.

Boksy są nienaruszone, w klepisku już nic nie ma, poza tym nie ma tam już gdzie cokolwiek ukryć. Budynek jest prawie puściusieńki, ściany ma cienkie, przeszukaliśmy wszelkie możliwe miejsca. Na sto procent nie ma tam żadnych martwych zwierzaków, a pani sama mówiła, że ciał ludzkich nie ma tym bardziej.

– Owszem, nie ma – przyznałam. – Żadnych ciał. Przynajmniej

nie było ich, kiedy szukaliśmy... O cholera! Pospieszmy się! – Złe

przeczcucia, które kiełkowały w mojej głowie, rozkwitły naraz w straszliwe podejrzenia. Do końca podróży nie odezwałam się już ani słowem.

Wsiadliśmy do radiowozu i pięć minut później jechaliśmy główną szosą. Ruch był minimalny, a warunki o niebo lepsze, ale i tak mieliśmy przed sobą jakieś dwadzieścia minut do centrum plus kolejne dziesięć do domu Almandów.

Tym razem nie musieliśmy się zakradać do stodoły od tyłu. Zaparkowaliśmy na podjeździe przy domu. Natychmiast wyskoczyłam z samochodu. Mięśnie bolały mnie bardziej niż wczoraj, na dodatek ograniczałam tabletki przeciwbólowe, czułam więc każdy krok.

Tolliver szybko znalazł się przy mnie, obejmując w pasie. Wspierając się na nim, ruszyłam zarośniętym traktem wiodącym do stodoły. Po drodze dostrzegłam stojący poza parcelą samochód Manfreda.

Bardzo szybko poczułam silne wibracje. Bardzo świeże zwłoki.

–Nie – szepnęłam, przyspieszając. – Tylko nie to.

Puściłam się biegiem. Tolliver złapał mnie za ramię,

spowalniając. Szeryf dostrzegła moje podenerwowanie, ona i

zastępca wyprzedzili nas szybko. Biegając, wyciągnęła broń. Zrobiła to chyba bezwiednie.

Wpadliśmy do zrujnowanego budynku i zatrzymaliśmy się jak wryci.

Tom Almand stał z tyłu, przy boksach, z łopata w dłoni. Przed nim z trudem podnosił się z ziemi Manfred. Miał rozbitą głowę, krwawił. Ale sam też nie był bezbronny. W rękę trzymał niewielką saperkę. Ostrze lśniło nowością, prawdopodobnie dopiero co ją kupił, może nawet po drodze do stodoły. Najwyraźniej jeszcze jej nie użył.

–Tom, odłóż łopatę – nakazała szeryf stanowczo.

–Najpierw on – sprzeciwił się Tom. – Chciał mnie zaatakować.

–Nieprawda – zaprotestował Manfred.

–Nie? Proszę, jak wygląda – prychnął pogardliwie Tom. – I włamał się tu. To moja posesja.

–Tom, odłóż łopatę, natychmiast!

–Jest tu ciało – przerwałam im. – Teraz jest tu ciało –

chciałam, żeby mnie dobrze zrozumieli. I żeby szybko załatwili

sprawę z Almandem.

Manfred cofnął się, odkładając saperkę na klepisko.

Tom, nie bacząc na nic, zamachnął się na niego. Huknęły dwa strzały. Zastępca chybił, ale szeryf trafiła Toma w ramię. Mężczyzna krzyknął, zginając się wpół.

Przytuliliśmy się z Tolliverem do ściany, obserwując, jak szeryf podbiega do krwawiącego terapeuty. Manfred padł na kolana, trzymając się za głowę. Nie był to gest poddania, po prostu rana dała mu się we znaki i zasłabł.

Ruszyliśmy ku niemu.

–Cofnijcie się! – powstrzymała nas szeryf. – Trzymajcie się z

daleka!

Cóż było robić? Sandra kopnęła łopatę poza zasięg Toma, po czym wyjęła komórkę, żeby wezwać karetkę. Mimo kuli w ramieniu zakuła go w kajdanki i porządnie przeszukała. Nie miał innej broni. Nie zareagował, kiedy wyrecytowała standardową formułkę o przysługujących mu prawach. Nie drgnął mu nawet mięsień na twarzy, w oczach miał pustkę, tak jak wtedy, gdy ujrzałam go w kościele. Uciekł gdzieś w głąb siebie.

–Nadal wyczuwa pani te zwłoki? – zapytała szeryf po dopełnieniu wszystkich procedur. Byłam oniemiała tym, co się stało, przytłoczona grozą na widok agresji Toma i strachem o Manfreda, więc dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że zwraca się do mnie. Rana Toma nie zrobiła na mnie wrażenia. Jak dla mnie, mógłby się wykrwawić na śmierć do przyjazdu karetki.

–Tak – powiedziałam. – Ten ktoś nie żyje od bardzo niedawna. Mam pani pokazać, gdzie leży?

–A jak blisko musi pani podejść?

–Do pierwszego boksu.

–Dobrze, proszę iść. Obeszłam ostrożnie rannych oraz ich strażników, wstępując na starą słomę. Zaczęłam ją rozgarniać butami. Spadała, zasypując miejsce, które chciałam odkryć, więc schyliłam się, żeby wyrzucać ją poza boks.

–Tolliver! – zawołałam. Podbiegł natychmiast, żeby mi pomóc.

Przydałaby się łopata, ale nawet o tym nie wspomniałam.

–Patrz, to zasuwka? – wskazałam.

–Szkoda, że nie mamy latarki – pożałował Tolliver i ta zaraz

wylądowała u naszych stóp. Szeryf Rockwell miała przy sobie wszystko. Tolliver skierował strumień światła na ziemię. – Tu jest jakaś kłapa!

Szeryf zakląła brzydko. Pewnie brała czynny udział w przeszukaniu stodoły.

Tom roześmiał się głośno. Odwróciłam głowę, obrzucając spojrzeniem scenkę na środku klepiska. Mina zastępcy wyraźnie mówiła, że ledwie się powstrzymał, by nie kopnąć aresztowanego w głowę. Z zewnątrz dobiegły nas odgłosy silników. Chciałam otworzyć kłapę, zanim dotrą tu ratownicy i zrobi się jeszcze większe zamieszanie.

Tolliver odszukał zasuwę. Była bardzo masywna, ktoś zamknięty na dole nie byłby w stanie wydostać się o własnych siłach. Potrzebowaliśmy czegoś, czym moglibyśmy ją odbić, więc Tolliver podniósł leżącą koło Manfreda saperkę. Z pomocą narzędzia i niewielką moją, udało mu się po chwili otworzyć kłapę. Huknęła o podłogę, wzbijając tuman kurzu. Była niezwykle ciężka. Jak się okazało, istniała ku temu przyczyna – od spodu wzmocniono ją i wyposażono w grubą warstwę izolacji, która tłumiała wszelkie dźwięki z dołu.

Zajrzałam do środka. Do komory, głębokiej na jakieś dwa i pół metra, o powierzchni około czterech, schodziła drewniana drabina. Przy najniższym szczeblu leżało ciało Chucka Almanda. W zmasakrowanej strzałem głowie ostały się nienaruszone oczy, spoglądające martwo prosto na nas.

Trochę dalej za zwłokami, przykuty do ściany, kulił się nagi chłopiec. Przez taśmę, którą miał zaklejone usta, wydobywały się nieartykułowane piski. Chłopiec wykręcał głowę, spoglądając na właz. Nigdy w życiu nie widziałam takiego wyrazu twarzy i mam

nadzieję, że już nigdy nie ujrzę. Pokryty był krwią, która częściowo wysączyła się z

jego własnych ran, a częściowo pochodziła z rozbryzgu po strzale. W nacięcia na jego ciele wdała się infekcja, świadczyła o tym opuchlizna oraz zaognione brzegi. Pozbawiony ubrania oraz jakiegokolwiek koca czy innego okrycia, spędził w tej dziurze przynajmniej jedną noc w towarzystwie trupa.

Wybiegłam ze stodoły i zwymiotowałam. Jeden z ratowników podbiegł ku mnie, ale machnęłam ręką, kierując go do budynku.

Tolliver zastał mnie opartą o nieheblowane deski ściany. Dałabym wszystko, żeby być gdziekolwiek, byle nie tu.

–Zabił się, żebyś go odnalazła – powiedział. – Żebyś odkryła, co robi jego ojciec.

–Liczył, że go znajdę – wydukałam przez ściśnięte gardło. – Rany boskie, gdybyśmy nie wrócili? Gdybym nie zrozumiała, co do mnie mówi, wszystko poszłoby na marne.

–A gdyby Manfred nie uparł się, że trzeba ponownie
sprawdzić stodołę?

–Myślisz, że Tom, zgłaszając zaginięcie, cały czas wiedział, gdzie jest jego syn?

–Nie wiem, może nie miał okazji sprawdzić kryjówki. Sandra mówiła, że to nie on zawiadomił policję o zniknięciu Chucka, tylko ten jego znajomy terapeuta.

–Nie chcę już nigdy w życiu oglądać czegoś podobnego -wzdrygnął się Tolliver.

–Poświęcił się – wybełkotałam, nie mogąc zebrać myśli. – I mało brakowało, a na nic by się to nie zdało.

–Nie myślał logicznie – ocenił Tolliver bardzo oględnie. – Miał tylko dwanaście lat.

Ze stodoły wyłoniły się nosze, a na nich Manfred, trupio blady, wpatrzony nieruchomo w niebo.

–Manfred! – zawołałam, żeby dać mu znać o naszej
obecności. Miałam nadzieję, że poczuje się bezpieczniej, wiedząc,
że są tu jego przyjaciele. Ale jego twarz nie zmieniła się ani na
jotę.

Później wywieziono Toma Almanda. Leżał z przymkniętymi oczyma i twarzą wykrzywioną w groteskowym grymasie. Był przykuty do noszy za przegub zdrowej ręki, drugie ramię miał zabandażowane. Miałam nadzieję, że postrzał jest bolesny,

zastanawiałam się też, czy szeryf celowała w ramię. W tych okolicznościach mogła dobrze nie wymierzyć, ale z drugiej strony – na pewno potrafiła świetnie strzelać.

Może dobrze, że dostał tylko w ramię. Może dzięki temu jego ofiary i ci, którzy przeżyli, doczekają się satysfakcjonującego procesu oraz wyroku skazującego. Bo przecież zostanie postawiony przed sądem i skazany, prawda? Na pewno będziemy śledzić w wiadomościach wszystkie informacje dotyczące tej sprawy. Media uwielbiają procesy seryjnych zabójców bez względu na preferencje czy kolor skóry oskarżonego. Nie dyskryminują nikogo, pod żadnym względem.

Zdałam sobie sprawę, że moje myśli rozbiegły się po jakichś kompletnie irracjonalnych bezdrożach. Doszłam też do wniosku, że nic tu po nas. Niestety, w stronę stodoły jak do pożaru pędzili agenci SBI. Nie łudziłam się, że zostawią nas w spokoju. Kiedy Klavin i Stuart przystanęli przy nas, nawet nie byli zdyszani. Mieli formę.

–Ach, to znowu wy – powitał nas Stuart. Miał na sobie

firmową kurtkę do pół uda, grube rękawice oraz lśniące wysokie

buty. Wyglądał jak wycięty z reklamy dla himalaistów. Ubiór Klavina był nieco bardziej stonowany, składał się z podniszczonej nieprzemakalnej parki oraz ciepłej uszanki.

–Popełnił samobójstwo – poinformowałam ich. Na pewno byli zainteresowani.

–Kto? – Odniosłam wrażenie, że Stuart ma ochotę mną potrząsnąć, tak mu się spieszyło, żeby wszystkiego się dowiedzieć.

–Chuck Almand. Zastrzelił się.

–Kto jest w karetce? – dopytywał się Klavin.

–Stary Almand i Bernardo – odparł Tolliver.

Agenci popatrzyli po sobie.

–Ojciec chłopca i wnuk jasnowidzącej – wyjaśnił Tolliver, widząc ich konfuzję.

–Tej, co umarła w nocy? – upewnił się Stuart.

–Tak, tej samej. Manfredowi też mało brakowało – rzuciłam. – Jest też ostatnia ofiara, żywa – dodałam, z zadowoleniem obserwując, jak agenci znikają w stodole. Pędzili, aż się za nimi kurzyło.

–Czemu go jeszcze nie wywieźli? – zastanawiał się Tolliver. Zapuścił żurawia do

środką, ale szybko cofnął się. Nie miał ochoty wchodzić znowu do budynku, podobnie zresztą jak i ja.

–Może nie mogą go uwolnić – wysunęłam przypuszczenie. Tolliver kiwnął głową. Wydawało się to sensowne.

–Ciekawe, kto to – podjął Tolliver po chwili. Pogoda, choć odrobinę lepsza, nadal była kiepska. Marzliśmy, stojąc bez ruchu.

Tolliver objął mnie, a ja przylgnęłam do niego w poszukiwaniu ciepła.

–Dowiemy się – powiedziałam, muskając ustami jego szyję. –

Będzie o tym w wiadomościach i w gazetach.

Torturowany, poraniony chłopiec, kulący się pod ścianą tej koszmarnej dziury. Dobry Boże, nie do tego stworzyłeś ludzi.

Dawno już nie myślałam chrześcijańskimi kategoriami, zaskoczyło mnie to. Nie buntowałam się, nie zapytywałam: „Dlaczego, Boże?”. Takie rozważania były złe, do niczego nie prowadziły. Oczywiście nigdy dotąd nie natknęłam się na takie potworności, nawet w żadnych grobach sąsiadujących z tymi, które odczytywałam.

–Chuck uratował mu życie – powiedziałam drewnianym głosem. – Dał mi coś, co mogłam odnaleźć.

–Myślisz, że to naprawdę on mordował te zwierzęta?

–Może ojciec go zmuszał, bo chciał mieć następcę, kogoś, kto będzie kontynuował jego dzieło. Może uważał, że jeśli wzbudzi w nim poczucie winy, to Chuck go nie wyda.

–Xylda nie miała raczej wątpliwości, że to Chuck.

–Może miała rację, a może nie. Nie chciałabym myśleć, że myliła się w swojej ostatniej wizji.

–Uhm. Niewykluczone, że to jej reakcja, obrzydzenie,

potępienie skłoniły Chucka do ujawnienia tajemnicy, jak sądzisz?

Wiesz, od tamtej pory wszyscy traktowali go z niechęcią i odrazą.

A jego ojciec udawał, że robi to samo. Mimo że wiedział, jak jest

naprawdę, a syn natomiast, że ojciec wie.

–Chuck był bohaterem. Udało mu się przeżyć, mieszkając z kimś, kto mordował chłopców dla przyjemności.

–Ale nikomu o tym nie powiedział.

–Mógł nawet nie wiedzieć, póki sprawa zwierząt nie wyszła na jaw. Wtedy mógł się dopiero zorientować, że to ojciec jest mordercą. Albo, co gorsza, usłyszał to właśnie od ojca. Na przykład: „Teraz wszyscy myślą, że jesteś zły i pokrecony. Pokażę ci coś naprawdę złego i pokreconego. Widzisz? Podoba ci się?”.

–Albo wiedział od samego początku – Tolliver snuł bardziej prawdopodobną wersję. – Ale milczał z miłości do ojca bądź ze strachu. Być może nawet podobało mu się dręczenie zwierząt, miał wtedy poczucie wspólnoty z ojcem. Niewykluczone, że pomagał też przy chłopcach. Na pewno byłby przydatny. Niektóre ofiary były duże, silne, wysportowane, ciężkie. Futboliści. Młodzi ludzie, którzy właściwie osiągnęli już wagę i wzrost dorosłych. Szczerze mówiąc, nie wiem, jak taki mizerak jak Tom dawał sobie z nimi radę sam.

–A jednak to Chuck położył temu kres. – Wtuliłam twarz w kurtkę Tollivera. Poglądził mnie po włosach, uważnie omijając opatrunek na głowie. Zrobiło mi się odrobinę lepiej.

W końcu ratownicy wywieźli okrytego kocami chłopca. Był podłączony do kroplówki i przypięty bezpiecznie do noszy. Spod przymkniętych powiek płynęły mu łzy, rozmazując brud i krew na twarzy.

–Jak się nazywasz? – pytała idąca obok szeryf.

–Mel – wyszeptał chłopiec. – Mel Chesney. Mieszkam w Queen's Table, koło Clearstream.

–Mel, jak długo tam siedziałeś? – Z drugiej strony noszy szedł Klavin.

–Dwa dni. Chyba dwa dni – odpowiedział chłopiec. I po

chwili: – Nie chcę o tym mówić.

Nie dziwiłam mu się.

Z tego wynikało, że znajdował się w stodole wczoraj, podczas naszej rozmowy z Chuckiem. Gdyby Chuck nam powiedział, dał jakoś znać... Ale wtedy wszedł jego ojciec, może po prostu nie mógł. Zastanawiałam się, czy Mel siedział już tam na dole,

kiedy

policja odkopywała szczątki zwierząt. Boże, musiał przeżywać koszmar.

Pewnie wszyscy obecni myśleli o tym samym. Mel Chesney spędził kilka godzin sam w ciemnościach, a potem całą noc z trupem i perspektywą kolejnych tortur, śmierci. Cud, że nie umarł z wyziębienia.

Nikt nas nie powstrzymał, kiedy ruszyliśmy w kierunku radiowozu. Jednak i tak sami nie mieliśmy jak wrócić do chaty.

–Rob, zawieź ich na posterunek – nakazała szeryf i Tidmarsh

podniósł rękę na znak, że zaraz idzie.

Sandra obrzuciła nas niechętnym spojrzeniem. Byliśmy dla niej męczącym problemem, którego musiała się pozbyć, żeby skupić całą uwagę na ważniejszych sprawach.

–Musimy zabezpieczyć miejsce, a to trochę potrwa – rzekła, potwierdzając moje przypuszczenia. – Poczekacie na posterunku, a jak będę miała kogoś wolnego, to wyślę go, żeby zawiózł was nad jezioro.

–A Rob nie mógłby zawieźć nas tam stąd?

–Rob ma podjechać do biura po filmy do aparatu.

Kryminaliści stanowią już tu jadą, ale chcemy mieć własną

dokumentację. Rob musi tu wracać w te pędy, w tym momencie to

priorytetowa sprawa w hrabstwie. Na razie musicie się uzbroić w

cierpliwość.

Ostatnio cierpliwość trenowaliśmy już na poziomie mistrzowskim.

Cóż, nic nie mogliśmy na to poradzić. Bez względu na stopień irytacji, a ten osiągnął u mnie punkt wrzenia, Tidmarsh dowiezie nas tylko na posterunek.

–Zawiozą chłopca do tutejszego szpitala? – zapytałam

zastępcy.

–Nie, pojedzie do Asheville, tam jest większa placówka, SBI sobie tak zażyczyło. A przecież my też mamy dobrych lekarzy -poskarżył się urażony.

–To prawda, miałam tu świetną opiekę – potwierdziłam. Szczerze mówiąc, zrobiłam to, żeby zaskarbić sobie jego przychylność, w razie gdyby odwoził nas nad jezioro, ale faktycznie nie mogłam narzekać. Pewnie żaden z małomiasteczkowych szpitalików nie dysponował ogromną ilością najnowocześniejszego sprzętu, ale tu nadrabiano to przyjaznym podejściem do pacjenta. Pielęgniarek nie było wiele, miały masę roboty, ale odnosiły się miło do pacjentów i naprawdę pomagały.

Rob rozchmurzył się trochę.

Dziwnie się czułam, jadąc przez miasto w radiowozie, na tylnym siedzeniu, odgradzona od kierowcy kratą. Zupełnie jakbym naprawdę zrobiła coś złego, poza tym miałam wrażenie, że wszyscy na mnie patrzą. Kiedy Rob zaparkował za posterunkiem, rzuciła się na nas hurma reporterów, wykrzykując pytania o nasze aresztowanie. Niech to szlag. Nie miałam ochoty tłumaczyć się komukolwiek. Dziwne, że te sępy czaiły się tutaj, zamiast okupować stodołę.

–Zachowywaliśmy ciszę radiową – wyjaśnił Rob. –

Korzystaliśmy tylko z komórek.

Był w nieco lepszym nastroju. Wyświadczył nam przysługę, towarzysząc mi swobodnie do wejścia i przytrzymując drzwi. W ten sposób dawał reporterom do zrozumienia, że jestem tu na prośbę policji, w sprawach zawodowych.

Na posterunku panował chaos. W budynku wrzało od najświeższych informacji, a wydostanie się ich na zewnątrz było

tylko kwestią czasu. Rob nie bardzo wiedział, co z nami począć. W końcu upchnął nas w pokoju przesłuchań, poinstruował, gdzie znajdują się automaty do napojów i przekąsek, wspomniał też o czasopiśmie leżącym w holu. Strasznie się spieszył, żeby zabrać filmy i wrócić do stodoły, więc kiwnęliśmy tylko głowami i pożegnaliśmy się.

Czekało nas kilka godzin nudy. A moglibyśmy ten czas spożytkować lepiej, na przykład wyjeżdżając z Doraville, konsumując nasz nowy związek – pomysł Tollivera, który zresztą bardzo mi się podobał, choć szczerze mówiąc, byłam nieco poobcierana tu i ówdzie, poza tym nadwerężałam ostatnio chore ramię. Moglibyśmy też jechać na miejsce kolejnego zlecenia, coś zarobić. Ale nie, siedzieliśmy beczynnym w ponurym pokoju.

Po jakimś czasie przenieśliśmy się dla odmiany do holu. Kupiliśmy słodczyce, obłożyliśmy się czasopismami i starali trzymać z boku.

Szeryf wróciła po czterech godzinach, od progu zapraszając nas do sali konferencyjnej. Ona, Klavin oraz Stuart przynieśli dodatkowe krzesła, po czym

zaczęli wypytywać nas o wszystko od nowa.

–I uważa pani, że ten Chuck popełnił samobójstwo, żeby pani go znalazła i uwolniła więzionego chłopca? – zapytał Stuart po raz piąty.

–Skąd mam wiedzieć, co działo się w jego głowie? –

Wzruszyłam ramionami.

–Mógł wysłać list, zgłosić się na policję, a nawet zadzwonić do pani i powiedzieć: „Mój tata przetrzymuje chłopca w ukrytej piwniczce” i po problemie.

–Nie jego – zauważył Tolliver.

–Był dzieckiem – poparłam go. – Przerażonym, przytłoczonym poczuciem winy, zagubionym. Sądzę, że w ten sposób chciał odpokutować za uczynki swoje i ojca.

–Jak pani sądzi, dręczył i zabijał zwierzęta z własnej woli?

–Jeśli tak, odczuwana przy tym przyjemność musiała nim wstrząsnąć. – Na pewno nie było prostego wyjaśnienia zachowania Chucka Almanda. Pod koniec na pewno chciał zrobić coś dobrego, ale jego plan nie przewidywał możliwości wyjścia z całej sytuacji obronną ręką, podjęcia terapii i całkowitego powrotu do normalnego życia. Nie zdążył nabrać wystarczającego doświadczenia życiowego, które pozwoliłoby mu uwierzyć we własną przyszłość po aresztowaniu ojca. Po prostu chciał powstrzymać ojca od zabijania. Tak sobie to przynajmniej wyobrażałam.

Trzymali nas długo, próbując wyciągnąć informacje, których nie posiadaliśmy.

–Proszę z nikim nie rozmawiać o tym, co widzieli państwo w stodole. Przynajmniej do czasu zakończenia śledztwa – zaznaczył Klavin. Niepotrzebnie. Nie mieliśmy zamiaru mówić o tym między sobą, a co dopiero omawiać te potworne szczegóły z innymi. Żywiłam pewne wątpliwości, czy wszystko już zostało wyjaśnione w tym śledztwie, ale zachowałam je dla siebie. Mimo

wymiernych efektów naszej pomocy i tak nie chcieliby słuchać

moich domysłów. Jednak pewne rzeczy nie dawały mi spokoju,

miałam wrażenie, że czegoś tu brakuje.

Teraz chcieliśmy się spotkać z Manfredem i jego matką, która zapewne zastanawiała się, co też takiego uczyniła w poprzednim życiu, aby zasłużyć sobie na nieszczęścia, które stały się jej udziałem.

Zapytałam szeryfa, gdzie znajdziemy Manfreda. Ku memu zaskoczeniu okazało się, że został przewieziony do tutejszego szpitala, na własną prośbę zresztą.

Wreszcie dostaliśmy obiecany transport.

–Nie dziwię się – mówiłam, pakując się do radiowozu Roba. – Matka musiałaby znów jechać gdzie indziej, a skoro opieka tutaj jest wystarczająca, nie ma potrzeby narażać się na niewygodny przewóz do Asheville.

–Lekarz twierdzi, że nic mu nie będzie – powiedział siedzący za kierownicą zastępca.

–To dobrze – ucieszyłam się, ale zaraz naszła mnie myśl, że Manfred podejrzewał kogoś ze szpitala o zamordowanie babki. Może jednak jego decyzja nie była taka rozsądna. Cholera. Kolejne zmartwienie.

Po powrocie do chaty spakowaliśmy się, tak na wszelki wypadek, i wrzuciliśmy bagaże do samochodu – tak na wszelki wypadek. Klucze powiesiliśmy sobie na wstecznym lusterku, żeby nie zapomnieć o ich oddaniu Twyli – tak na wszelki wypadek. Odświeżyliśmy się jeszcze, bo rano nie było na to czasu, po czym pojechaliśmy do Doraville. Ramię bolało mnie bardzo, zbyt intensywnie je ostatnio eksploatowałam, złamałam się więc i wzięłam tabletkę przeciwbólową. Łykałam ją z wyrzutami sumienia, tyle ludzi cierpiało znacznie bardziej ode mnie. Jednak ulżyć w bólu mogłam tylko sobie.

–Mogę nacisnąć gaz i jechać dalej? – jęknął Tolliver, kiedy znaleźliśmy się w centrum. Przed nami ciągnęła się droga wyjazdowa z miasteczka, po lewej był zjazd do szpitala.

–Chciałabym, ale musimy sprawdzić, co u Manfreda i jego mamy.

Tolliver niechętnie odniósł się do mojej argumentacji.

–Założę się, że jego matka jest twardzielką. W końcu jest

**córką Xyldy, musiała z nią mieszkać i jakoś wytrzymać. Dadzą
sobie radę.**

Zerknęłam na niego spod zmarszczonych brwi.

–No dobra, dobra – westchnął, skręcając w lewo.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Rain Bernardo okazała się młodszą wersją Xyldy. Podobieństwo jednak ograniczało się tylko do wyglądu. Rain nie posiadała żadnych zdolności parapsychicznych, nie utrzymywała nawet bliskich stosunków z matką. Pracowała w fabryce, gdzie wypełniając sumiennie obowiązki, awansowała na stanowisko kierownicze. Była z tego bardzo dumna. Podobnie jak z tego, że sama wychowywała syna. Rozczarowała ją decyzja Manfreda o pójściu w ślady babki, ale kochała syna, kochała też swoją matkę. Wypadek Manfreda poruszył ją do głębi. Siedziała przy jego łóżku bardzo przygnębiona.

„Przygnębienie” w wypadku Rain oznaczało, iż wyrzucała tylko pięćdziesiąt słów na minutę zamiast stu.

Kolor włosów oraz krągłości figury wzięła po matce, ale ani jej rudość nie była tak intensywna, ani kształty tak obfite. Obiektywnie patrząc, Rain była bardzo atrakcyjną kobietą, na moje oko nie przekroczyła jeszcze czterdziestki.

Siedzieliśmy już w sali, kiedy wpadł pierwszy z regularnych odwiedzających. Zaskakująca powaga na obliczu Barneya Simpsona kazała mi się zastanowić, czy przyjaźnił się z Tomem Almandem. Dyrektor administracyjny zadał zestaw swoich pytań o zadowolenie pacjenta z opieki oraz leczenia, ale nie spieszył się z wychodzeniem. Ciekawe, czy sprawiła to uroda Rain. W końcu był rozwodnikiem.

–Moje kondolencje – zwrócił się do Rain. – Pani matka była wyjątkowo barwną osobą, na pewno jej pani brakuje. Wywarła na naszej małej społeczności ogromne wrażenie. Na pewno jeszcze

długo będziemy ją pamiętać.

Idealny przykład modelowego taktu. Nawet blady, obolały Manfred uśmiechnął się lekko.

–Bardzo dziękuję – Rain nie zamierzała mu ustąpić w

kurtuazji. – Jestem naprawdę wdzięczna za troskę i opiekę, której

tu zaznała. Manfred wspomniał, że pan ją odwiedzał. Jej choroba

była bardzo zaawansowana, spodziewaliśmy się, że najgorsze

może nadejść w każdej chwili. Wiem, że dobrze się nią państwo

zajęliście. – Zbesztala spojrzeniem syna, który zaraz przymknął

powieki, odcinając się od konwersacji. – Manfred uważa, że należy

poddać ją autopsji. Ma żal, że nie poszła tu od razu do lekarza,

choć w Tennessee dbała o to. Tuż przed wyjazdem była nawet u

kardiologa. Jak pan myśli, czy to konieczne?

W tym momencie w progu pojawił się doktor Thomason.

**–Znowu pada. – Potrząsnął mokrym parasolem. – Tym razem deszcz, nie śnieg –
dodał pocieszająco.**

**–Świetnie, że jesteś – ucieszył się Barney. – Mam do ciebie sprawę. – Powtórzył
pytanie Rain. – Co o tym sądzisz, Len?**

**–Zależy, co powie doktor z Tennessee – orzekł Thomason po krótkim namyśle. –
Jeśli stwierdzi, że jej zgon był jak najbardziej prawdopodobny ze względu na stan
zdrowia, i nie zgłosi żadnych zastrzeżeń, uważam, że nie ma takiej potrzeby, i to
właśnie powiem koronerowi. Jeśli zaś lekarz uzna, że nie wszystko jest jasne, że
mogły wystąpić jakieś uchybienia w jej leczeniu, będziemy musieli przeprowadzić
sekcję na jego wniosek.**

**Doktor Thomason wyluszczył sprawę tak rzeczowo, że wszystko wydało się naraz
sensowne i zrozumiałe. Tonem oraz postawą zaszczepiał przekonanie, iż podjęte
zostaną należyte działania. Taki sposób mówienia musiał być nieocenioną zaletą w**

**praktyce lekarskiej. Nieomal wzbudził we mnie poczucie winy, że w ogóle
podejrzywałam go o jakieś związki z zabójstwami. Jednak patrząc na dobrotliwy
uśmiech, z jakim wysłuchiwał pytań Rain, nie mogłam wyzbyć się myśli, z jaką
łatwością mógłby nakłonić ofiary do pójścia w wybrane miejsce. Lekarz wzbudza
naturalne zaufanie. Mógł powiedzieć setki różnych rzeczy, które brzmiałyby na tyle
prawdopodobnie, by zwabić chłopców. W tej chwili żadna nie przychodziła mi do
głowy, ale byłam pewna, że mając odrobinę czasu, mogłabym podać ich kilka.**

**Nawet Barney Simpson, dzisiaj wyjątkowo ponury, ożywił się po przemowie doktora
Thomasona. Przypomniałam sobie, że Simpson także odwiedzał Xyldę przed
śmiercią. Ach, nie, wetknął tylko głowę do sali i szybko się wycofał. Nie przekroczył
nawet progu.**

**Doak Garland stał na korytarzu pod drzwiami z tabliczką „Komora tlenowa”, modłąc
się z grupką krewnych jakiegoś pacjenta. Był taki łagodny, różowutki, grzeczny. Z
nim także każdy poszedłby bez zastanowienia.**

Nie miałam pojęcia, po co w ogóle snuję te rozważania. Przecież Tom Almand został

aresztowany. Sprawa rozwiązana i zamknięta. Trudno uwierzyć, że jeden człowiek mógł wyrządzić tyle zła. Pośrednio był także przyczyną śmierci własnego syna. Jednak czegoś mi w tym wszystkim brakowało, miałam przeczucie, że coś pominięto. Byłam pewna, że Tom miał współnika, kogoś, kto pomagał mu popełniać zbrodnie.

Raz wydobyta z odmętów umysłu myśl nie chciała mnie opuścić. Patrząc na Tollivera rozmawiającego z Simpsonem oraz Rain omawiającą urazy syna z doktorem Thomasonem, rozumiałam powody swojego niepokoju. Wykrystalizowały się,

ułożyły w głowie. Podniosłam oczy, napotykając wzrok Manfreda, i naraz poczułam łączącą nas więź.

–Mamo – odezwał się Manfred. Zaskoczona Rain natychmiast znalazła się przy jego łóżku.

–Tak, kochanie? Jak się czujesz?

–Przemyślałem to, mamu. Nie będę się upierał przy autopsji,

jeśli pozwolisz Harper iść do babci i powiedzieć, co zobaczyła.

Rain przeniosła spojrzenie na mnie. Zaciśnięte usta dobitnie świadczyły, że usiłuje powściągnąć grymas odrazy. Najwyraźniej nie tylko kwestionowała dar matki, nienawidziła go.

–Och, Manfred – zdenerwowała się. – To zły pomysł. Poza

tym jestem pewna, że Harper nie chciałaby tego robić.

–Dowiem się, jaka była przyczyna jej śmierci –

powiedziałam. – To tańsza i mniej inwazyjna metoda.

–Harper! – Rzuciła mi spojrzenie pełne wyrzutu. Przez chwilę zmagala się ze sobą, po czym nagle zwróciła się do Thomasona. – Czy to jakiś kłopot, doktorze? Żeby Harper... odwiedziła... moją matkę?

–Ależ skąd – zapewnił ją lekarz. – My, ludzie związani z medycyną, od dawna wiemy, że istnieją rzeczy, z którymi nie spotykamy się na co dzień podczas praktyki. Skoro to uspokoi syna, a pani wyraża zgodę... – Odniosłam wrażenie, że mówi szczerze. Jednakże socjopata mordujący chłopców na pewno wydaje się normalny. Inaczej ludzie od razu zauważyliby, że coś z nim nie tak.

–Wie pan coś o tym chłopcu, którego zabrano do Asheville? – zapytałam.

–Tak. – Kilkakrotnie pokiwał głową. – Nie mówi, w ogóle się nie odzywa. Ale jest

stabilny, nie ma zagrożenia dla życia. Dojdzie

do siebie. Jego stan ma raczej podłoże psychologiczne, nie somatyczne. Język nieuszkodzony, krtań także, płuca w porządku. Cóż, panno Connelly, ciało pani Bernardo znajduje się w zakładzie pogrzebowym „Słodki Sen”, przy Main. Zaraz tam zadzwonię, uprzedzę ich o pani wizycie.

Podziękowałam skinieniem. Z jednej strony, perspektywa ta napawała mnie niechęcią, ale z drugiej, sama chciałam znać przyczynę śmierci Xyldy. Poza tym byłam jej to winna. A tym bardziej Manfredowi.

–Jak długo Manfred musi zostać w szpitalu? – dopytywała się

Rain.

Doktor Thomason, który już szedł do wyjścia, odwrócił się, taksując pacjenta wzrokiem.

–Jeśli stan się nie pogorszy, nie wystąpi gorączka lub inne niepokojące objawy, jutro będzie mógł opuścić szpital. A pani? – zagadnął mnie nieoczekiwanie. – Ból ustępuje?

–Jest dużo lepiej, dziękuję.

Barney Simpson tylko czekał okazji, żeby wtrącić

pożegnanie. Rzucił ogólne: „Do zobaczenia” i wymknął się z sali.

Nie wiem, czy to przez leki, czy przeżycia minionych kilku dni, ale ni z gruszki, ni z pietruszki Manfred wypalił:

–No, to kiedy wesele?

W sali zapadła głucha cisza. Doktor Thomason pośpiesznie

się ewakuował, zostawiając nas w kompletnym osłupieniu. Pierwsza ocknęła się Rain. Zdumiona zaczęła wodzić wzrokiem ode mnie do Tollivera i z powrotem.

Zdawałam sobie sprawę, że Manfred nie będzie uszczęśliwiony rozwojem sytuacji pomiędzy mną a Tolliverem, ale nie przypuszczałam, że tak go to rozzłości. Zrzuciłam to jednak

na karb wstrząsu ostatnimi wydarzeniami.

–Nie ustaliliśmy jeszcze daty – odparł Tolliver. Kolejna

niemiła niespodzianka.

Teraz już byłam wściekła na wszystkich. Rain gapiała się na nas, Manfred stroił fochy, a Tolliver kipiał.

–Przepraszam – zaczęła Rain szorstko – ale wydawało mi się,

że jesteście rodzeństwem. Musiałam coś źle zrozumieć.

Policzyłam do dziesięciu.

–Nie jesteśmy spokrewnieni. Mieszkaliśmy kilka lat w jednym domu – wyjaśniłam, powściągając nerwy. – Chyba lepiej pójdziemy, Manfred na pewno jest bardzo zmęczony, a nas czeka wizyta w domu pogrzebowym. „Słodki Sen”? Tak?

–Tak, chyba tak – potwierdziła Rain nieco nieobecny tonem. Trudno się dziwić, że była zdezorientowana.

–Nie daj mu się zastraszyć – pouczył mnie Tolliver, kiedy wychodziliśmy ze szpitala.

–Myślisz, że mówił o ślubie, żeby mnie przestraszyć? – Zaśmiałam się, ale nie wypadło to zbyt wesoło. – Przecież wszystko jest w porządku. Nie musimy nigdzie się spieszyć, podejmować wielkich życiowych decyzji. Oboje to wiemy, prawda?

–Jasne – odparł z mocą. – Mamy przed sobą mnóstwo czasu.

Nie do końca podzielałam jego optymizm – przecież w pracy

bez przerwy natykałam się na ludzi zmarłych nagłą śmiercią. Ale nie zamierzałam teraz wyciągać tego argumentu.

Dom pogrzebowy mieścił się w jednopiętrowym budynku z cegły. Znajdujący się przed nim niewielki parking mógł pomieścić raptem kilka samochodów. Zwiedziłam już wiele takich instytucji – ludzie zwykle czekają z wezwaniem mnie do ostatniej chwili.

Ten oceniłam na dwie sale. I rzeczywiście, po wejściu do holu ujrzeliśmy dwoje drzwi. Były aktualnie otwarte. Oba pomieszczenia wyposażono w katafalki oraz rzędy krzesel dla żałobników. Na siedziskach leżały śpiewniki. Przed drzwiami umieszczono stojaki pokryte czarnym materiałem, do którego przyczepiało się litery. Na tym po prawej widniał napis „James O. Burris”, lewy był pusty. Dalej znajdowały się pomieszczenia biurowe dla właściciela, wspólnika lub pracowników oraz salka stypowa dla pogrążonych w żalu rodzin.

Naprzeciw wyszła nam właścicielka, zażywna kobieta koło pięćdziesiątki. Ubrana w niejaskrawe spodnium oraz wygodne buty, miała odpowiednio do stroju stonowany makijaż i taką też fryzurę.

–Witam. – Obdarzyła nas profesjonalnym, powściągliwym uśmiechem. – Pani Connelly, jak sądzę?

–Owszem.

–Przyszli państwo zobaczyć panią Bernardo, tak?

–Owszem.

–Tolliver Lang – przedstawił się Tolliver, wyciągając rękę.

–Cleda Humphrey. – Właścicielka podała swoją, po czym powiodła nas długim korytarzem na tyły budynku, do drugiego wyjścia. Otworzyła je kluczem, wyprowadzając nas na jeszcze mniejszy parking, za którym wyrastał duży budynek o ceglanej fasadzie pasującej stylem do frontowego. – Pani Bernardo leży tutaj – powiedziała, zмирzając do tylnych pomieszczeń. – Ceremonia ma odbyć się gdzie indziej, a dla zmarłych przebywających tu czasowo mamy miejsce w pokoju przejściowym.

Pokój przejściowy okazał się eufemizmem, którym Cleda

Humphrey określała chłodnię. Otworzyła lśniące metalowe drzwi, zza których powiało zimnem. Xylida leżała w czarnym worku na blaszanym stole.

–Jest ubrana tak, jak przywieziono ją ze szpitala, ma także

wenflony. Wszystko musi zostać nienaruszone do podjęcia decyzji

o autopsji – wyjaśniła właścicielka.

O cholera, pomyślałam. Tolliverowi nie drgnął nawet jeden mięsień na twarzy.

–Przynajmniej jej dusza odeszła – powiedziałam bezmyślnie.

Zamarłam, słysząc własny głos.

–Ach, więc pani też je widzi – ucieszyła się nasza

przewodniczka.

–Tak – przyznałam, absolutnie zaskoczona.

–A myślałam, że tylko ja je widuję.

–Raczej nie należymy do większości – zauważyłam, – Czy pomaga to pani w pracy?

–Tak, jeśli wszystko jest w porządku. Ale czasem któraś trzyma się ciała, wtedy wzywam pastora, żeby odmówił modlitwę. Może nie za każdym razem, ale najczęściej to działa.

–Zapamiętam na przyszłość – powiedziałam słabo. – Dobrze, w takim razie zabiorę się do pracy.

Przymknęłam oczy. Nie było to konieczne, ale pomagało w koncentracji. Chcąc zrobić wrażenie, położyłam rękę na worku. Poczułam sztywne, zimne ciało pod folią.

Źle się czuję, jestem taka słaba, zmęczona... Gdzie Manfred? Co tu robi ten człowiek? Czemu tak na mnie patrzy? Taka zmęczona... Spać.

Uniosłam powieki, napotykając zaciekawiony wzrok właścicielki.

–Zgon z przyczyn naturalnych – orzekłam. Nie popełnia się morderstwa, tylko stojąc i patrząc. Nie odebrałam wrażenia dotyku ani żadnego innego kontaktu fizycznego. Ktoś, jakiś mężczyzna, był przy ostatnich chwilach Xylidy, ale to nic niepokojącego. Mógł to być lekarz albo pielęgniarz. Trudno stwierdzić. Mimo to przeszły mnie ciarki – ktoś patrzył, jak umiera, spokojnie, beznamiętnie. Nie uczynił nic, by przyspieszyć jej odejście, ale też nie udzielił żadnej pomocy.

–To dobrze – skwitowała Cleda. – Jej rodzina na pewno poczuje ulgę.

Przytaknęłam.

Czarny worek został za zamkniętymi drzwiami. W ponurym milczeniu ruszyliśmy z powrotem przez wewnętrzny parking i korytarzem do holu domu pogrzebowego.

–Kiedy wydadzą ciała... chłopców, pewnie będzie pani miała tu ruch – zagaił Tolliver. Prawdopodobnie na końcu języka miał słowo „ofiary”.

–Tak, będziemy zajęci – przyznała. – Jeden z zamordowanych był moim bratankiem. Bratowa jest zdruzgotana, rano ledwo udaje jej się wstać z łóżka. Już samo porwanie i zabójstwo to straszny cios, ale świadomość, co przeżył przed śmiercią, ile się wycierpiał, jak został wykorzystany, jest nie do zniesienia.

Nie potrafiłam zareagować, znaleźć odpowiednich słów pocieszenia. Nie mogłam dodać nic do tego, co powiedziała. Wiedza, że bliską osobę cięto, parzono, gwałcono, jest trudniejsza do zniesienia niż sama śmierć. Do tego dochodzi bezsilność, frustracja, że nie mogło się jej pomóc. Zawsze obawiałam się, że

Cameron zgwałcono przed zabiciem, choć nie wiedziałam nic, co skłaniałoby ku takim podejrzeniom. Nie wiadomo nawet, czy

rzeczywiście nie żyła. Jednak samo wyobrażanie sobie, co mogło jej się przytrafić, było koszmarem. Gwałt wzbudzał we mnie obrzydzenie, uważałam, że to chore bez względu na wiek, płeć ofiary oraz okoliczności. Jednakże to był najlepszy czas na debaty na ten temat.

–Bardzo współczujemy – zapewniłam ją.

–Dziękuję. – Clea Humphrey skinęła godnie głową, żegnając nas w progę.

–Porządna z niej kobieta – ocenił Tolliver, kiedy wsiedliśmy do samochodu. – Ten dom pogrzebowy zrobił na mnie pozytywne wrażenie. Ma najlepszą atmosferę z tych, z jakimi mieliśmy do czynienia.

Zgadzałam się z nim w całej rozciągłości.

–Podobało mi się jej podejście do nas.

–Miła odmiana. Przytaknęłam. Pastor Garland zaparkował obok swoim skromniutkiin

chevroletem, w chwili gdy Tolliver przekręcił kluczyk w stacyjce. Podeszedł do nas, więc Tolliver zgasił silnik i opuścił szybę.

–Witam ponownie. – Kaznodzieja pochylił się, zaglądając do środka.

–Co pastora tu sprowadza? – zapytałam z nadzieją, że sami unikniemy podobnych indagacji o naszą wizytę w „Słodkim Śnie”.

–Jedno z ciał, Jeffa McGrawa, jest gotowe do odebrania, więc muszę porozumieć się z Cleą w sprawie ceremonii. Prawdopodobnie będziemy potrzebowali dodatkowej pomocy przy koordynacji ruchu w dniu pogrzebu, rozmawiałem już o tym w biurze szeryfa. Zorganizujemy też nocne czuwanie przy zwłokach, muszę ustalić szczegóły z Cleą.

–Czeka pastora sporo pracy przy tych wszystkich pogrzebach

–zauważył Tolliver.

–Tak. Nie byłem co prawda duszpasterzem wszystkich

chłopców, ale cała społeczność chce wziąć udział w ceremoniach,

więc chcemy zjednoczyć siły. Żałuję, że dopiero teraz. Jak to

możliwe, że nie zauważyliśmy wcześniej, co dzieje się tuż pod naszym nosem?

Doniosłe, acz retoryczne pytanie.

–Czy to nie po trosze wina poprzedniego szeryfa, Abe Maddena? – podsunęłam. – Jego strusiej polityki? Wygodniej mu było przyjąć, że chłopcy uciekli, zamiast rozpocząć śledztwo nastrożające masę problemów. Zresztą z własnej woli wziął na siebie część odpowiedzialności za to zaniechanie, mówił o tym na mszy za zmarłych.

Doak Garland stropił się wyraźnie.

–Może jednak nie powinniśmy wytykać nikogo palcami – łagodził. Widać było, że nie po raz pierwszy bierze pod rozwagę znaczenie roli Abe Maddena w tej strasznej tragedii. – Naprawdę myśli pani, że jego decyzje były aż tak brzemiennie w skutki?

–Jak najbardziej – odparłam, zaskoczona własną stanowczością. Ale w końcu ja nie znałam byłego szeryfa, nie musiałam przejmować się jego uczuciami czy reputacją. – Jeśli prawdą jest to, co słyszałam o jego postawie wobec zaginięć, na pewno miało to znaczenie dla rozwoju sytuacji. Gdyby śledztwo od razu ruszyło pełną parą, prawdopodobnie teraz mielibyście mniej pogrzebów.

–Ale czy obarczanie winą cokolwiek tu ułatwi? – zastanawiał się Garland.

Postanowiłam uznać to za konkretne pytanie.

–Tak sędę. Na pewno nie Abe Maddenowi, ale innym
owszem. Ludziom pomaga świadomość, że istnieje jakaś
przyczyna, że mogą kogoś obciążyć za nieszczęścia. Przynajmniej
tak wynika z mojego doświadczenia. Poza tym poznanie błędów,
które doprowadziły do danej sytuacji, może ustrzec w przyszłości
przed ich ponownym popełnieniem. – Wzruszyłam ramionami.

Może, ale nie musi.

Trzeba oddać pastorowi sprawiedliwość, że nie zaczął atakować moich argumentów
frazesami, tak jak wielu duchownych miało to w zwyczaju. Najpierw przemyślał moje
słowa.

–Na pewno coś w tym jest, panno Connelly, ale z drugiej
strony, to jak wyznaczanie kozła ofiarnego, który ma ponieść
grzechy nas wszystkich.

Tym razem nadeszła moja kolej na rozważenie jego stanowiska.

–Tak, z pewnością jest w tym trochę racji – przyznałam. – Ale w tym wypadku wina
jest niepodważalna, a przynajmniej jej część spada na byłego szeryfa.

–Nie wahał się jej na siebie wziąć – rzekł Doak Garland. – Właściwie to powinienem
go odwiedzić. Niewykluczone, że podziela pani zdanie.

Czy pastor próbował obudzić we mnie wyrzuty sumienia? Jeśli tak, to odniósł
porażkę. Nie lubię, jak ktoś się zadręcza lub pada ofiarą ostracyzmu, ale z własnego
doświadczenia wiedziałam, że trzeba przyjąć odpowiedzialność za swoje czyny i
ponieść konsekwencje błędnych decyzji, inaczej nie można rozpocząć nowego
rozdziału życia.

Poczuwszy, że wszystko zostało już powiedziane, zerknęłam
dyskretnie na Tollivera. Zrozumiał moje intencje.

–Musimy jechać, pastarze – rzekł i pożegnawszy się,
wyjechaliśmy z parkingu. – Dokąd teraz? Oczywiście z tobą mogę

jeździć bez celu całą wieczność, ale ze względu na nie najlepsze

warunki wolałbym...

–Jestem głodna, a ty? – zadałam dla odmiany proste pytanie.

Doraville obudziło się do życia. Pootwierano sklepy i firmy, a

ludzie z ulgą wrócili do codziennych spraw. Ja też poczułam ulgę. Teraz już w każdej chwili mogliśmy opuścić miasteczko.

–A może tak wyjedziemy? – zaproponował Tolliver. – Za

godzinę będziemy na międzystanowej. A tam barów jest do

wyboru, do koloru.

Kusząca propozycja, szczególnie kiedy siedzi się w samochodzie na parkingu McDonald's. Zagapiłam się w złociste łuki logo, usiłując wykrzesać z siebie coś poza rezygnacją.

–Musimy zwrócić klucz – westchnęłam, świadomie

wynajdując powody opóźnienia wyjazdu.

–Jasne, załatwimy to w dwadzieścia minut.

–Myślisz, że nas puszczą?

–Oni, czyli SBI, czy Rockwell?

–Jedni i drudzy.

–A czegoż jeszcze mogliby od nas chcieć?

–Nie podpisaliśmy wczorajszych zeznań.

–Fakt. Wpadniemy po drodze na posterunek. Zajmie nam to pół godzinki. Dobra, weźmy jakieś kanapki i zabierajmy się do pozałatwiania wszystkiego.

Chciałam już wyjechać, naprawdę, ale coś mnie tu trzymało. Może nawet więcej niż jedno „coś”. Powtarzałam sobie, że przecież nie jestem policjantem i to nie moja sprawa. Z drugiej

strony, może powinnam podzielić się moimi podejrzeniami z kimś, kto weźmie je na poważnie?

Prawie nie pamiętam stania w kolejce z Tolliverem. Musiałam przywyknąć do myśli, że nie jest moim bratem. To przeszłość. Uświadomiłam sobie, że teraz mogę już dotykać go przy ludziach. Teraz wiedział, co do niego czuję. I odwzajemniał te uczucia. Nie musiałam już nic ukrywać. Niesamowicie, jak lęk, że stracę go, ujawniając swoje zaangażowanie, zaszczepił we mnie nawyk unikania kontaktu wzrokowego, dotykania go oraz zachowania odpowiedniego dystansu. Od czasu burzy śnieżnej mogłam na niego patrzeć pasjami, a jemu sprawiało to przyjemność.

–Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę o tym, co Xylda mówiła w Memphis? Że w czas lodu zaznamy szczęścia? – zapytałam.

–Tak, tak powiedziała. Ustaliliśmy, że Xylda nie była oszustką. A przynajmniej nie zawsze udawała.

–Myślę, że z wiekiem jej dar się pogłębiał.

–Jej córka ma inne zdanie na ten temat.

–Rain szuka w życiu normalności. Może gdybym mieszkała z Xyldą, jej ciągłymi szalonymi pomysłami, udawanymi i prawdziwymi wizjami, też przybrałabym taką postawę.

–Mieliśmy znacznie gorsze dzieciństwo.

To prawda. Dom Xyldy, bez względu na wszystko, wydawał

się rajem w porównaniu do mieszkania w przyczepie w Texarkanie.

Czekając przy stole, aż Tolliver przyniesie tacę z zamówieniem, myślałam o poświęceniu Chucka Almanda. Podeszłam po serwetki i rurki, a po chwili wróciłam jeszcze po

ketchup. Wpatrywałam się w czysty blat, marząc o życiu, w którym nigdy nie musiałabym jadać w fast foodach. Szybko jednak wróciłam myślami do Chucka, uporczywie drążąc przyczyny jego zagadkowego postępowania.

Tolliver położył tacę na stole. Machinalnie zaczęłam zajadać swoją porcję; na szczęście wystarczyła mi do tego jedna ręka. Tolliver otworzył torebkę z ketchupem i polał nim moje frytki.

–Dzięki – rzuciłam nieobecnie, wracając do rozmyślań. Jednak nawet gdybym wyciągnęła jakieś wnioski, nie podzieliłabym się nimi z Tolliverem, nie tutaj, gdzie każdy mieszkaniak Doraville, który nie siedział w szkole czy pracy, tłoczył się obok, wymieniając zarazkami i pochłaniając niezdrowe kalorie. Szybko straciłam apetyt.

–Co się stało? – zapytał Tolliver, widząc, że odkładałam niedojedzoną porcję na tacę. W jego głosie prócz prawdziwej troski wychwyciłam nutę zniecierpliwienia, może nawet irytacji. Zdecydowanie dążył do wyjazdu. Doraville przyprawiało go o nieprzyjemne dreszcze, a te zabójstwa o koszmary.

–Jak stąd wyjdziemy, chcę pojechać na miejsce zbrodni. Przepraszam cię, naprawdę – powiedziałam, widząc jego minę. – Ale po prostu muszę.

–Znaleźliśmy ciała – przypomniał najspokojniejszym tonem, na jaki mógł się aktualnie zdobyć. – Znaleźliśmy je. Wywiązaliśmy się z umowy. Otrzymaliśmy zapłatę.

Rzadko się sprzeczałam, a jeszcze rzadziej tak mocno obstawaliśmy przy swoich racjach. Czuję się fatalnie.

–Wiem, przepraszam cię – powtórzyłam. – Możemy o tym porozmawiać na zewnątrz?

Tolliver w milczeniu zebrał tace i cisnął je na półeczkę,

zrzucając przedtem resztki do śmietnika. Przytrzymał mi drzwi, otworzył drzwiczki do samochodu, wsiadł, ale nie przekręcił kluczyka w stacyjce. Siedział, czekając na wyjaśnienia. Nie przypominam sobie, żeby wcześniej się tak zachowywał. Zwykle jechaliśmy tam, gdzie chciałam. Jednak nasze stosunki zmieniły się diametralnie, musieliśmy od początku wypracować równowagę. Ta, która wcześniej stabilizowała nasze kontakty, nie przystawała do nowej relacji. Miał prawo poznać moje pobudki, a ja nie zamierzałam się przeciw temu buntować. Nie upierałam się przy roli księżniczki. Przyznaję, trochę za bardzo do tego przywykłam.

Nie tak dawno temu po prostu oświadczyłabym, że muszę tam jechać, a on zawiózłby mnie bez zadawania pytań. Przynajmniej zwykle tak to wyglądało. Podciągnęłam nogę, wspierając ją na siedzeniu, i oparłam się o drzwi. Tolliver nadal czekał bez słowa.

–Już ci mówię, o co chodzi – zaczęłam. – Widzisz, na podstawie dotychczasowych informacji przyjęto, że to Chuck pomagał ojcu w pilnowaniu ofiar. Ojciec wciągnął go także w swój proceder, ucząc, jak męczyć i zabijać niewielkie zwierzęta, z myślą, żeby wychować syna na swoje podobieństwo, uczynić z

niego kolejnego seryjnego zabójcę, jak on sam, tak?

Tolliver przytaknął skinieniem.

–Ale to błędne rozumowanie – kontynuowałam. –

Przyjmijmy, że Chuck faktycznie pomagał ojcu, w porządku, ale

wydaje się, że potrzeba więcej niż słabego mężczyzny i

dwunastolatka, żeby poradzić sobie z wyrośniętym młodym

człowiekiem...

–Gacy działał sam – wtrącił Tolliver.

Faktycznie, John Wayne Gacy, który torturował i mordował chłopców w Chicago, nie miał pomocnika. Widziałam jego zdjęcia, też nie wyglądał na szczególnie silnego.

–Skłaniał ich do założenia kajdanek, prawda? Wmawiał, że są nieprawdziwe i pokaże im, jak się z nich uwolnić? – upewniłam się.

–Chyba coś w tym stylu.

–A więc stosował podstęp. Niewykluczone, że Tom także -powiedziałam.

–Dahmer też nie miał współnika.

–Owszem.

–Więc nie dorabiaj na siłę teorii o partnerze.

–Nadal sądzę, że było ich dwóch. – Przy dwóch dorosłych napastnikach chłopcy, nawet silni, nie mieliby szans. Także okres, przez jaki pozostawiano ich przy życiu, mógł wskazywać na dwóch katów, z których każdy zaspokajał swoje chore fantazje w odmienny sposób. – Jeden preferował seks, drugi tortury, albo każdy trochę tego, trochę tego. Jednemu mogło wystarczyć nawet zadawanie lub obserwowanie śmierci. Są też i tacy dewianci. Dlatego nie zabijali ich od razu. A tego jesteśmy pewni. Więc każdy ze sprawców mógł spędzać z nimi czas.

–Jesteś tego pewna?

–Nie na sto procent, ale tak uważam.

–Na jakiej podstawie?

–Dobra, może nie mam nic konkretnego poza wrażeniami odebranymi od ofiar – przyznałam. – Może to tylko moja wyobraźnia.

–Nawet jeśli masz rację, to był Tom i Chuck, którego ojciec zmuszał do pomocy.

–Nie, nie chodzi mi o Chucka. Zmierzałam do tego, kiedy zeszliśmy na temat Gacy'ego i Dahmera. Widzisz, szczątki zwierząt były dość świeże. A zniknięcie pierwszego chłopca, o którym wiemy na pewno, nastąpiło mniej więcej pięć lat temu. Najstarsze zwłoki zwierzaków na oko nie mogły mieć więcej niż rok. Gorące lato, owady, rozkład byłby bardziej zaawansowany.

–Co z tego wynika?

–To nie Chuck pomagał Tomowi. Był inny współnik, ktoś, kto nadal jest na wolności.

Nie mogłam nic wyczytać z twarzy Tollivera. Skrywał myśli pod maską skupienia, nie miałam pojęcia, czy go przekonałam, czy też nie zgadzał się ze mną.

–No i? – Rozłożyłam ręce.

–Nic, myślę – stwierdził, ale włączył silnik. Całe szczęście, bo zaczynałam już marznąć. – Więc co robimy?

–Nie wiem. Na pewno muszę jechać do Manfreda,

powiedzieć mu o babce. Nie została zamordowana, choć

rzeczywiście ktoś był przy jej śmierci i nie zrobił nic, żeby pomóc.

–Co?!

–Ktoś obserwował, jak umiera, ale nie wezwał pomocy. Nie sądzę, żeby to cokolwiek zmieniło, ale... – Potrząsnęłam głową. – To okropne. Miała świadomość, że ktoś tam jest i patrzy.

–Ale nie skrzywdził jej? Nawet jeśli nie reagował?

–Nie. Tylko patrzył.

–Może to był Manfred?

Zastanowiłam się przez chwilę. Teoretycznie

prawdopodobne. Przecież raczej nie wychwyciłby precyzyjnie momentu odejścia babki.

–Nie – oświadczyłam, przebiegłszy w myślach szczegóły

kontaktu z Xyldą w domu pogrzebowym. – Nie Manfred. Jeśli nawet, to Xylda go nie rozpoznała, co jest mało prawdopodobne, bo z reszty odbioru nie wynika, żeby była aż tak zdezorientowana. Tolliver wysadził mnie przed szpitalem, sam zaś pojechał zatankować. Weszłam do szpitala, pewnie kierując się ku sali Manfreda. Był sam. Starając się ukryć ulgę – Rain to miła kobieta, ale w tej chwili miała pewnie inne zajęcia – podeszłam do łóżka i dotknęłam lekko ręki Manfreda. Gwałtownie otworzył oczy, aż się przestraszyłam, że krzyknie zaskoczony.

–Bogu dzięki, to ty – odetchnął. – I co? Dowiedziałaś się czegoś?

–Twoja babka zmarła z przyczyn naturalnych. Słuchaj, pamiętasz może, czy stałeś nad nią dłuższy czas, tylko patrząc?

–Na pewno nie. Zawsze od razu siadałem przy jej łóżku, a co?

–W chwili śmierci ktoś stał w drzwiach, obserwując, jak umiera.

–Bała się go?

–Niekoniecznie. Była raczej zaskoczona. Ale nie zrobił nic, żeby ją zabić. Już umierała.

–Jesteś pewna? – Manfred nie wiedział, jak rozumieć

obecność dziwnego obserwatora. Ja również.

–Tak, to był naturalny zgon.

–To dobrze. – Naprawdę poczuł ulgę. – Bardzo ci dziękuję, Harper. – Wziął mnie za rękę, zamykając ją w swojej ciepłej dłoni. – Wiem, że to musiało być dla ciebie straszne. Ale teraz nie musimy robić sekcji, może spoczywać w pokoju.

Sekcja nie miała nic wspólnego ze spokojnym odpoczynkiem, ale postanowiłam pozwolić umrzeć temu tematowi śmiercią

naturalną, taką, jaka stała się udziałem Xyldy.

–Posłuchaj... Manfred skupił się, dostrzegając moją powagę.

–Tak?

–Nie zostawaj tu sam. Nie zostawaj sam w Doraville.

–Ale przecież zabójca został aresztowany? To koniec sprawy.

–Nie sądzę. Nie przypuszczam, żeby ktoś próbował zrobić ci

coś w szpitalu, ale jak wyjdiesz, cały czas trzymaj się z matką.

Widząc, jak bardzo mi na tym zależy, skinął potwierdzająco, niechętnie, ale jednak.

Do sali weszła pielęgniarka, ogłaszając, że Manfred może już wstać i przejść się kawałek z jej pomocą. Zostawiłam ich samych, wychodząc, żeby poczekać na Tollivera przed szpitalem. Przypadkiem w stronę holu szedł Barney Simpson, niosąc pod pachą plik papierów. Zrównałam się z nim.

–Wydawałoby się, że stanowisko dyrektora

administracyjnego to praca za biurkiem – zagałam. – A pan ciągle

w ruchu.

–Gdybym miał sekretarkę, nie wychylałbym nosa z gabinetu -przyznał. – Ale ma akurat wolne. Jeden z zamordowanych był jej wnukiem. Ciężko to wszystko przeżywa, a w dodatku nie wiadomo, kiedy wydadzą ciało i odbędzie się pogrzeb. Nie mogłem jej odmówić paru dni wolnego. Spędza ten czas z córką.

–Bardzo współczuję tym wszystkim rodzinom.

–Cóż, przynajmniej jedna nie musi wybierać teraz trumny. Rodzice chłopca znalezionego w tej kryjówce pod podłogą pewnie nie posiadają się ze szczęścia.

Skinął na pożegnanie, skręcając w korytarzyk, gdzie mieściły się biura.

Zbrodnie wstrząsnęły całym miasteczkiem, choć zapewne intensywność odbioru tragedii zmniejszała się wraz z odległością od punktu zero, czyli miejsca zbrodni.

Poczułam się trochę głupio. Co też mi przyszło do głowy, żeby tak straszyć Manfreda? Był sporo starszy od ofiar. Z drugiej strony, niewielki wzrost, atrakcyjna aparycja i aktualna bezbronność dawały powody do zachowania ostrożności. Poza tym nie pochodził stąd, więc jego zniknięcie nie zostało tak szybko zauważone. Dodatkowo, na logikę, pozostały na wolności zabójca – zabójca, którym najwyraźniej tylko ja się przejmowałam – nie zaryzykowałby teraz kolejnego porwania. Wszyscy byli bardzo ostrożni, uważni i podejrzliwi. A przynajmniej byli do tej pory. Inna sprawa, że aresztowanie sprawcy, samobójstwo jego udręczonego syna i uratowanie ostatniej z ofiar mogły osłabić czujność. Prawie happy end. Słyszałam rozmowy ludzi w barach. Nawet Chucka zbytnio nie żalowali, wychodząc z założenia, że chłopak nacierpiałby się strasznie podczas procesu i skazania. Wszyscy byli również przekonani, że pomagał ojcu i że to poczucie winy pchnęło go do desperackiego kroku. Że śmierć miała być rodzajem odkupienia. Ja wiedziałam, że to nie do końca

prawda.

Jednak gdyby Chuck nie popełnił samobójstwa, nie dałabym centa za jego życie. Wspólnik ojca musiał podejrzewać, że dziecko go zna, nawet jeśli tak nie było. Tak więc przynajmniej jedna osoba miała istotny powód, żeby cieszyć się z jego śmierci.

Pomyślałam o dobrych rzeczach, z którymi zetknęłam się w Doraville, i o miłych ludziach, których tu poznałam. W tej przyjaznej górskiej wiosce czaił się wąż, wielki wąż. Czym Doraville zasłużyło sobie, by stać się sceną tego spektaklu grozy?

Tolliver zatrzymał się pod szpitalem. Bez słowa wsiałam do samochodu i pojechaliśmy pod stary dom, otoczony tyłoma zmarzłymi mogiłami.

Na miejscu spotkaliśmy Klavina i Stuarta. Po raz pierwszy cieszyłam się na ich widok. Robili pomiary terenu, mapki orientacyjne, zdjęcia okolicy i układu budynków oraz wszystkiego, co wydało im się interesujące. Przez kilka minut obserwowaliśmy ich działania w milczeniu.

Nie mieli ochoty z nami rozmawiać, udawali niezwykle pochłoniętych swoją pracą. Ignorowali naszą obecność, a my też nie uczyniliśmy żadnego gestu w ich stronę. Wiał porywisty wiatr, było zimno, choć słońce nieco łagodziło chłód. Zrzuciłam kurtkę, włożyłam dodatkową bluzę z kapturem, który ściągnęłam mocno troczkami. Zapięłam kurtkę pod szyję i wepchnęłam ręce do kieszeni. Tolliver objął mnie, całując w policzek.

Jakby na ten sygnał, agenci zbliżyli się do nas.

–Podpisaliście wczorajsze zeznania? – zapytał Klavin.

–Nie, wpadniemy na posterunek, wyjeżdżając z miasta.

**Chcieliśmy tylko o coś zapytać, może odkryliście coś nowego –
powiedziałam. – Choć pewnie kompletne wyniki autopsji będą
dopiero za jakiś czas?**

Stuart przytaknął.

**–Co chcecie wiedzieć? Macie prawo do paru informacji, w
końcu to pani znalazła zwłoki.**

O, coś nowego. Dla Klavina chyba także, nie był zachwycony.

–Czy chłopców karmiono, pojono, zajmowano się nimi w

jakiś sposób po porwaniu? – przeszłam do rzeczy. – Dostawali

środki uspokajające? Czy podtrzymywano ich przy życiu?

Agenci zamarli na moment, po czym uczynili szereg bezsensownych gestów. Klavin grzebał coś przy aparacie, Stuart zaś zabrał się do ładowania jakiegoś urządzenia do bagażnika.

–A co? – zapytał Stuart, skończywszy. – Czemu pani o to pyta?

–Zastanawiam się, czy nie był w to zamieszany ktoś jeszcze. Podejrzewam, że Tom Almand nie działał sam, że miał współnika, który pomagał mu obezwładniać ofiary. Część była wyrośnięta, wysportowana, a Tom Almand należy raczej do drobnych osób. Jak panowie sądzą, stosował jakiś wybieg, dzięki któremu potrafił ich zwabić, zapanować nad nimi, dopóki nie zostali całkiem obezwładnieni, czy raczej miał silnego współnika?

Agenci spojrzeli po sobie. To mi wystarczyło.

–Musicie powiedzieć ludziom. Są przekonani, że zagrożenie minęło, a tak nie jest.

–Proszę posłuchać, panno Connelly – zaczął Stuart. –

Aresztowaliśmy jednego zabójcę. Kontrolujemy miejsce, gdzie mordowali, wiemy, gdzie chowali zwłoki. Mamy żyjącego świadka, jest bezpieczny, pilnie strzeżony. Wiemy nawet, gdzie mogliby ukrywać ciała, w razie gdyby pierwsze miejsce stało się dla nich niedostępne. Zawsze ktoś mógł sprzedać stary dom albo droga pod górę mogła być czasowo nieprzejezdna, wtedy wykorzystaliby stodołę Toma Almanda. Nie używali jej do tej pory, nie znaleźliśmy tam starych śladów krwi ani narzędzi podobnych do tych tam. – Wskazał brodą na szopę przy domu Daveya.

–Chcemy złapać tego drugiego – podjął Klavin. – Nawet pani

nie wie, jak bardzo. Jednak uważamy, że nie wznowi działalności

przez jakiś czas. Rozumie pani?

Nie, jestem na to za głupia.

–Tak, rozumiem. I generalnie zgadzam się z waszym tokiem myślenia. Kolejne porwanie w takich okolicznościach byłoby szaleństwem, to fakt. Wie pan, gdzie widzę problem? On jest szalony.

–Jak do tej pory udawało mu się zachowywać pozory -argumentował Stuart. – Jest na tyle mądry, przebiegły i ma wystarczająco silny instynkt samozachowawczy, żeby się przyczać.

–Jesteście tego absolutnie pewni? Na tyle, żeby ryzykować życie potencjalnej ofiary?

–Proszę posłuchać, wiele pani zrobiła, ale w tym momencie nie ma pani prawa wtrącać się do śledztwa – cierpliwość Klavina szybko się wyczerpała.

–Tak, wiem, nie jestem gliną. I proszę mi wierzyć, zwykle przyjeżdżam gdzieś, wykonuję swoją pracę i wyjeżdżam. Tak jest bezpieczniej. Im dłużej pozostajemy w miejscu zlecenia, tym większa szansa, że sprawy się skomplikują, a to oznacza jeszcze dłuższy pobyt. Bardzo chcę opuścić Doraville. Ale nie chcę, by ktokolwiek jeszcze zginął. A dopóki nie znajdziecie współnika, to jest bardzo prawdopodobne.

–Ma pani pomysł, jak temu zapobiec? – zapytał Klavin rozsądnie. – Złożyła pani wczoraj zeznanie, mogą państwo jechać. Mamy wasz adres, numery telefonów i pani, i brata, w razie czego was znajdziemy.

–To nie mój brat – skoro Tolliver mógł o tym mówić, to ja także.

–Wszystko jedno – rzekł Klavin. – A propos, panie Lang, wie pan, że pana ojciec siedzi w więzieniu w Arizonie?

–Nie – oparł Tolliver spokojnie. – Ostatnio słyszałem, że wyszedł z więzienia w Teksasie. – Jeśli starali się zdenerwować Tollivera, wybrali złą metodę.

–Oboje macie grube akta w opiece społecznej – zaatakował znów Klavin.

–Zapewne – na mnie także to nie działało.

Wydawał się zaskoczony, może nawet odrobinę zbity z tropu.

–Nie mogę was rozgryźć – przyznałam. – Wydajecie się

porządnymi ludźmi, w każdym razie potraficie nimi być, jeśli chcecie. Ale te numery z rodzicami? Myślicie, że nikt nigdy nam tego nie wypominał? Że nie pamiętamy tamtego życia?

Nie spodziewał się takiego zagrania. Wyraźnie miał na tym punkcie jakieś kompleksy, a pełna rezerwy mina partnera to potwierdzała.

–Idźcie już – powiedział. – Wracajcie do miasta podpisać zeznania, a potem wyjedźcie stąd. W tej sprawie za dużo jest zawirowań. Jasnowidząca. Wy. Widzieliście Toma Almanda z łopata w ręku, pewnie domyślacie się, że to on był sprawcą napadu na panią. Zamierza pani wnieść pozew?

Dziwne, w ogóle o tym nie pomyślałam. Tyle wydarzyło się od tamtej nocy, tyle zagadek wymagało rozwikłania, że sprawa ataku zeszła na dalszy plan. Zastanawiałam się przez moment. Teoretycznie Tom Almand powinien zostać ukarany za to, co mi zrobił. Jednakże w gruncie rzeczy nie umiałabym dowieść, że to on był sprawcą. To, że sam uderzył kogoś łopata, nie stanowiło dowodu. Owszem, miał motyw – to ja odnalazłam ciała, dzięki czemu rozpoczęło się śledztwo. To silny motyw, jak dla mnie. Przeze mnie musiał zaprzestać swoich „zabaw”. Przynajmniej wydawało się, że zrezygnował, aż do momentu otwarcia klapy w

stodole. Za każdym razem, gdy pomyślałam o tej komorze, stawały mi przed oczyma twarze chłopców, jedna zakrwawiona, martwa, druga tak samo zakrwawiona, ale przepelniona lękiem i świadomością straszliwej krzywdy.

Musiałabym wrócić tu, złożyć zeznania przed sądem, a tak naprawdę nie było mocnych dowodów jego winy.

–Nie – zdecydowałam. – Czy Almand zaczął mówić?

–Nie – odparł Klavin. – Na początku wstrząsnęło nim samobójstwo syna, ale kiedy okrzepł, stwierdził tylko, że dzieciak zawsze był słaby.

–Powiedział to pod czyimś wpływem – zawyrokowałam. – To nie jego własne słowa.

–Też tak uważamy – przyznał Stuart. Odwrócił się,

spoglądając na poletko, z którego zebrano tak straszliwe żniwo. –

Nie chce mówić, żeby przypadkiem nie wyskoczyć z czymś, co

pozwole ustalić tożsamość jego pieprzonego kołosa.

Zaskoczył mnie ten ordynarny wybuch w naszej obecności. Ale gdybym to ja ciągle patrzyła na te ciała, codziennie przychodziła do szopy, oglądała te okropności, też pewnie byłabym strasznie przybita. Jeszcze bardziej niż teraz.

Nie bardzo wiedziałam, po co tu przyjechałam. Żadnych duchów, dusz, nawet szczątków młodych ludzi zakopanych w zmarzłej ziemi. Tylko mroźne powietrze, gwałtowne porywy wiatru oraz dwóch rozdrażnionych ludzi, którzy zbyt długo i ze zbyt bliska przyglądali się potwornościom, jakie jeden człowiek potrafił wyrządzić drugiemu.

–Co będzie z tą szopą? – zapytałam, a Tolliver oraz Stuart odwrócili głowy w kierunku budynku.

–Rozbierzemy ją i usuniemy stąd – oświadczył Klavin. –

Inaczej rozdrapią ją łowcy pamiątek. Kryminaliści usunęli większość krwi, zabrali ją do badań. Podobnie jak narzędzia -kajdanki, żelazo do znakowania, obcęgi, zabawki erotyczne, wszystko jest w magazynach. Mamy tu spory zespół.

–Jak on może spojrzeć na swoje odbicie w lustrze – skrzywił

się Tolliver. Rzadko kiedy odzywał się w obecności policji czy

zleceniodawców. Myśl o gwałcie wywołuje w mężczyznach nad

wyraz silne emocje – takie tragedie częściej spotykają kobiety,

dlatego mężczyźni reagują na nie żywiej. Kobietom od dziecka

wpaja się obawę przed gwałtem, jest związana właśnie z ich

kobiecością.

–Czerpał z tego przyjemność – wyjaśniłam. – Łatwo

spoglądać w lustro, kiedy życie jest przyjemne.

–Ma pani rację – przyznał Stuart zaskoczony. – Pewnie budził się co rano w

skowronkach. Tom Almand przez wiele lat mydlił oczy całej społeczności Doraville. To pewnie dodatkowo sprawiało mu radochę. Jediną osobą, której nie udało mu się oszukać, był jego własny syn.

–Resztę wystrychnął na dudków? – pociągnęłam go za język, ściskając Tollivera za rękę.

–Koledzy z centrum terapii twierdzą, że był świetnym współpracownikiem. Nigdy się nie spóźniał, nie zawałał terminów, nie zapominał o umówionych spotkaniach, był błyskotliwy, miał świetne referencje i niemal żadnych skarg od pacjentów przez osiem lat pracy.

Byłam pod wrażeniem szczegółowości oraz zakresu informacji, jakie zdobyli w tak krótkim czasie. Ciekawe, czy podejrzewali go od samego początku. Może znalazł się na liście podejrzanych stworzonej na podstawie jakiegoś profilu

psychologicznego?

–A bliżsi znajomi? Przyjaciele? – drążyłam.

–Nie miał przyjaciół. Sześć lat działał w zarządzie szpitala, razem z Lenem Thomasonem oraz Barneyem Simpsonem. Obaj są związani z medycyną, choć pracują na różnych polach. Duchowny, który prowadził nabożeństwo, został wybrany do zarządu rok temu. Starali się o granty, dotacje federalne, szukali prywatnych sponsorów, organizowali zbiórki i tym podobne. Hrabstwo potrzebuje nowoczesnego szpitala, jak pani pewnie zauważyła.

Wszystkie drogi zdawały się prowadzić do szpitala. Bez względu na to, gdzie zaczynałam, zawsze w końcu wypływał szpital.

–A chłopiec? Powiedział coś? – zapytałam ostrożnie, świadoma, że rozmowność agentów skończy się lada moment, bez szczególnej przyczyny.

–Jeszcze nie – odpowiedział Stuart.

–I na pewno, naprawdę jest bardzo dobrze strzeżony?

–Nawet lepiej – zapewnił Klavin. – Absolutnie nic mu nie grozi.

–Jego rodzina już przyjechała?

–Tak, zgłosili jego zaginięcie dzień przed tym, jak go

znaleziono. Znaleźliśmy jego samochód na poboczu drogi, jakąś

milę od domu Almanda. Złapał gumę, a w bagażniku brak zapasu.

–To wiele wyjaśnia. Przy tej pogodzie z ulgą przyjął pewnie propozycję podrzucenia do miasta, bez względu na to, jak bardzo by się bał.

–Dzieciaki są strasznie lekkomyślne – prychnął Stuart ponuro. – Ten wcześniej przekonał się, że na świecie są źli ludzie. Już nigdy nie będzie taki sam.

–Rozważaliście przydzielenie ochrony Manfredowi

Bernardo?

–Jest dużo starszy od ofiar.

–Ale jest też bezpośrednio związany ze sprawą.

–Jest dorosły, siedzi w szpitalu z masą personelu – burknął Klavin. – I tak przekroczyliśmy budżet.

–Dzięki za rozmowę, musimy jechać – pożegnałam się.

–Wiedziałaś, że tam będą? – zapytał Tolliver w drodze powrotnej.

–Coś ty? Chciałam tylko zobaczyć to miejsce, jak będzie puste.

–Puste?

–Żadnych ciał. Tylko ziemia i drzewa.

Jakiś czas jechaliśmy w milczeniu.

–Tolliver? – odezwałam się. – Przypuśćmy, że wiedziałbyś, że zostaniesz oskarżony o zabójstwo w ciągu następnych dwóch, trzech dni. No, nie byłbyś pewien dokładnie, ale wiedziałbyś, że to nastąpi, jak byś się zachował?

–Uciekłbym.

–A gdyby to nie było takie pewne?

–Gdybym miał powody przypuszczać, że nie wskażą mnie na okazaniu albo coś w

tym stylu?

Przytaknęłam.

–Jeśli istniałaby szansa na zachowanie dotychczasowego życia, wykorzystałbym ją – powiedział Tolliver po namyśle. –

Ucieczka staje się coraz trudniejsza w dobie komputeryzacji i kart

kredytowych. Płacenie gotówką nie jest aż tak popularne, łatwo

ten fakt zapamiętać. Prawo jazdy trzeba pokazywać na każdym

kroku. W Stanach trudno ot tak zniknąć, a przekroczyć granicę bez

paszportu jeszcze trudniej. Bez kryminalnej przeszłości, powiązań w środowisku przestępczym praktycznie nie ma szans.

–W tym przypadku powiązania raczej odpadają. On nie jest

doświadczonym przestępcą, raczej zapalonym amatorem.

–Dobra, wynośmy się stąd – zakończył Tolliver.

Zamierzał ostatecznie zaprzestać spełniania moich kaprysów.

Miewaliśmy wcześniej sprzeczki, ale nigdy nie zawierały one

czynnika osobistego. Teraz jednak byliśmy więcej niż tylko managerem i podopieczną, więcej niż bratem i siostrą, więcej niż dwojgiem ludzi walczących o przetrwanie w brutalnym świecie.

Poza tym miał rację. Spełniliśmy nasze zadanie, reszta spoczywała w rękach policji, a tej było wystarczająco dużo, żeby sobie poradzić. Jednak za każdym razem, myśląc o Chucku Almandzie, o jego śmierci, która miała na celu pokazać mi jego prawdziwe życie, życie z człowiekiem, który latami katował i zabijał chłopców... Wmawiałam sobie, że jego poświęcenie nie poszło na marne. Doprowadził mnie do rozwiązania tajemnicy, a wraz ze mną policję. Na pewno właśnie tego chciał. Teraz pozostało mi odsunąć się, złożyć ten ciężar na barki odpowiednich ludzi, pozwolić im pracować.

–Dobrze, jedźmy – powiedziałam.

Ramiona Tollivera opadły rozluźnione. Nawet nie zdawałam

sobie sprawy, jaki był spięty.

Mieliśmy jeszcze jedną sprawę do załatwienia. Podpisanie zeznań. Spodziewając się kolejnego najazdu mediów, zadzwoniliśmy na posterunek z pytaniem, czy możemy wjechać od tyłu. Dyspozytorka z miejsca odmówiła.

–Tam nie ma gdzie szpilki wcisnąć – tłumaczyła. – Na

parkingu stoją stanowi, kryminaliści i kilku zastępców, którzy

dostali dodatkowe zmiany. Postawcie auto od frontu, wyślę kogoś po was.

Zatrzymaliśmy się przy krawężniku, za długim sznurem samochodów reporterskich. Zdecydowanym krokiem przepchnęliśmy się przez tłumek, patrząc prosto przed siebie. Kiedy dziennikarze się ocknęli, byliśmy prawie przy drzwiach. Ignorując pytania, na które i tak bym nie odpowiedziała, skoncentrowałam wysiłki na dotarciu do wejścia. Miałam nadzieję, że po raz ostatni przekraczam próg tego budynku.

Zastępca Rob Tidmarsh czekał przy drzwiach, żeby nam otworzyć. Odprowadził nas do pokoju przesłuchań, tego samego zresztą, w którym nie tak dawno siedzieliśmy w roli nieproszonych, kłopotliwych gości.

Tym razem w pomieszczeniu siedział młody człowiek z laptopem, gotów wprowadzić informacje, jakie mu podamy. Opisaliliśmy wydarzenia w stodole, po czym złożyliśmy podpisy pod wydrukiem. Zajęło nam to jakieś półtorej godziny, czyli dwa razy dłużej, niż zakładaliśmy. W tym czasie kilkakrotnie widzieliśmy przechodzącą obok Sandrę Rockwell, ale najwyraźniej nie miała potrzeby z nami rozmawiać.

Tolliver wdał się w pogawędkę z protokolantem, młodym człowiekiem, na oko w naszym wieku, a ja w tym czasie analizowałam kolejne etapy postępowania w przebiegu śledztwa. W przypadku wielokrotnego zabójstwa procedury musiały być czasochłonne i szczegółowe. Należało zebrać i połączyć masę różnych drobiazgów. Osoba prowadząca taką sprawę musiała mieć ogrom pracy. Współczułam Sandrze Rockwell. Na domiar złego przyjechali tu obcy ludzie, którzy za zgodą przełożonych odebrali jej śledztwo, a przynajmniej odsunęli od najistotniejszych kwestii.

Trudno się dziwić, że nie miała czasu ani ochoty z nami rozmawiać. Kompletowanie dowodów przeciw zabójcy ośmiu chłopców, prawie dziewięciu, jeśli brać pod uwagę ocalonego, było znacznie ważniejsze niż łechtanie ego kogoś, kto wykonał swoją pracę i otrzymał za nią zapłatę.

Tak, bez względu na moje zaangażowanie w sprawę, najwyższy czas opuścić Doraville. Nigdy wcześniej nie zwlekałam tak z wyjazdem, a może w tym wypadku czas mi się po prostu dłużył? Swoją drogą, nigdy nie pracowałam nad tyłoma ciałami przy jednym zleceniu. Nie tylko dla mnie była to pierwsza taka sprawa. Czułam się

tak, jakbym próbowała wdrzeć się do umysłów kilku osób, zajrzeć do środka, ustalić winowajcę. Żywiłam niezachwiane przekonanie co do istnienia drugiego mordercy. Nie potrafiłam jednak obmyślić sposobu na jego znalezienie. Poza tym Tolliver miał rację – to nie moja broszka. Przez moment żałowałam nawet, że nie jestem telepatką. Mogłabym odebrać myśli podejrzanego, przekonując się o jego winie lub niewinności.

Jednakże nie miałam takich zdolności, i dobrze. Nie życzyłabym czegoś takiego nawet najgorszemu wrogowi. Widziałam spustoszenie, jakie okrucich tych zdolności sprowadził na życie Xyldy, widziałam alienację Manfreda, za nic nie chciałabym być w ich skórze. Mój dar był ściśle ukierunkowany, tak specyficzny, że wykorzystać go można było tylko w bardzo wąskim zakresie. A w tym górskim miasteczku i tak posunęłam się dalej niż zwykle.

Po załatwieniu wszystkiego wyszliśmy drzwiami frontowymi. Niestety, w międzyczasie reporterzy namierzyli nasz samochód. Tłoczyli się teraz wokół niego jak sępy przy padlinie. Tolliver

otoczył mnie ramieniem i razem zaczęliśmy przebijać się przez tłumek. Mimo mojej ręki na temblaku oraz opatrunku na głowie, niechętnie ustępowali. Może za bardzo ich unikaliśmy, stąd ta determinacja, żeby nas dopaść.

Mogłabym przysiąc, że jednego z reporterów już gdzieś widziałam. Nagle skojarzyłam, znałam jego twarz z telewizji, pracował dla ogólnokrajowego kanału informacyjnego.

–Czy znalazła już kiedyś pani tyle ciał w jednym miejscu? – zawołał. Pytanie było wyjątkowo celne, właśnie to chodziło mi po głowie.

–Nie, nigdy – odpowiedziałam. – I mam nadzieję, że to ostatni raz.

Reporterzy zaczęli się przekrzykiwać. Skoro wypowiedziałam się na jeden temat, równie dobrze mogłam kontynuować. Jednak w tym momencie dziennikarz popełnił błąd.

–Co pani czuła, odkrywając tyle ofiar jednocześnie?

Na tego rodzaju pytania nie miałam zamiaru odpowiadać.

Uczucia to bardzo intymna kwestia.

Po kilku sekundach mocowania się z drzwiami wcisnęłam się do samochodu, zapięłam pasy i zablokowałam zamek. Byłam bezpieczna. Tolliver poradził sobie jeszcze szybciej. Wskoczył za kierownicę, natychmiast przekręcając kluczyk. Ruszył na pierwszym biegu. Tłumek reporterów cofnął się niechętnie i rozstąpił,

umożliwiają nam odjazd.

Na szczęście dziennikarze pozostali przy posterunku, licząc na jakieś komentarze od miejscowej policji lub SBI. Mogliśmy bez przeszkód udać się do Twyli.

W garażu pod jej domem stał tylko jeden samochód. Zastanawiałam się, kiedy władze wydadzą Twyli ciało wnuka i

kiedy odbędzie się pogrzeb. Później czeka ich jeszcze proces oraz związane z nim zainteresowanie mediów. Jeff McGraw nie zazna spokoju jeszcze przez kilka dobrych lat, przynajmniej w oczach rodziny. Tolliver stanął na podjeździe, zabrał klucz i nie wyłączając silnika, wysiadł z samochodu. Przez całą drogę się nie odzywał. Może bał się powiedzieć coś, co mogłoby skłonić mnie do zmiany zdania w kwestii wyjazdu.

Minutę później przyjechał kolejny samochód. Ktoś zapukał w moją szybę. Opuściwszy ją, ujrzałam Doaka Garlanda, jak zawsze różowutkiego i niewinnego.

–Witam ponownie, panno Connelly.

–Dzień dobry. Nie miałam okazji wyrazić uznania za

przepiękne nabożeństwo, pastorze. Mam nadzieję, że zebraliście

dużo pieniędzy na pogrzeby?

–Chwalić Pana, mamy około dwunastu tysięcy.

–To wspaniale! – Kwota robiła wrażenie, Doraville nie było bogatą społecznością. Oczywiście przy podziale na sześć rodzin zostawało tego niewiele, szczególnie biorąc pod uwagę ceny w domach pogrzebowych. Ale zawsze to jakaś pomoc.

Doak jakby czytał mi w myślach.

–Trzy rodziny miały polisy z klauzulą obejmującą pokrycie kosztów pochówku. Chcemy też zorganizować loterię. Liczymy na jakieś trzy tysiące. Twyla obiecała pokryć koszty organizacyjne.

–To bardzo hojna propozycja.

–Twyla jest wspaniałą kobietą. Panno Connelly, skoro już panią spotkałem, czy mogę zadać pytanie, ze zwykłej ciekawości?

–Umm... Tak?

–Ten chłopiec znaleziony w stodole Almandów... Gdzie

dokładnie był przetrzymywany?

–Siedział w... Och, przykro mi bardzo, policja zakazała nam wyjawiania szczegółów dotyczących tej sprawy.

–To nic, to nic. Wie pani, jak to jest, tyle różnych wersji się słyszy, chciałem dowiedzieć się czegoś konkretnego. A gdzie pani towarzysz?

–Wróci lada moment. – Naraz poczułam irracjonalny lęk, choć przecież siedziałam w samochodzie zaparkowanym na przedmieściach, pod zamieszkałym domem. Wzdrygnęłam się, markując reakcję na wibrującą komórkę. Wyjęłam telefon z kieszeni, przykładając go do ucha. – Słucham? – zaczęłam teatralny półdialog. – Ach, pani szeryf, witam. Tak, jesteśmy pod domem Twyli, rozmawiam właśnie z pastorem Garlandem. Jest tu, tak, dać go pani? Nie? Dobrze. – Uśmiechnęłam się przepraszająco do duchownego, który zrezygnowawszy z dalszych indagacji, pomachał mi, kierując się ku drzwiom. Nie przestawałam udawać, dopóki nie wszedł do środka.

Zrobiłam z siebie koncertową idiotkę, fakt, ale idiotkę, której jego odejście sprawiło ulgę. Gdzie, do diabła, ten Tolliver? Czemu siedzi tam tak długo?

Zaczęłam wiercić się niespokojnie, w końcu odpięłam pasy i otworzyłam drzwi. Zamierzałam sama sprawdzić, co Tolliver tam robi. W głowie kłębiły mi się chaotyczne myśli, miałam silne przeczucie, że przeoczyłam coś istotnego.

Coś, co wiązało się z dziewiątą ofiarą, tą, która przeżyła.

Zamarłam, analizując fakty od początku. Chłopak został zidentyfikowany. Znajdował się teraz w szpitalu w Asheville, gdzie pilnie go strzeżono. Na razie nic nie powiedział, ale zapewne uczyni to, kiedy się uspokoi, okrzepnie, odzyska poczucie bezpieczeństwa. Gdy to nastąpi, prawdopodobnie pomoże policji

ustalić tożsamość drugiego zabójcy, przyjmując, że ten w ogóle istnieje. A co, jeśli go nie widział? Co, jeśli miejsce, w którym go znaleziono, stodoła, oznaczało, że był przetrzymywany przez samego Toma Almanda? Że Tom po raz pierwszy nie skorzystał z pomocy współnika, wciągając do gry swojego syna? I że właśnie ta inicjacja doprowadziła Chucka do załamania? Może Tom nie zdążył podzielić się zdobyczą z długoletnim partnerem, bo został aresztowany? Dzięki temu drugi zabójca zyskał nieoczekiwaną okazję ujścia policji. Doaka Garlanda odrzuciłam. Prawdziwy współnik wiedziałby o kryjówce w stodole. Pastor wypytywał mnie z ciekawości. Chcąc zaciemnić obraz, w ogóle nie wspominałby o sprawie. Moje wnioski w ogóle się nie liczyły, nie robiły mu żadnej różnicy. Nie nagabywałby mnie bez potrzeby, a to oznacza, że naprawdę nie wiedział.

Jednak ktoś wiedział, ktoś, z kim niedawno rozmawiałam. Ktoś napomknął o

kryjówce pod boksem lub czymś podobnym. Kto to był? Ostatnio rozmawialiśmy z tyloma osobami... Na pewno nie Rain ani Manfred. Ani też nikt z biura szeryfa – ci z kolei nie musieli pytać, bo byli ze wszystkim na bieżąco. Dobrze, więc kto? Z kim jeszcze rozmawiałam? Z właścicielką domu pogrzebowego, Clydą jakąś tam. Nie, to nie ona.

Siedziałam zaabsorbowana, z jedną nogą na zewnątrz, kiedy zupełnie jak grom z jasnego nieba obok zatrzymała się jakaś terenówka. Oszołomiona dałam się bezwolnie wyciągnąć z samochodu, sekundę później kątem oka dostrzegłam wielką dłoń, błysk ostrza łopaty, poczułam ostry ból w miejscu opatrunku na głowie i osunęłam się w ciemność.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Ocknęłam się w samochodzie, wepchnięta na przednie siedzenie, ze związanymi rękoma i ustami zaklejonymi taśmą. Napastnik zaatakował szybko, znienacka. Kompletnie zaskoczona, nawet nie zarejestrowałam przebiegu porwania.

Siedzący za kierownicą Barney Simpson wycofał z podjazdu, z piskiem opon wyjeżdżając na drogę. Samochód szarpnął tak mocno, że zsunęłam się na podłogę. Nie miałam szans zamortyzować upadku. Wylądowałam, przygniatając złamane ramię. Ból był nie do zniesienia. Wrzasnęłabym, ale taśma tłumiała dźwięki.

Potwierdzenie własnych racji może być bolesnym ciosem, dokładnie jak w tym przypadku.

I dobrze, żeby tylko na bólu się skończyło.

Jechaliśmy jakieś pięć minut. Kiedy się zatrzymał, nadal nie mogłam się ruszyć, ale zbierałam siły. Nie miałam zielonego pojęcia, gdzie jesteśmy. Twyla mieszkała na przedmieściach, w jedynej bardziej ekskluzywnej dzielnicy Doraville. Pięć minut jazdy mogło oznaczać cokolwiek – rejony bliżej centrum lub przeciwnie, tereny wiejskie. Ponad głową Barneya widziałam tylko sosny okryte czapami topniejącego śniegu. Żadna wskazówka, biorąc pod uwagę intensywność zadrzewienia Północnej Karoliny.

–Mieliśmy wszystko pod kontrolą – powiedział, patrząc na mnie z góry. Pozycja i powiększające szkła okularów przydawały jego spojrzeniu niesamowitej grozy. – Wszystko szło gładko, dopóki ich nie znalazłaś. Wybierałem ich w szpitalu,

zapamiętywałem na później. Tom wyszukiwał tych spoza miasta, autostopowiczów, turystów. Zabieraliśmy ich, a potem... Po prostu zużywaliśmy.

Rany boskie, pomyślałam.

–Wykorzystywaliśmy każdą cząstkę, wydobywaliśmy cały

ból, strach, przekuwaliśmy na przyjemność. Unicestwialiśmy

kawałek po kawałku, aż obracali się wniwecz.

Dławiłam się pod taśmą, charczałam, krztusiłam.

–Przygotowaliśmy drugie miejsce, w stodole, na wypadek

gdybyśmy mieli dwóch jednocześnie. Taką poczekalnię. Nigdy nie

mieliśmy okazji z niej skorzystać. Jednak Tom nie potrafił się

powstrzymać, mimo że kolejny oznaczał takie ryzyko.

Nie przerywając wyjaśnień, które zmierzały do uświadomienia mi roli węża w ich osobistym rajach, wrzucił bieg, zerkając we wsteczne lusterko. Po chwili wyjechał z powrotem na drogę.

–Ale Tom nie odpuścił, pewnie chciał skorzystać, bojąc się, że to ostatnia okazja. A autostopowicze są jak gołąbki, same się pchają do gąbki.

Nie mogłam wiecznie kulić się ze strachu na podłodze samochodu. Musiałam coś wymyślić. Rozważałam opcje otwarcia drzwiczek i wytoczenia się na zewnątrz, ale jechaliśmy zbyt szybko, żebym miała szansę, nawet gdybym jakimś cudem zdołała odciągnąć klamkę. Podjęcie takiej próby to ostateczność. W razie czego wołałabym zginąć tak, niż podzielić los jego poprzednich ofiar.

Dobrze, czas podjąć walkę. Same chęci jednak nie wystarczały. Byłam półprzytomna, oszołomiona, a mięśnie buntowały się przed wysiłkiem. Ciężko byłoby mi nawet przyjąć

pozycję umożliwiającą stawienie czynnego oporu. Jednak miałam wolne nogi. Nie skrępował ich, myśląc zapewne, że nie ocknę się tak szybko. Wykręciłam się, zapierając plecami o drzwi, i kopnęłam go z całej siły.

Oczywiście samochodem zarzuciło.

–Obedrę cię żywcem ze skóry! – wrzasnął Simpson.

Wiedziałam, że to nie przerośnięcie. W niczym nie przypominał już

Simpsona-dyrektora administracyjnego. Wyglądał jak ten, kim

naprawdę był – szaleniec opętany żądzą zła.

Zaatakował mnie, ale ponieważ jednocześnie prowadził, zadawane na oślep ciosy nie dosięgały mnie zbyt często. Te, które trafiały, nie wyrządzały mi krzywdy, bo Simpson za każdym razem musiał się wychylić, więc brakowało mu rozmachu.

Ból w ramieniu narastał. Z jednej strony pozwalał mi zachować świadomość i rozbudzał chęć wyładowania gniewu, z drugiej odbierał siły i wolę walki. Złapałam się na machinalnym osłanianiu ramienia przed kolejnymi urazami. Jednak jaki jest sens chronienia złamanej kończyny, skoro w perspektywie miałam zginąć? Myśl ta rozwścieczyła mnie ostatecznie, kopnęłam mocno.

-Ty popieprzona świrusko! – darł się Simpson. Hm, vice

versa, koleś. Dobrze, że miałam porządne trapery.

Liczyłam, że prędzej czy później dojedziemy do centrum Doraville, ale wcześniej skręcił w jedną z uliczek, która zaraz zamieniła się w krętą, stromą drogę. Zmierzaliśmy w góry. Obrął najgorszą z możliwych dla mnie opcji.

Na prostej przechylił się mocno, uderzając mnie w twarz otwartą ręką. Pociemniało mi w oczach. Widział mój ból, podobało mu się to. Kiedy mroczki zniknęły, ujrzałam na jego obliczu satysfakcję. Poza tym przestałam kopać, co pozwoliło mu

odzyskać panowanie nad kierownicą. Rozważałam, czy kontynuować ataki, narażając się na wypadek, czy zaprzestać walki, pozwalając mu spokojnie prowadzić. Kilka minut leżałam bez ruchu, po czym doszłam do wniosku, że czas znowu spróbować.

Tym razem trafiłam w kolano. Znów nami zarzuciło, jednak Simpson opanował się i zjechał na pobocze. Czyli zmiana na gorsze. Wypadł z samochodu i obiegnął go, nie zostawiając mi wiele czasu na przyjęcie dogodnej do obrony pozycji. Nie zdążyłam się przekręcić, więc kiedy szarpnął klamką, wypadłam na jezdnię. Chwycił mnie za włosy, naciągając nieznośnie szwy na głowie. Stęknęcie, które wydobyło się spoza taśmy, w rzeczywistości było wrzaskiem bólu. Zawlekl mnie za włosy na wąskie, poszarzałe od chlapy przydroże. Tuż obok zaczynała się ścieżka wiodąca w dół zbocza, pomiędzy drzewa, spoza których pobłyskiwała tafla wody.

Miotalam się, usiłując uniknąć ciągnięcia po ziemi, aż w końcu cudem udało mi się znaleźć oparcie dla stóp. Próbowałam się wywinąć, ale uderzył mnie ponownie, tym razem kułakiem w żebra.

Zabolało jak diabli.

Dźwignęłam się znowu na nogi i grzmotnęłam go bykiem. Niestety, zyskałam tylko tyle, że zatoczył się dwa kroki w tył, po czym zaatakował ze zdwojoną siłą. Bałam się, że gdy upadnę, zatłucze mnie na śmierć, ale szybko traciłam siły. Udało mi się kopnąć go w krocze, ale przy okazji poślizgnęłam się, padając w rozmiękłą packę śnieżną. Wykorzystałam jednak szansę, staczając się po mokrej trawie aż do stóp stoku.

Simpson wcale nie był przygotowany lepiej ode mnie na takie warunki, a wręcz przeciwnie. Jego cienki garnitur i półbuty nie

mogły konkurować z grubą kurtką, ciepłymi butami i szalikiem, które miałam na sobie. Nim dopadłam pierwszych drzew, zbiegał już z górki. Skrępowane ręce utrudniały mi zachowanie równowagi, ale zmobilizowałam się i zdołałam podnieść.

Rzuciłam się do ucieczki. Biegłam chwiejnie, ślizgając się i brnąc w błocku, popędzana myślą, żeby zwiększyć dystans pomiędzy nim a mną.

Czy wbiegnie za mną do lasu?

Tak, kretyńko, wbiegnie. Rzeczywiście, szybko usłyszałam jego krzyki i trzask łamanych gałęzi.

Przynajmniej poddał się całkiem swemu szaleństwu, a to oznaczało utratę trzeźwego osądu i możliwości logicznego działania. Dostrzegłam w tym swoją szansę.

Nie, żebym sama wykonywała skomplikowane procesy myślowe. Całą energię koncentrowałam na biegu. Myśl, myśl, myśl, powtarzałam sobie, potrzebujesz jakiegoś planu. Pogoda i ukształtowanie terenu sprzysięgły się przeciwko mnie. Przecinając łąchy śniegowe, zostawiałam trop, za którym z łatwością mógł podążać. Lawirowanie pomiędzy nimi spowalniało i komplikowało ucieczkę. Dobrze, że białe płachty nie były dziewicze, znaczyło je wiele innych śladów. Najwyraźniej miejsce to upodobali sobie miłośnicy quadów. Nieco dalej dostrzegłam też szereg wgłębień pozostawionych przez piechurów. Wskoczyłam pomiędzy placki śniegu, licząc, że mimo rozmięklej gleby ściółka utrudni odnajdywanie śladów. Poza tym może był niewiele lepszym traperem ode mnie.

Naraz poczułam znajome wibracje, których źródło znajdowało się gdzieś niedaleko. Instynktownie rzuciłam się w tym kierunku. Oczywiście trup nie wstanie, nie obroni mnie, ale

kto wie, może pomoże mi się ukryć. Właściwie sama nie wiem, co skłoniło mnie do szukania wsparcia u martwego, może to, że czułam się z nimi związana. Nie budzili we mnie lęku, a w tej chwili nie miałam wielkiego wyboru, jeśli chodzi o towarzystwo.

Niebo pociemniało, widoczność pogarszała się z każdą minutą. Obijałam się o drzewa i potykałam, ledwo utrzymując równowagę. Pędziłam w stronę zwłok. Skoro nikt do tej pory ich nie znalazł, może i mnie nie znajdzie. Odbiór był dość wyraźny, a więc śmierć nastąpiła w miarę niedawno. Choć coraz bardziej zmęczona, biegłam popędzana strachem niczym przerażona wiewiórka.

Trup leżał w kępie samosiejek poprzerastanych bluszczem i mirtem. Gąszcz dodatkowo otaczały pojedyncze sosny. Po drodze chwyciłam parę zaścielających ziemię szyszek.

Żywy człowiek, który ścigał mnie z morderczymi zamiarami, był kilka metrów za mną. Nie widziałam go, ale słyszałam stękanie i szelest gałęzi. Przyczajona cisnąłam szyszkę. Nie było to proste przy związanych rękach, ale udało mi się wywołać szelest kawałek dalej. Nie posądzałam Simpsona o traperskie umiejętności. Liczyłam, że nie

odróżni odgłosu upadku szyszki od dźwięku kroków. Nieopodal znajdowała się wychodnia skalna, może uzna, że właśnie tam pobiegłam. Martwy czekał. Przypadłam do ziemi, starając się uspokoić oddech. Świszczał jak miechy kowalskie. Proszę, Panie Nieboszczyku, bądź myśliwym, błagałam w duchu.

Bóg, Fortuna, przypadek, nieważne, zostałam wysłuchana. Pan Nieboszczyk miał przy sobie nóż. Znajdował się w kaburze przypiętej do butwiejącego paska. Poszarpaną panterkę znaczyły plamy płynów organicznych. W miejscu brzucha ziała wielka

dziura, przypuszczalnie dzieło jakichś zwierząt. Ci sami sprawcy poobgryzali też kości. Najważniejsze jednak, że Lyle Worsham -bo tak się nazywał – posiadał nóż.

Z niejakim trudem zmusiłam palce do odpięcia rzepów futerału i wyłuskałam narzędzie. Był to raczej scyzoryk, nóż kieszonkowy, na pewno nie myśliwski, ale miał ostrze. Pokryte rdzą, o dziwacznym kształcie, jednak to wystarczyło. Udało mi się obrócić je odpowiednio, żeby przeciąć taśmę na rękach.

Nim skończyłam, dziękowałam opatrznosci za grubą kurtkę. Bez niej moje przeguby nie wyszłyby cało z procesu uwalniania. Natychmiast po wyswobodzeniu rąk zerwałam taśmę z twarzy. Dość uciszania.

Powoli, starając się nie wywołać żadnego hałasu, wczołgałam się głębiej w gąszcz. Gdzie ten Simpson? Czy skoczy na mnie lada moment? A może zrezygnował, wrócił do samochodu? Zdecydował się na ucieczkę i wyjeżdża już z hrabstwa? Nie zamierzałam wystawiać stąd nosa, nie upewniwszy się, że jestem bezpieczna. Marzłam, umierałam ze strachu, ale postanowiłam być cierpliwa. Miałam tu przy sobie starego Lyle'a. Może znajdę przy nim jakąś broń? Powinien ją mieć, prawda?

Jak się okazało, Lyle nie wybrał się na polowanie, a na ryby. Tuż obok, przykryty na oko dwusezonową warstwą opadłych liści, leżał pokrowiec ze sprzętem wędkarskim oraz pudełko na przynętę. Teraz zrozumiałam dziwny kształt noża, musiał służyć do oprawiania ryb. Łowił pewnie na jeziorze. Czy było teraz zamrznięte? Rano trzymał jeszcze mróz, potem świeciło słońce... Wraz ze zmierzchem temperatura ponownie spadła, może zamrzło? Wzdrygnęłam się na myśl o wędrówce po cienkim lodzie. Głupi pomysł. Zapewne Simpson był równie nieobeznany z

tymi lasami jak ja. Barney preferował sporty siłowe, które trenował w zamkniętych pomieszczeniach, jak na przykład sadyzm i gwałcenie unieruchomionych chłopców. Ciekawe, co była pani Simpson miała do powiedzenia na temat preferencji męża.

Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś szelest. Nadstawiłam ucha. Barney próbował się skradać, ale przy tej wadze i takim obuwiu miał marne szanse. Ciężko oddychał, a śnieg skrzypiał pod jego stopami. Oboje z Lyle'em zachowywaliśmy się bardzo cicho.

Obiecałam sobie, że podczas następnego porwania wezmę ze sobą rękawiczki. I koniecznie czapkę.

–Wyłaź, suko! – zawołał Barney.

O, panie Simpson, nie podoba mi się takie traktowanie rannych pacjentów.

–W pobliżu nie ma domów, nikt nie przyjdzie ci z pomocą! –

Powoli zbliżał się do mojej kryjówki.

Czy to możliwe, żeby kłamał? Oczywiście, to bardzo prawdopodobne. W końcu cały czas żył w kłamstwie.

Podczas ucieczki prócz tafli jeziora widziałam pomiędzy drzewami także skrawki brzegu. W oddali majaczyły jakieś budynki. Przy odrobinie wysiłku mogłabym się do nich dostać. Wiedziałam, w którą stronę ewentualnie bieć.

Przypominając sobie trasę, którą jechaliśmy nad jezioro, określiłam mniej więcej swoje położenie. Na południowym brzegu, prawie zaraz nad wodą, stała chata. Wystarczyło kierować się na północny wschód, a powinnam ją z łatwością odnaleźć. Dobrze, gdybym zdołała wrócić na szosę, szłoby mi się łatwiej i szybciej.

Simpson znajdował się teraz na prawo ode mnie. Zagryzłam usta, wstrzymując drżący oddech. W prawej ręce ścisnęłam nóż.

Wytrzymaj. Wytrzymaj. Nie ruszaj się. Wreszcie kroki zaczęły się oddalać. Zmierzch nie zgęstniał jeszcze na tyle, by zapewnić mi całkowitą osłonę. Ale to Simpsonowi się spieszyło, nie mnie.

Lyle, możemy tu czekać całą wieczność, prawda?

W tym momencie Simpson zawył i skoczył. Jednak obrał błędny cel, bo nic mi się nie stało. I nie stanie, jeśli pozostanę w bezruchu. Moja pęknięta kość teraz musiała być już poważnie złamana w wyniku szarpaniny. Rana na głowie krwawiła mocno, a czaszka bolała tak, jakby ktoś włókł mnie kawał drogi za włosy. Mimo to jakoś się trzymałam. Groziło mi tylko zamarznięcie, jeśli nie zacznę się ruszać. Już zbyt długo pozostawałam w jednej pozycji i moje ciało coraz dotkliwiej domagało się zmiany, rozciągnięcia mięśni. Jednak zanadto się bałam, żeby podjąć ryzyko.

O tyle dobrze, że Simpson raczej nie miał broni. Inaczej już dawno strzelałby na oślep w zarośla, licząc, że mnie trafi. Z drugiej strony, coś takiego przyciągnęłoby czyjąś uwagę. Nawet na południu, poza miastem, strzały nie pozostałyby

niezauważone. Choć podejrzewałam, że postawiłby wszystko na jedną kartę, gdyby oznaczało to pozbycie się mnie.

–To śmieszne – rzekł tak blisko, że omal nie pisnęłam zaskoczona. – Musisz być nieźle kopnięta, skoro reagujesz tak na próbę rozmowy z kimś, kogo przecież znasz. Krzyczysz, miotasz się, kopiesz. Swoją drogą, czy można spodziewać się zdrowych zmysłów po kimś twojego pokroju? Byłem w pobliżu, kiedy miałaś atak, próbowałem zawieźć cię do szpitala, to wszystko. Zdenerwowany twoim zachowaniem, skręciłem nie tam, gdzie trzeba. A teraz siedzimy na tym bezludziu, przy fatalnej pogodzie,

a ty nie dajesz sobie pomóc. A wierz mi, potrzebujesz pomocy.

Jasne, od kogoś, kto tu przyjdzie i cię zastrzeli.

Simpson usiłował sklecić sensowną historyjkę, która pozwoliłaby mu się z tego wywinąć i zachować obecne życie. Nie miał na to szans. Oczywiście po tak długim czasie bezkarności trudno mu było pewnie uwierzyć, że to już koniec. I pomyśleć, że podejrzewałam Doaka Garlanda. Hm, lepiej mimo wszystko uważać. Zawsze mogło być ich trzech.

Mój sterany umysł podsuwał mi coraz bardziej nieracjonalne scenariusze. Reagowałam tak na strach i zimno. Usiłowałam wziąć się w garść. W ostatniej chwili powstrzymałam chichot, który cisnął mi się na usta, gdy w głowie pojawił mi się obraz hurtowo porywanych i mordowanych mieszkańców Doraville. Czułam się jak w powieści grozy Shirley Jackson!

Wtedy mnie dopadł.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Wielkie dłonie Simpsona zacisnęły się na moich ramionach i jak ci wszyscy młodzi chłopcy wcześniej, teraz ja znajdowałam się w jego mocy. Z tą różnicą, że ja posiadałam broń. Poderwał mnie w górę tak, że ledwie sięgałam stopami ziemi. W mroku trudno było rozróżnić szczegóły sylwetki, ale na jego piersiach, pomiędzy klapami marynarki, bielą plama gorsu koszuli. Zamachnęłam się z całej siły. Ostrze przebiło skórę, ześlizgując się jednak po żebrach. Krzyknął, a na koszuli pojawiła się ciemna plama krwi.

Zaskoczony oporem, puścił mnie. Rzuciłam się do ucieczki, jednak zaraz mnie pochwycił. Nie przypuszczałam, że tak szybko otrząśnie się z szoku. Przytrzymał mnie, ale zdołałam się wykręcić i ponownie zadać cios. Tym razem trafiłam w ramię, a nóż zagłębił się w mięśnie. Wrzasnął, rozluźniając chwyt, i zachwiał się, próbując zachować równowagę. Znajdowaliśmy się już prawie przy brzegu jeziora. Nieopodal stały tablice informacyjne oznaczające teren otwartego łowiska rekreacyjnego. Krok po kroku cofałam się w stronę wody.

Ponieważ najwyraźniej Simpson skończył już z gadulstwem, postanowiłam go sprowokować.

–No, chodź tu, sukinsynu – syknęłam. – Chodź tu po mnie, pieprzony jebako.

–Podobało im się to – wychrypiał. Co za tupet! – Podobało.

–Jasne, kto nie lubi poleżeć trochę w kajdankach podczas seksu. A nacinanie i przypalanie to wymarzona gra wstępna.

–Nie, nie im – sapnął. – Nie tym śmieciom. Tomowi. Tomowi i Chuckowi.

–Świetnie, teraz chce mi się rzygać. Będziesz tak stał i czekał, aż się porzygam, dupku?

Zatakował. Nie był głupi. Był w dobrej formie i potrafił ją utrzymać. Jednak tego wieczoru napięcie, ból i zimno przytępiły jego bystrość. Spiął się i skoczył na mnie. Uchyliłam się i z całej siły pchnęłam go w stronę jeziora. Upadł tuż przy brzegu – cholera, staliśmy jednak za daleko. Zamierzałam wepchnąć go do lodowatej wody, nie udało się, ale przynajmniej się nie ruszał. Skorzystałam z okazji i zaczęłam uciekać. Lata codziennych przebieżek nareszcie na coś się przydały.

Pędziłam pomiędzy drzewami w stronę jedyne oświetlonego budynku w okolicy, który, byłam tego prawie pewna, należał do Hamiltonów.

Ciągle zdawało mi się, że go słyszę. Przyczajalam się na kilka minut, potem biegłam

znowu. Przerywałam w ten sposób ucieczkę przynajmniej raz, jeśli nie więcej. Ból i panika spowodowały, że straciłam poczucie rzeczywistości, zimno ograniczało trzeźwość umysłu. Nadal zaciskałam palce na nożu, a choć miałam ochotę go wyrzucić, bałam się zostać zupełnie bez broni. Fala wspomnień o ostrzu zatapiającym się w ciele zatrzymała mnie w miejscu. Zwymiotowałam. Co za paskudne zlecenie. Przy żadnym innym nie miałam takich mdłości. Mogłabym przypisać je wydarzeniom ostatnich godzin, ale przecież w stodole przytrafiło mi się to samo. Może to nie dźganie nożem je wywoływało, a wizja tortur?

Zdawałam sobie sprawę, że nie myślę jasno, ale to był jedyny logiczny wniosek, jaki udało mi się wyciągnąć. Jedyny i niezbyt pomocny. Potrząsnęłam głową w nadziei, że mózg ułoży się wygodniej i zacznie pracować, ale natychmiast tego pożałowałam. Znowu szarpnęły mną mdłości. Coś było ze mną nie tak, i to

bardzo. Będę musiała iść do szpitala! Zachichotałam.

Tak, to na pewno Tom był sprawcą pierwszego napadu. Barney zabiłby mnie jednym ciosem.

Przez chwilę stałam oparta o drzewo, w kompletnych ciemnościach, a moje myśli błądziły po odległych manowcach. Resztkami przytomności zmusiłam się do koncentracji. Nasłuchiwałam kilka sekund. Nie wychwyciłam żadnego dźwięku, ale to nie oznaczało, że faktycznie nic się nie dzieje. Może umysł płatał mi figle? Nie ufałam już swoim zmysłom. Zmusiłam ciało do podjęcia kolejnego wysiłku. Pozostając w bezruchu, mogłabym zamarznąć. Musiałam znaleźć schronienie.

To była najtrudniejsza walka w życiu, jednak z każdym krokiem zbliżałam się do światła. Droga znajdowała się dalej, czasem tylko dostrzegałam mignięcia reflektorów przejeżdżających samochodów. Poza tym trudno powiedzieć, kto tam siedzi za kierownicą.

W końcu dotarłam do najbliższej chaty. Las rzędł, gęste zarośla ustępowały miejsca pustym przestrzeniom pomiędzy drzewami, które z kolei zamieniły się w trawnik przed domkiem. Tak naprawdę nie wiedziałam, czy ten zbiornik to rzeczywiście jezioro Pine Landing, nie wiedziałam, gdzie jest Barney, a nawet, czy Tolliver mnie szuka. Ale przecież nie zostawiłby mnie tak, prawda? A jeśli pomyślał, że odeszłam z własnej woli? Ostatnio były pomiędzy nami tarcia. Nie, to niemożliwe. Za nic w świecie nie uwierzyłby, że opuściłam go bez słowa.

Ociągałam się, bojąc wejść na otwarty teren. Wytężałam wzrok i słuch. Serce waliło mi młotem, a w głowie huczało do rytmu. Ostatkiem sił walczyłam z ogarniającą mnie przemożną chęcią, by położyć się na zimnej ziemi i odpocząć, tylko przez

sekundę. Wkroczyłam w grafitową plamę zmierzchu. Wkrótce wzejdzie księżyc,

który oświetli okolicę, polepszając widoczność. W tej chwili jednak panował gęsty mrok najciemniejszej wieczornej godziny. Jeden krok, następny.

Nic się nie stało.

Przyspieszyłam, przecinając jeden trawnik, przeszłam na sąsiedni. Słowo „trawnik” przywołuje obraz spłachetka niezmaconej, równiutko przyciętej zieleni, w tym przypadku jednak wyglądało to nieco inaczej. Domki letniskowe, czasem nieledwie drewniane wiaty wędkarzy, służyły właścicielom na wyjazdy weekendowe i wakacyjne, więc nikt nie zwracał sobie głowy inwestowaniem w ogródki. Były to niewielkie skrawki, często nawet nieogrodzone. Tu i ówdzie granicę wyznaczały kępy przerośniętych krzaków, zapewne kwitnących wiosną. Trawniki były nierówne, porośnięte chwastami i zawsze podmokłe. Właściciele pozostawiali na nich różne narzędzia, zabawki, okryte plandekami łodzie, huśtawki, jeden nie schował nawet po sezonie plastikowych krzeseł. Przewróciłam się, wpadając na jedno.

W życiu nie czułam się tak opuszczona.

Narastało we mnie przekonanie, że to się nigdy nie skończy, że już zawsze, całą wieczność, będę brnęła w ciemnościach, potykając się na nierównym terenie, uchodząc czyhającej nieopodal śmierci.

Zaskoczona zdałam sobie nagle sprawę, że stoję przed bungalowem Cottonów. Teraz już nie miałam wątpliwości, że jestem nad jeziorem Pine Landing, a stojący kilkanaście metrów dalej oświetlony budynek należy do Hamiltonów.

Jednak żeby się tam dostać, musiałam wejść w zalany światłem krąg. Poza tym mogłam ściągnąć na nich

niebezpieczeństwo. Podejrzewałam, że Barney Simpson dawno już pędzi drogą, zmierzając ku Kanadzie czy Meksykowi, jednak zawsze pozostawała szansa, że nadal mnie ściga.

Zaplanowałam dokładnie kolejność działania. Zamierzałam opuścić cień chaty Cottonów, przeciąć pędem podjazd sąsiadów, wbiec na schody, dopaść drzwi, załomotać w nie pięścią. Ze względu na późną porę otworzy mi pewnie Ted. Wpuści mnie. Może nie będzie zachwycony widokiem prawie nieznanym kobiety, brudnej i zakrwawionej, na milę trącej kłopotami, ale nie zostawi mnie tak.

Zebrałam się w sobie. W chwili kiedy już miałam zerwać się do biegu, plamę światła przeciął jakiś ciemny kształt. Przypominał bardziej niedźwiedzia niż człowieka, ale szybko nabrałam pewności, że widzę Barneya Simpsona – nie tego układnego administratora szpitala, ale bestię, którą był w rzeczywistości. Przygarbiony powłóczył nogami. Żałowałam, że nie udało mi się zadać mu na tyle skutecznych ciosów, żeby powstrzymać go ostatecznie. Ranny był jeszcze bardziej niebezpieczny.

Stał dokładnie przed bocznym wejściem, prowadzącym bezpośrednio z podjazdu, nie próbował nawet pokonać schodów. Reflektor oświetlał mu czubek głowy. W szopie gęstych włosów tkwiły liście, gałązki i inne leśne śmieci. Mokry garnitur pokrywały plamy błota oraz krwi.

W rękę dzierżył nóż, który wielkością przypominał raczej maczetę. Ciekawe, czy cały czas miał go w samochodzie? Jeśli tak, to czemu nie sięgnął po niego od razu? Pewnie na początku był zbyt pewny siebie, nie sądził, że przyda mu się jakaś broń, w końcu przewyższał mnie masą i siłą.

Dobrze, wystarczy zaczekać, aż odejdzie.

Ale Ted Hamilton jak zwykle był czujny. Główne drzwi uchyliły się i staruszek wyszedł na taras.

–Barney Simpson, ze szpitala? – zawołał. – To pan, panie Simpson?

–Och, pan Hamilton, witam! Przepraszam, że przeszkadzam, ale ta znajdywaczka ciał, Harper Connelly, miała atak psychotyczny i uciekła gdzieś w te rejony.

–O mój Boże! – Nie byłam w stanie wyczytać konkretnej emocji z tonu Hamiltona.

–Nie widział jej pan przypadkiem? – zapytał Simpson, a ja zastanawiałam się, czy tylko ja słyszę napięcie w jego głosie. Z trudem podtrzymywał teraz swoją fasadę człowieczeństwa.

–Nie, nie widziałem. Co będzie, jak pan ją znajdzie?

–A co ma być? Zabiorę ją do szpitala.

–A głowę odetnie jej pan od razu, czy dopiero na miejscu? Ten nóż w pana rękę robi wrażenie.

–Nie! Panie Hamilton! Niech pan uważa! – Wyskoczyłam z ukrycia przerażona, że Barney zaatakuję staruszków. Ale Ted mierzył do Simpsona z broni. Kontrolował sytuację, przynajmniej dopóki nie popsułam tego swoim nagłym pojawieniem się na scenie. Barney zawył, szarżując na mnie. Okręciłam się błyskawicznie, rzucając do ucieczki. W tej samej chwili za moimi plecami rozbrzmiał wystrzał, po którym wszelki ruch zamarł.

Simpson już mnie nie ścigał.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Zatrzymałam się i odwróciłam. Barney Simpson leżał na podjeździe, niedawno oczyszczonym ze zwalonego drzewa. Teraz placyk znów stracił swój schludny wygląd, ciemniejąc w miejscu, gdzie z ramienia Barneya wyciekała krew. Hamilton podszedł do barierki tarasu wraz z depczącą mu po piętach żoną. Nita miała na sobie ładny dres, a jej fryzura była równie idealna jak w dzień.

–Myślisz, że trzeba poprawić? – zastanawiała się głośno.

–Nie, chyba ma dość – ocenił Ted. – Biegnij do domu i wezwij policję.

–Już to zrobiłam, kotku, zadzwoniłam na posterunek, jak tylko usłyszałam jego głos. Panno Connelly? – zawołała. – Zapraszam do środka, tylko proszę uważać na podjeździe.

–Dziękuję – odparłam drżącym, obcym głosem. – Nie marzę o niczym innym. Nawet środek piekła brzmi teraz zachęcająco.

–Biedactwo, chodź do domu.

Bardzo ostrożnie obeszłam Barneya Simpsona, który blady

jak ściana kulił się na ziemi, trzymając się za ramię. Białość jego twarzy podkreślał dodatkowo chłodny snop światła reflektora. Krok za krokiem, pokonując ból pulsujący już teraz w każdej komórce mojego ciała, wdrapałam się na schody. Wyminęłam Teda, pilnując, żeby nawet na chwilę nie znaleźć się pomiędzy nim a Simpsonem. Obawa, że ranny znów wykręci jakiś numer w stylu Terminatora, była bardzo silna.

Nita obrzuciła mnie zatroskanym spojrzeniem.

–Musisz się szybko rozgrzać – powiedziała. – Ted, dasz sobie radę?

–Tak, tak, spokojnie, zajmij się panią.

Wreszcie zanurzyłam się w miłym cieple. Wnętrze

odpowiadało idealnie moim wyobrażeniom, od klonowych mebli przez szydełkowe pledy wiszące na oparciach ulubionych foteli mieszkańców, masę zdjęć dzieci w ramach po stojącego na stole kogutka z chińskiej porcelany. Nita rozścieliła ręcznik na stojącym przy drzwiach krześle, na którym domownicy zwykle pewnie kładli klucze i okrycia. Spojrzałam po sobie. Rzeczywiście, tylko tam mogłam usiąść, nie

fundując gospodarzom generalnego remontu.

**–Mocno pani krwawi – zauważyła. – Przyniosę gazę,
doprowadzimy panią do porządku. Wiem, że ratownicy lepiej
oczyściliby ranę, ale przecież nie będzie pani z tym na nich
czekała, prawda? Na pewno nie chce pani tak siedzieć tu i kapać.**

**Fakt, przyda się trochę wyczyścić, choć szczerze mówiąc, w tym momencie było mi
to raczej obojętne.**

**Szybko przyniosła białą ściereczkę wraz z miską ciepłej wody, po czym zabrała się
do pracy.**

**–Proszę się nie martwić, Ted nie pozwoli mu się ruszyć -mówiła tak spokojnie, jakby
w tym miejscu strzelanie do wariatów było na porządku dziennym. – Przypilnuje go.**

–Kiedy przyjedzie policja?

–Lada moment. Brat szuka pani po całym mieście. –

**Poczułam, jak robi mi się cieplej na sercu. – Dzwonił tutaj, pytał,
czy pani nie widzieliśmy, i ostrzegł przed Simpsonem, bo widział
jego wóz zaparkowany po drugiej stronie jeziora. Dlatego byliśmy
przygotowani.**

–Mam nadzieję, że nie będzie problemów z policją.

**–Na pewno nie. Szeryf Rockwell to porządna kobieta. Na
odpowiednim stanowisku.**

**Nie byłam aż tak optymistycznie nastawiona jak Nita, ale w końcu to nie ja będę
musiała się tłumaczyć.**

**–Skąd ta świeża rana na głowie? – dopytywała się Nita, chcąc
chyba bardziej wy badać stan mojego umysłu, niż usłyszeć ciekawą
opowieść.**

–Wyciągnął mnie z samochodu za włosy – wyjaśniłam,

przyprawiając ją o wstrząs. – Zerwał kilka szwów.

–Gdyby Ted o tym wiedział, na pewno nie powstrzymywałby się przed drugim strzałem – oświadczyła, a mną targnęła fala histerycznego chichotu.

Już miałam powiedzieć, że w takim razie na pewno bym o tym wspomniała, gdy z zewnątrz dobiegły nas złowieszcze odgłosy. Tuż przy drzwiach rozległ się jęk bólu. O cholera! Ted!

Nita w mgnieniu oka dopadła drzwi, przekręcając klucz dosłownie w ostatniej chwili. Klamka poruszyła się, a kiedy drzwi nie ustąpiły, Barney rzucił się na nie całym ciężarem.

–Wychodź! – ryknął. – Wyłaź!

–Zrobił Tedowi coś złego! Sukinsyn! – syknęła Nita. Nawet w takiej chwili byłam zszokowana jej postawą. Ale

okazało się, że to dopiero początek. Nita otworzyła stojącą przy fotelu szafkę, wyjęła strzelbę i wymierzyła w drzwi.

–Używamy jej na szkodniki – wyjaśniła, widząc moje

osłupienie. – Jak tu wejdziesz, jest trupem. Mogę sobie nadstawić

własny policzek, ale nie zamierzam nadstawić mu twojego.

Simpson rzucił się ponownie na drzwi. Siedząc tak blisko, zdołałam wychwycić cichy trzask kurka.

–Odsuń się! – krzyknęłam. – Odsuń się, Nita!

Barney wypalił z broni Teda. Drzwi były solidne, ale kula

przebiła drewno, świsnęła przez salon, wlatując do kuchni. Nita zdążyła się uchylić, pocisk minął ją o jakieś pół metra, ale sytuacja i tak wyglądała groźnie. Myślałam, że staruszka przestraszy się, że jej odwaga wyparuje, ale Nita uniosła strzelbę, naciskając spust. Usłyszałyśmy krzyk.

Otrząsnąwszy się z pierwszego szoku, ruszyła do drzwi.

–Muszę sprawdzić, co z mężem – powiedziała.

–Oczywiście – wybełkotałam, choć uważałam, że

wychodzenie teraz na zewnątrz jest najgorszym z możliwych

pomysłów.

Przekręciłam klucz i bardzo, bardzo cicho nacisnęłam klamkę. Nie wiem, czemu upierałam się przy zachowaniu ciszy, chyba z przyzwyczajenia, bo w tym momencie nie miało to znaczenia.

Simpson leżał na tarasie, co najmniej nieprzytomny, za nim zaś pod barierką kulił się Ted. Ledwie się poruszał, z rany na ramieniu ciekła mu krew.

–O Boże! – jęk Nity zabrzmiał tak, jakby właśnie była

świadkiem końca świata.

Nie bacząc już na nic, przekroczyła Simpsona, uklękła przy mężu i wykazując się po raz kolejny niesamowitym opanowaniem, ucisnęła ranę. Tymczasem mój organizm wreszcie się nade mną ulitował, zemdlałam.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Ocknęłam się w zdecydowanie lepszych okolicznościach. Przypinano mnie właśnie do noszy, więc pewnie czekała mnie kolejna wizyta w miejscowym szpitalu.

–Doraville to dla mnie wyjątkowo pechowe miasteczko -stwierdziłam, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo z gardła wydobyło się niewyraźne mamrotanie. Ratowniczką, dziarska młoda kobieta o mocno zarysowanej szczęce, pochyliła się nade mną.

–Spokojnie, wszystko będzie dobrze.

–Co z Hamiltonem?

–Proszę się nie martwić, jest cały. Zatomowaliśmy już

krwotok. Wyjdzie z tego.

–Simpson?

–Żyje i pewnie żałuje, że nie jest martwy.

–Gdzie mój... Gdzie Tolliver? – Muszę koniecznie przestać nazywać go bratem.

–Szczupły, wysoki szatyn?

–Uhm.

–Czeka na zewnątrz.

Uśmiechnęłam się.

–Patrz, od razu poczuła się lepiej – skwitowała kobieta, zwracając się do partnera.

–Dobra, Grace, jedziemy z tym bałaganem. Bierz z tamtej strony – zakomenderował mężczyzna.

Grace nabzdyczyła się, ale wykonała polecenie.

Tolliver znalazł się przy mnie natychmiast, gdy ratownicy

zeszli ze schodów.

–Wyciągnął cię z auta pod moim nosem! – denerwował się. – Myślałem, że oszaleję, kiedy wyszedłem, a ciebie nie było!

–Spokojnie, będziecie mieli czas na rozmowy – uciszał go ratownik. – Teraz musimy

dostarczyć ją do szpitala.

Podczas jazdy ratownicza siedziała z tyłu, zabawiając mnie rozmową. Przy okazji badała mi puls, temperaturę i wykonywała całą masę tym podobnych czynności. Z jej miny, kiedy sprawdzała szwy na głowie, wywnioskowałam, że nie jest najlepiej.

–Kilka dni temu miała pani pękniętą kość łokciową, tak?

Zrobimy prześwietlenie, ale według mnie teraz jest złamana na całego.

–Uhm. – Będziemy musieli naruszyć oszczędności, żeby

zapłacić kolejny rachunek, a kupno domu odsunie się w czasie.

Teraz jednak nie byłam w stanie się o to martwić, ani o to, ani nic

innego. W porównaniu do wydarzeń minionych godzin leżenie w

karetce wydawało mi się szczytem rozkoszy. Ogarnęła mnie

blogość, a wraz z nią przyszła senność. Otrzeźwiałam z

półdrzemki, kiedy wiezono mnie korytarzem.

Pobył w szpitalu był swoistym déjър vu. Z tą różnicą, że leżałam w innej sali, dalej i po przeciwnej stronie. W tamtej chyba umieszczono Teda Hamiltona.

Najbardziej zaskoczyła mnie wizyta Sandry Rockwell.

–Muszę panią przeprosić – powiedziała po rytualnych

powitaniach i pytaniach o samopoczucie.

Czekałam.

–Wiedziałam, że pani napastnik musi być mordercą. Nie było

po nim śladu. Ani po jego samochodzie. Okazało się, że Almand

zaparkował przy salonie fryzjerskim i na parking przyszedł już

pieszo. Ukrył się za motelem z zamiarem pocięcia wam opon. Łopatę zabrał na wszelki wypadek.

Przypomniałam sobie, że widziałam ten salon, znajdował się dwa budynki dalej.

Teraz to i tak nie miało znaczenia.

–A co z nim?

–Z Tomem? – wydawała się zaskoczona. – Gada jak najęty. Ale ani słowa o synu.

–Może Simpson coś powie – rzuciłam. Obojętnie. Chuck Almand i tak nie żył, żadne wyznania tego nie zmieniają.

Do sali wszedł Tolliver. Był w barze coś zjeść, wypić kawę. Przyniósł też kubek dla mnie. Nie miałam pojęcia, czy wolno mi pić kawę, ale zamierzałam to zrobić bez względu na zalecenia. Pochylił się, żeby mnie pocałować, a mnie nie obchodziło również, co sobie o tym pomyśli Sandra Rockwell. Zaraz potem wpadli znajomi agenci SBI. Byli wykończeni, ale uśmiechnięci.

–Pisarze będą mieli pole do popisu przy tych dwóch – rzekł Klavin. – Materiał do zbierania na lata. I dobrze, byleby źródła siedziały za kratkami.

–Niech sobie piszą. – Stuart przygładził i tak gładką fryzurę. – Dzięki temu dostaniemy więcej szczegółów do naszej dokumentacji.

Westchnęłam. Tolliver wziął mnie za rękę.

Agenci zabrali się do wypytywania o wczorajsze wydarzenia, a ja nie miałam ochoty o tym opowiadać. Ale musiałam ustąpić w wielu sprawach, jeśli chciałam wreszcie opuścić Doraville, ta była tylko jedną z nich.

–Podejrzewała pani, że to on? – zaczął Stuart.

–Tak. – Na twarzach obecnych odmalowało się zaskoczenie, najsilniejsze u Tollivera. – Czekając w samochodzie, myślałam o

komorze pod stodołą. Wydało mi się dziwne, że Simpson o niej wiedział. Wspominał o tym podczas moich odwiedzin u Manfreda. Pewnie bym nic nie skojarzyła, gdyby pastor Garland nie zahaczył o tę sprawę. Nie wiedział o kryjówce, więc inni też nie powinni. A Barney owszem. Potem przyszło mi do głowy, że szpital jest dobrym miejscem na wybieranie ofiar, chłopcy często bywali tu z różnymi urazami. Simpson upatrywał sobie ich na przyszłość. Zresztą nawet coś o tym mówił.

Z niecierpliwością wyczekiwali na powtórzenie wyznań Simpsona. Starłam się jak najdokładniej odtworzyć słowa zabójcy. Opowiedziałam o ich metodach, wyjaśniłam, że zrobili kryjówkę, gdyż dojazd do opuszczonego domu był utrudniony.

–Jeździli tam na zmianę – potwierdził Stuart. – Za mało tam

miejsca na dwa samochody. Ale czasami w weekendy robili sobie

podwójne randki.

Zrobiło mi się niedobrze. Odstawiłam kawę na stolik. Tolliver zrozumiał, poklepał mnie uspokajająco.

–Niektórych utrzymywali przy życiu nawet cztery, pięć dni -podjął Klavin. – Karmili ich, dawali wodę...

–Dość tego – rozzłościł się Tolliver. – Jak na nasze potrzeby i tak znamy zbyt wiele szczegółów.

–W porządku – ustąpił Klavin. – Oskarżymy Simpsona o podwójne usiłowanie zabójstwa, pani i Hamiltona. I tak za tamte zabójstwa dostanie dożywocie, ale włączymy każdy zarzut, jaki się uda. W sumie wyroki się zsumują, ale odsiedzi tylko jedno życie.

–Zebrane przez kryminalistyków dowody powiążą obydwu z tymi zbrodniami, niezależnie od przyznania się do winy.

–Była tego cała masa, nietrudno będzie coś wybrać. Już samo badanie włosów wystarczy, a pewnie uzyskamy potwierdzenie

podczas analizy DNA.

Skinęłam głową. Nie przeszkadzał mi fakt, że przez pozostały do procesu czas będą jedli, pili i oddychali, dla mnie sprawa była zamknięta.

–A jak pani się czuje? – zapytała Sandra tylko po to, by

wytknąć agentom brak taktu. Zmieszali się tylko minimalnie.

Wyręczył mnie Tolliver:

–Ma złamaną rękę. Szwy na głowie trzeba było założyć

ponownie plus kilka dodatkowych. W ranę wdało się zakażenie.

Jest cała posiniaczona, straciła dwa zęby. Podbite oko sama pani

widzi. Na dodatek nabawiła się zapalenia górnych dróg

oddechowych.

I złamałam paznokieć, o tym nie wspomniał.

Patrzył na nich z takim oburzeniem, że powinni uderzyć w płacz i natychmiast rozpocząć samobiczowanie, jednak wiercili się tylko niespokojnie, wyczekując okazji do wyjścia. Z ich słów wynikało, że nie będą musiała wracać do Doraville, a nawet jeśli, to tylko w ostateczności i nieprędko. To mi wystarczyło.

Zadzwoił też Manfred, ale rozmawiał tylko z Tolliverem. Byłam zbyt zmęczona, zbyt wyjąłowana emocjonalnie, żeby wykrzesać z siebie ochotę na cokolwiek.

Jedyną osobą, której widok mnie ucieszył, była Twyla Cotton. Weszła krokiem jeszcze cięższym niż zwykle. Jej twarz zastygła w wyrazie takiej powagi, jakby nigdy nie miała już rozjaśnić się w uśmiechu.

Stanęła przy łóżku, nie patrząc mi w oczy.

–Cóż, złapano ich, a mój wnuk odszedł na zawsze. Dobrze

zrobiłam, sprowadzając panią tutaj. Nie żałuję tego. Trzeba ich

było powstrzymać, nawet jeśli dla Jeffa było już za późno.

Dla Jeffa było za późno już kilka miesięcy temu.

–Zgniją w piekle – oświadczyła Twyla z absolutnym przekonaniem. – I wiem, że Jeff jest w niebie. Ale ciężko nam będzie żyć bez niego.

–Tak, doskonale to rozumiem – mówiłam z własnego doświadczenia. – Najtrudniej jest tym, którzy zostają.

–Myśli pani o swojej siostrze?

–Tak, o Cameron.

–Czyż to nie okrutna ironia?

–Że znalazłam już tylu obcych, a jej nadal nie? Tak, trafnie to pani ujęła.

–Będę się za panią modliła. Będę się modliła, żeby ją pani odnalazła.

Spoglądając na zastygłą w bólu twarz Twyli, zastanawiałam się, czy naprawdę chcę znaleźć Cameron. Czy faktycznie przyniesie mi to ulgę? Przeniosłam wzrok na Tollivera. Patrzył na Twylę z niechęcią. Uważał, że jej wizyta mnie przygnębiła, a bez tego jestem wystarczająco nieszczęśliwa.

–Dziękuję – zwróciłam się do Twyli. – Mam nadzieję... Mam

nadzieję, że drugi wnuk przyniesie pani pociechę.

Prawie się uśmiechnęła.

–Na pewno. Nie zastąpi Jeffa, ale to dobry, kochany chłopak.

**Wyszła niebawem, bo nie pozostało już nic więcej do
powiedzenia.**

**–Jeśli nie będziesz miała jutro gorączki, wynosimy się stąd -stwierdził Tolliver z
mocą.**

**–Absolutnie – przytaknęłam. – Może zanim dotrzemy do Philadelphii, podleczę się
na tyle, żeby nie straszyć klientów.**

**–Możemy odwołać to zlecenie, jechać do domu, zrobić sobie
parę tygodni wakacji.**

**–Nie, trzeba znów wskoczyć w siodło i ruszyć dalej. – Udało mi się uśmiechnąć. – A
jak się poczuje lepiej, wrócimy do jeździeckich tematów. – Usiłowałam zrobić kuszącą
minę, ale efekt musiał być komiczny, bo Tolliver zagryzł wargi, powstrzymując
chichot.**

Dałam mu kuksańca i wybuchnął śmiechem.

Tak. Z powrotem w siodle.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-30

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/